Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

WOLNA SOBOTA

FOT. ZOFIA DIMITRIJEVIĆ

JELENA KOSTIUCZENKO: Miłość do ojczyzny jest niebezpieczna

WYSOKIE OBCASY

Magdalena Koleśnik Radykalna marzycielka

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Do jakiej szkoły wrócimy (po wyborach)

RYS. IGOR MORSKIA

wydaje Agora SA, nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X

Przerwany lot boeinga
40 lat temu sowiecki myśliwiec zestrzelił samolot pasażerski z Korei

Książka na indeksie
Dlaczego zablokowano polsko-niemiecki podręcznik do historii

Dwie wystawy
Ta z 1938 r. pokazała stolicę przyszłości, ta z 1945 – co z planów zostało

Sobota–niedziela, 2-3 września 2023 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 204.10396, 1
Nakład 99 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 092e2a9ccb

Jarosław Mikołajewski

Nie jesteśmy po to, żeby żyć jak bestie

W „Boskiej komedii”, w pieśni XXVI „Piekła”, włożył Dante w usta Ulissesa słowa, które w dosłownym przekładzie brzmią:

„Zastanówcie się nad waszym rodem:
nie zostaliście zrobieni, żeby żyć jak bestie,
lecz by podążać za cnotą i poznaniem...”.

Wśród wielu rzeczy, które mam za złe tej władzy, jest i ta, chyba najmniej dostrzegana i podnoszona, że odciąga od „cnoty i poznania”, od tego, co ważne, co sprawia, że pomimo wszystko warto żyć. Przy czym nie chodzi wcale o zdobycze nauki. Za najwyższą ludzką aspirację i godność uważam solidarność z tymi, których dotyka tragedia i krzywda.

Dwa zdarzenia z najnowszej historii, z kroniki aktualności: w czerwcu 2023 roku na Morzu Egejskim zatonęła łódź z migrantami, wskutek czego zginęło 600, może nawet 700 osób – rekord Śródziemnomorza.

W tym samym czerwcu 2023 roku w Sudanie wymordowano ponad tysiąc ludzi. Wszystko to, katastrofa i rzeź, pewnie w ciągu jednego dnia. Ot, taki czarny dzień, jak to się mówi. Radzę zajrzeć do gazet, żeby zobaczyć, jak mało nas to obeszło.

Wśród wielu rzeczy, które mam za złe tej władzy, jest i ta, że odciąga od „cnoty i poznania”

Co mogliśmy zrobić? Choćby wyjść na ulice i pokazać, że dostrzegliśmy jedną i drugą tragedię i że nas one obeszły. Może zrobić zbiórkę? Spróbować jakichś rozwiązań poprawiających bezpieczeństwo migrantów? Zrozumieć Afrykę?... Już wiem! Opłakać. Stanąć na jakimś placu i zawodzić jak lamentnicy, jak płaczki. I pochować, jak Antygona. Byłoby to zrozumiałe, godziwe, nieobojętne. Do takich rzeczy jesteśmy „zrobieni”, jak mówił Dante/Ulisses. Tymczasem co robiliśmy? Odpieraliśmy pewnie atak PiS na swobodną kolejność kanałów w pilotach telewizorów. I słusznie – należało odeprzeć. Tyle tylko, że szlag trafia na myśl, że ktoś, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z nieszczęść, które są na świecie (a może naprawdę nie zdaje sobie sprawy?) i które domagają się naszej pomocy i solidarności, w ogóle zaprząta nasz czas i myśli taką szajbą. Podobnie jest teraz z referendum, na myśl (dobre sobie) o którym przypomina mi się głupotka z włoskiego programu satyrycznego, gdzie ogłaszano z triumfem takie oto odkrycie, że lepiej być zdrowym i bogatym niż chorym i biednym.

Tak, pośród innych grzechów świata jest i grzech rozpraszania uwagi. Odciągania od rzeczy życiowych. Od naszych ludzkich powołań, takich jak dbałość o innych ludzi, o naturę, o prawdę i szlachetny rozwój myśli. ●

Popatrz w górę
Niebieski Księżyc

FOT. FRANK GUNN/AP

„Blue Moon” – śpiewał Bob Dylan. I miał na myśli „bardzo długi czas”. Przez lata to wyrażenie zmieniło znaczenie – teraz to druga pełnia w jednym miesiącu kalendarzowym. Tak wydarzyło się pod koniec sierpnia, oczywiście nie tylko w Toronto, które oświetla Księżyc na zdjęciu.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Nowy film Polańskiego
Z pluskwą w tle

Romana Polańskiego w Wenecji nie będzie, podobnie jak cztery lata temu, gdy jego „Oficer i szpieg” zdobył Nagrodę Jury, drugie – po Złotym Lwie – ważne wyróżnienie festiwalu. Pojawienie się jego filmu w konkursie wywołało kontrowersje, a późniejsze obsypanie go Cezarami – głośne protesty. Rada Cezarów podała się do dymisji, nowa zmieniła zasady nominacji, wykluczając z nich osoby skazane lub z zarzutami o gwałt czy przemoc seksualną.

Gdy Polański wraz z przyjacielem Jerzym Skolimowskim napisali scenariusz „The Palace”, a włoski producent Luca Barbareschi zaczął szukać pieniędzy na realizację filmu, nie mógł ich znaleźć we Francji. W końcu udało mu się zebrać budżet 17 mln euro – z Włoch, Szwajcarii i Polski, w tym dotacja Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej oraz jego prywatne 4 mln euro. Do filmu dołożyli się też w końcu Francuzi, około 10 procent.

Polańskiemu odmówić miało kilkoro aktorów. Ostatecznie na ekranie zobaczymy międzynarodowe towarzystwo odpowiadające międzynarodowym gościom hotelu – Francuzkę Fanny Ardant, Niemca Olivera Masucciego, Amerykanina Mickeya Rourke'a, Anglika Johna Cleese'a, Portugalczyka Joaquima de Almeidę. Nie brakuje także Włochów, wśród których jest również producent filmu Barbareschi, czy Rosjan. Autorem zdjęć do filmu jest Paweł Edelman, a muzyki – Alexandre Desplat.

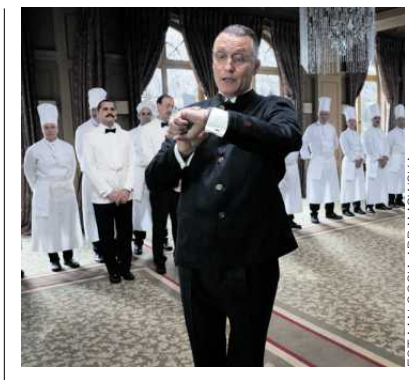

FOT. MAŁGOSIA ABRAMOWSKA

Ma to być prowokacyjna czarna komedia, opowieść o ekscentrycznych gościach luksusowego hotelu i ludziach, którzy ich obsługują i próbują spełnić ich wszelkie zachcianki. Rozgrywa się w sylwestra 1999 roku, więc nad wszystkimi wisi jeszcze groźba pluskwy milenijnej.

Pierwszy pokaz w Wenecji odbył się w piątek. 28 września „The Palace” wejdzie do włoskich kin. Data polskiej premiery nie jest jeszcze znana. ● **Maja Staniszewska**

Andrzej rysuje

Psychologiczny portret trolla

FOT. SHUTTERSTOCK

tworzą naukowcy. To ważne, bo internetowym trollem może zostać większość z nas.

Czytaj ▶ Wyborcza.pl

W poniedziałek „Duży Format”

Polscy uczniowie w Czeskim Raju

Dzieci mają tu więcej czasu na naukę czytania ze zrozumieniem albo tabliczki mnożenia. Wszystko jest prostsze, wolniejsze, a nauczycielka stara się, by wszyscy wszystkiego się dobrze nauczyli.
Jak zapisać dziecko do szkoły w Czechach, sprawdziła Monika Redzisz

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Wtorek
Prokofiew wycięty

15 września rozpoczną się przesłuchania do Międzynarodowego Konkurs im. Karola Szymanowskiego. To wielkie wydarzenie w tym roku zaczęło się od skandalu: organizatorzy „w geście solidarności z narodem ukraińskim” usunęli z programu utwory kompozytorów rosyjskich. Zrobili to w ostatniej chwili, a uczestników poinformowali, że skrócą ich występy. Środowisko muzyczne na Zachodzie odczytuje tę decyzję jako cenzurę.

Środa
Prezes trzyma w szachu

26 września mija termin rejestracji list wyborczych. KO, Lewica i Trzecia Droga sprawnie ogłaszały nazwiska, Konfederacja wyrwała się jeszcze przed ogłoszeniem terminu wyborów, PiS nie zdradzał nawet jedynek. Cztery lata temu miał 43 proc. poparcia, dziś nawet w najkorzystniejszych sondażach nie osiąga tyle, więc wielu posłów znajdzie się za burtą. – Prezes trzyma wszystkich w szachu i przygląda się koteriom – mówią w PiS.

Czwartek
Polska wraca na Narodowy

3 Z takim rywalem jak Wyspy Owcze nasza piłkarska reprezentacja powinna sobie radzić z łatwością, ale po porażce z Mołdawią nie jest to oczywiste. Biało-Czerwoni walczą o awans na przyszłoroczne mistrzostwa Europy, na razie z marnym skutkiem – przegrali nie tylko w Kiszyniowie, ale i w Pradze. By awansować, teraz trzeba już wygrywać – w czwartek na PGE Narodowym w Warszawie z Wyspami Owczymi i w przyszłą niedzielę

Sobota
Pocałunek nie zabija

4 Warto zdążyć na wystawę performance’ów mieszkającej w Berlinie Ani Nowak i jej gościń. Zamyka się 9 września. Nowak zajmuje się cielesnością i seksualnością, chorobą i przyjemnością. Tytuł wystawy w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie nawiązuje do hasła z 1989 r.: „Pocałunek nie zabija. Zabijają chciwość i obojętność”, które rozklejone na miejskich autobusach zwracało uwagę na zobojętnienie wobec ofiar epidemii HIV/AIDS.

Liczba dnia

4225

różnych imion nadano dzieciom w Polsce od 2000 roku do dziś. W tym roku najpopularniejsze to Zofia i Nikodem (zastąpił triumfującego od kilku lat Antka). Ranking imion
▶ biqdata.wyborcza.pl

FOT. LIBRARY OF CONGRESS, MACIEK JAŹWIECKI, KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL, PAT MIC

Referendum – broń dyktatorów

PiS czerpie ze sprawdzonych wzorców

To nie Viktor Orbán wymyślił, że można wygrać wybory, łącząc je ze sprytnym referendum. Pierwszy po ten trik sięgnął Adolf Hitler

Wieliński

Referendum to niby najwyższa forma demokracji. Prawo stanowione nie za pośrednictwem przedstawicieli narodu, lecz głosami obywateli. W Szwajcarii referenda organizuje się średnio cztery razy do roku. 18 czerwca Szwajcarzy zgodzili się na ustanowienie 15 proc. podatku dla korporacji, poparli odchodzenie od paliw kopalnych i przedłużyli działanie swojej ustawy covidowej. Frekwencja: 42 proc.

Referendum można jednak zbrukać, zmanipulować i za jego pomocą ustanowić dyktaturę. Bo skoro naród w głosowaniu opowiedział się za tyranią, jak można ją kwestionować? W 1933 roku na drodze referendum nad nową konstytucją dyktatorską władzę w Portugalii zalegalizował António Salazar, twórca autorytarnej doktryny Estado Nuevo. Głosów „przeciw” z urn wyjęto jedynie 6 tys. Zatwierdzony system przetrwał do 1974 roku. Po zorganizowanym w 1947 roku referendum hiszpański dyktator Francisco Franco zapewnił sobie dożywotnią władzę.

W 1973 roku, kilka miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego i aresztowaniu polityków opozycji, nową konstytucję pod referendum poddał prezydent Filipin Ferdinand Marcos. Prace nad tekstem ustawy zasadniczej trwały od prawie dwóch lat, ale dopiero po rozbiciu opozycji prezydentowi zaproponowano takie zapisy, które mu odpowiadały. Sankcjonowały jego dyktatorską władzę. Rok wcześniej podobny manewr z referendum konstytucyjnym w Korei Południowej przeprowadził prezydent Park Chung-hee, który dekadę wcześniej stanął na czele wojskowego zamachu stanu. Tę listę zamyka Władimir Putin, który w 2020 roku poprosił Rosjan, by zatwierdzili zmiany w konstytucji. Najważniejsza zapewnia mu rządy do 2036 roku.

Pionierem wykorzystywania referendum do utrwalania władzy był Adolf Hitler. Za jego rządów pierwszy raz połączono referendum z wyborami do parlamentu. Chodziło o masową mobilizację wyborców. Niemcy były wówczas państwem stanu wyjątkowego. W nocy z 27 na 28 lutego 1933 roku niepoczytalny holenderski komunista Marinus van der Lubbe podpalił Reichstag. Hitler wykorzystał to jako pretekst do rozprawy z politycznymi przeciwnikami. Po przyznaniu jego rządowi dyktatorskich uprawnień na mocy wydanego przez prezydenta Hindenburga rozporządzenia zdelegalizowano komunistyczną i socjaldemokratyczną opozycję. Inne partie, jak Partia Centrum, rozwiązały się same, a wtedy wydano dekret o zakazie tworzenia nowych, jedyną pozostała NSDAP.

Przeciwnicy polityczni znikali w tajnych więzieniach, na bazie których powstały obozy koncentracyjne. Partyjny aparat kontrolował prasę i radio, propaganda lała się szerokim strumieniem do każdego niemieckiego domu. Z jednej strony panował terror, z drugiej rósł społeczny zachwyt, bo Hitler wywrócił stolik i po latach chaosu zaprowadził w kraju porządek. Co więcej, gospodarka podnosiła się po zapaści spowodowanej światowym kryzysem. Hitler zamierzał wykorzystać sytuację.

Rozpisane na 12 listopada 1933 roku wybory do Reichstagu miały pokazać, że Niemcy stoją murem za nową władzą. Pomóc w tym miało referendum. Niby nie dotyczyło ono bieżącej polityki, tylko wystąpienia Niemiec z Ligi Narodów, powołanej po zakończeniu pierwszej wojny światowej organizacji, która miała rozwiązywać spory między państwami i strzec światowego pokoju. Ale w przebiegle skonstruowanym pytaniu o Lidze Narodów nie było mowy. „Czy ty, niemiecki mężczyzno, i ty, niemiecka kobieto, popierasz politykę twojego rządu Rzeszy i jesteś gotowy/gotowa ją ogłosić jako wyraz twoich poglądów i twojej własnej woli i ją uroczyście wyznawać?”. Data głosowania nie była przypadkowa. Wypadała dzień po 15. rocznicy podpisania przez Niemcy zawieszenia broni w Compiègne, które przypieczętowało klęskę Niemiec w pierwszej wojnie światowej. We Francji 11 listopada był dniem triumfu, w Niemczech dla zwolenników Hitlera, który doszedł do władzy pod hasłem zrzucenia hańbiących ograniczeń nałożonych w traktacie wersalskim, był to dzień hańby. Do udziału w wyborach i referendum wzywali najznamienitsi artyści i naukowcy, wśród nich filozof Martin Heidegger, pisarz Gerhart Hauptmann. Poparcia udzieliły także niemieckie Kościoły. Dzień przed wyborami żarliwe przemówienie radiowe wygłosił prezydent Hindenburg, który również domagał się, by obywatele zagłosowali za opuszczeniem Ligi Narodów.

Władimir Putin w 2020 roku poprosił Rosjan, by w referendum zatwierdzili kilkanaście zmian w konstytucji, najważniejsza pozwala mu być prezydentem do 2036 roku

Mieszanka terroru, propagandy i patriotycznej euforii przyniosła efekt. Frekwencja wyniosła 95 proc. W referendum głos na „tak” oddało 93,4 proc. uczestników. W wyborach głosowano zaś tylko na jedną listę NSDAP, na którą przyjęto także 20 bezpartyjnych. Do Reichstagu weszli wszyscy znajdujący się na niej kandydaci. Wśród nich nie było żadnej kobiety.

Niespełna rok później, po śmierci Hindenburga, Hitler rozpisał referendum nad przejęciem jego kompetencji. Odtąd określał się jako Führer i Kanclerz Rzeszy. Kolejne wybory do Reichstagu w 1936 roku połączono z referendum nad remilitaryzacją Nadrenii. Dwa lata później na drodze referendum zatwierdzono Anschluss Austrii.

Hitlerowską sztuczkę mobilizowania zwolenników i podbijania wyborczej frekwencji za pomocą rozpisanego razem z wyborami referendum zastosował rok temu Viktor Orbán, który mierzył się ze zjednoczoną opozycją. Referendum składało się z czterech pytań dotyczących rzekomych zagrożeń ze strony społeczności LGBT, która miała m.in. deprawować młodzież. Wprawdzie okazało się nieważne, bo brało w nim udział jedynie 47 proc. uprawnionych, ale zmobilizowało wyborców Orbána. Jego partia Fidesz dostała 45 proc. głosów, miażdżąc opozycję.

Teraz ten trik zamierza wykorzystać PiS. I właśnie patrząc, na kim wzorują się rządzący dziś Polską populiści, absolutnie nie należy ich referendum lekceważyć. ●

Bartosz T. Wieliński

eprasa.pl 092e2a9ccb

PO CO MNIE TRULI?

PRZECIEŻ JA JESTEM NIEWAŻNA

Znajomi, którzy zostali w Rosji, mówią, że ich horyzont zawęził się do jednego dnia. Że wychodząc rano z domu, nie wiedzą, czy wrócą

Z ROSYJSKĄ NIEZALEŻNĄ REPORTERKĄ, KTÓRĄ LUDZIE PUTINA PRÓBOWALI OTRUĆ, **JELENĄ KOSTIUCZENKO*** ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

W połowie sierpnia po raz pierwszy powiedziałaś publicznie, że rosyjskie służby usiłowały cię zabić. Najpierw w Ukrainie, gdzie w pierwszych tygodniach wojny pracowałaś jako reporterka „Nowej Gaziety", później w Niemczech. Ze wstępnych ustaleń śledczych wynika, że jesienią ubiegłego roku zostałaś zatruta w pociągu z Monachium do Berlina. Jak się czujesz?
– Najbardziej dokuczliwe objawy minęły. Zniknęły opuchlina, zaczerwienienia, odrętwienie, palące gorąco, które niespodziewanie ogarniało różne części ciała. Nie wymiotuję już, nie mdleję, nie boli mnie głowa ani brzuch. Jestem w stanie wstać z łóżka, pójść sama do łazienki, a nawet wyjść z domu i nie zgubić się, bo nie tracę już orientacji w terenie. Nareszcie mogę zasnąć i przespać całą noc. Ale nadal bardzo szybko się męczę. Nie jestem w stanie pracować więcej niż trzy godziny. A bywają dni, kiedy nie jestem w stanie zrobić nic.

Co mówią lekarze?
– Trudno im cokolwiek powiedzieć, bo wciąż nie wiemy na pewno, jakiej trucizny użyto i w jakiej ilości. Niemiecka policja nie dzieli się wynikami ekspertyz, nie wiemy więc, jakie substancje już wykluczyli. Lekarze wiedzą jedynie, że najprawdopodobniej był to dichloroetan. To już dużo. Dzięki temu wiem, że muszę co kilka miesięcy poddawać się serii badań, by wykluczyć nowotwór, bo to nie tylko toksyczna, ale również rakotwórcza substancja.

Dziennikarze śledczy dopatrują się w działaniach niemieckich służb podejrzanych zachowań. Roman Dobrochotow z The Insider mówił wprost, że jego zdaniem Niemcy komunikują się z Rosjanami, handlują informacjami.
– Powiem tak: nie wszystkie działania tutejszych służb są dla mnie zrozumiałe. Nie wiem, dlaczego moja krew nie została zbadana od razu pod kątem toksykologicznym albo dlaczego osoby, które przebywały ze mną w dniu zatrucia, nie zostały przesłuchane.

Ale nie jestem policjantką, nie wiem, jak przebiega śledztwo w Niemczech. Może tutaj, jak w Rosji, poszkodowany nie jest informowany na bieżąco. Wcale tego nie oczekuję. Chciałabym tylko wiedzieć, co wykazały wyniki badań, żeby lekarze mogli mi pomóc.

Kiedy mówiłaś mi, wtedy jeszcze nieoficjalnie, że zostałaś zatruta, powiedziałaś, że ogłosisz to publicznie, bo „chcesz żyć". Czujesz się teraz bezpieczniej?
– Nie wiem. Mimo że przez siedemnaście lat pracowałam w „Nowej Gaziecie" i byłam w bardzo różnych, niebezpiecznych sytuacjach, to nigdy nikt nie próbował mnie zabić.

Zdecydowałam się mówić, bo mam nadzieję, że tym, którzy mogą znów próbować, przynajmniej utrudnię zadanie. Chciałabym też, żeby inni niezależni rosyjscy dziennikarze, opozycjoniści i aktywiści byli ostrożniejsi. To, że jesteśmy w Europie, wcale nie oznacza, że jesteśmy bezpieczni. A ja się tak poczułam. Wcześniej, nauczona rosyjskim doświadczeniem, nigdy nie korzystałam z niezaufanych komunikatorów. Jesienią się rozluźniłam, omawiałam podróż do Monachium przez Messengera, choć w Rosji bym tego nie zrobiła.

Jak zorientowałaś się, że coś jest nie tak?
– Gdy wracałam z Monachium pociągiem do Berlina, zaczęłam bardzo intensywnie się pocić, dziwnym, lepkim potem, w którym wyczuwałam silny zapach zgniłych owoców. Zaczęła boleć mnie głowa, nie mogłam się skupić. Myślałam, że może to koronawirus, i zmartwiłam się, że jeśli trafię na kwarantannę, to nie będę mogła pojechać w delegację do Iranu, skąd miałam przygotować materiał dla Meduzy. Później było coraz gorzej. Na dworcu w Berlinie zrozumiałam, że nie mam siły nieść niewielkiej torby, że nie jestem nawet w stanie odtworzyć drogi do domu.

Co było później?
– Udało mi się dotrzeć do domu. Zasnęłam, obudziłam się przez ostry ból brzucha. Długo wymiotowałam, kręciło mi się w głowie. Ten stan się przeciągał. Po dziesięciu dniach udało mi się dostać do lekarza, ale lekarze początkowo uznali, że to skutki wcześniejszego koronawirusa. Prosiłam, by pobrali krew, bo czuję się potwornie. I wtedy okazało się, że to nie koronawirus. Enzymy wątrobowe ALT i AST były pięciokrotnie wyższe niż normalnie, w moczu znaleziono krew, objawy nie tylko się nasilały, ale również zmieniały, pojawiały się nowe. Przebadano mnie pod kątem wszelkich możliwych chorób nerek, wątroby, układu nerwowego, układu odpornościowego. Kiedy koncepcje się wyczerpały, lekarka zapytała mnie, czy to możliwe, że próbowano mnie otruć. Wyśmiałam ją. Powiedziałam, że nie jestem na tyle niebezpieczna.

Zgłosiłaś się na badania toksykologiczne po ponad dwóch miesiącach od zatrucia. Historie Skripala, Litwinienki nie zrobiły na tobie wrażenia?
– Ich przypadki wpisywały się w putinowską narrację o zdrajcach, którym nie można wybaczyć, więc trzeba ich zabić. O tym, że byli pracownicy rosyjskich służb nigdy i nigdzie nie mogą czuć się bezpiecznie, wiedziałam.

Tylko w trakcie twojej pracy w „Nowej Gaziecie" życie straciło czworo dziennikarzy.
– Ja wciąż nie rozumiem, jaki jest sens zabijania dziennikarzy, którzy opisują rzeczywistość.

Mówisz poważnie? Przecież wy opisujecie tę niewygodną dla Kremla rzeczywistość.
– Ale ona nie stanie się lepsza, jeśli zabiją dziennikarzy. I temat też nie umrze. Na miejsce każdego zabitego dziennikarza, który zajmował się niewygodną dla władz tematyką, przychodził zawsze następny. Po zabójstwie Anny Politkowskiej Czeczenię zaczęła opisywać Natalja Estiemirowa. Kiedy i ją zabili, pojawiła się Jelena Milaszyna. Co oni chcą osiągnąć, zabijając dziennikarza? Mam nadzieję, że śledczym uda się ustalić, kto próbował zabić mnie, bo bardzo chciałabym móc tym osobom zadać to pytanie.

Wiosną 2022 roku zamierzałaś się przedrzeć do okupowanego Mariupola.
– Mimo że redakcja „Nowej Gaziety" już wtedy oficjalnie nie działała, nie chciałam rezygnować. 29 marca spotkałam się z wolontariuszami, którzy jechali do Mariupola, żeby wywieźć stamtąd ludzi. Jeden zgodził się mnie zabrać. Dzień przed podróżą zadzwoni-

eprasa.pl 092e2a9ccb

FOT. ZOFIA DIMITRIJEVIĆ

ła koleżanka z redakcji. Powiedziała, że wie od swoich informatorów z rosyjskich służb, że w Mariupolu przygotowywany jest na mnie zamach i że kadyrowcy dostali rozkaz zabicia mnie. Godzinę później taką samą informację dostałam od źródła z ukraińskich służb. Chciałam jechać, ale dotarło do mnie, że gdyby nas zatrzymali i mnie rozpoznali – zabiją również mojego przewodnika.

Jak zareagowała twoja redakcja?
– Dmitrij Muratow [naczelny „Nowej Gaziety", laureat pokojowego Nobla 2021] powiedział mi, że mam natychmiast wyjechać z Ukrainy. A później, że nie mogę wrócić do Rosji, bo z jego informacji wynika, że czeka mnie tam nie więzienie, ale śmierć.

Po 24 lutego 2022 r. spędziłaś w Ukrainie pięć tygodni, opisując zbrodnie rosyjskiej armii. W tym czasie Kreml wprowadzał wojenną cenzurę, zamykał niezależne redakcje, blokował portale informacyjne.
– Kiedy jesteś w kraju, który niszczy twoja ojczyzna, wśród ludzi zabijanych przez „twoich" żołnierzy, nie możesz milczeć. To znaczy możesz, ale moje życie straciłoby sens. Kiedy władze wprowadziły do piętnastu lat więzienia za rozpowszechnianie o wojnie informacji innych, niż oficjalne przewidziano, pracowałam w Odessie. Miasto przygotowywało się do szturmu. Wiedziałam, że dla rosyjskiego prawa to, czym się zajmowałam, było przestępstwem i jeśli wrócę, to mnie zamkną. Ale co miałam zrobić? Moi czytelnicy czytają mnie od lat, wiedzieli, że jestem w Ukrainie, czekali na te materiały, by dowiedzieć się prawdy.

Czekali?
– Moje teksty z Ukrainy przeczytała ogromna liczba osób. Najpierw na łamach „Nowej Gaziety", a kiedy władze zmusiły redakcję do usunięcia ich i zamknięcia portalu, skontaktowały się ze mną niezależne rosyjskie redakcje pracujące z zagranicy z prośbą o możliwość przedrukowania ich u siebie. W efekcie reportaże z Ukrainy ukazały się na wielu stronach, docierając do jeszcze większej liczby czytelników.

Gdyby ludzi te materiały nie interesowały, władze nie zażądałyby usunięcia ich.

Jak reagowali?
– Reakcje były różne. Tym, których bliscy znaleźli się na tej wojnie, zginęli na niej albo wrócili okaleczeni,

Urzędnicy chodzili od mieszkania do mieszkania, pytając ludzi, czy wiedzą, że jestem lesbijką. To było osiedle robotnicze, bardzo prości ludzie, którzy w odpowiedzi pytali ich: „A na chuja nam o tym mówicie? Nie nasz interes"

trudno jest przyjąć, że ona nie ma sensu. Człowiek stracił rękę, nogę albo zdrowie na wojnie. Jak ma się pogodzić, że na próżno?

Dla wielu Rosjan bardzo bolesne jest słyszeć, że w ich ukochanym kraju rozpanoszył się faszyzm, że Rosja prowadzi w ich imieniu straszną wojnę. W moim otoczeniu też są takie osoby. Część powoli tę prawdę przyjmuje.

A jak to wygląda w skali społeczeństwa?
– Skala represji jest tak wielka, że nie wiemy, co dzisiaj tak naprawdę myślą ludzie w Rosji. Widzimy sondy uliczne, podczas których Rosjanie są pytani, czy popierają „specjalną operację wojenną". Czy człowiek, który odpowiada twierdząco, rzeczywiście tak myśli, czy obawia się, że jeśli powie prawdę, to do niego przyjdą? Znów mamy do czynienia z rozdwojeniem albo nawet roztrojeniem jaźni, co powszechne było w ZSRR: na ulicy mówisz jedno, w kuchni, wśród bliskich, drugie, myślisz trzecie. To bardzo niebezpieczne. Znajomi dziennikarze i działacze, którzy pozostali w Rosji, mówią, że ich horyzont planowania zawęził się do jednego dnia. Że wychodząc rano z domu, nie wiedzą, czy do niego wrócą.

Coś jeszcze oprócz strachu?
– Największą raną społeczeństwa jest poczucie wyuczonej bezradności. Rosjanie nie wierzą, że mogą cokolwiek zmienić, że są w stanie efektywnie sprzeciwić się państwu. Bardzo trudno jest z tego stanu wyjść, a władze niszczą wszystko, co mogłoby pomóc ludziom uwierzyć w swoją sprawczość.

Drugą kwestią jest bieda i nędza. Rosjanie, mimo że mieszkają w bardzo bogatym kraju, żyją biednie, a duża część społeczeństwa, około 15 milionów obywateli, wręcz w nędzy. Wcześniej myślałam, że bieda to efekt korupcji, rozkradania, kiepskiej polityki gospodarczej. Dzisiaj uważam, że to celowy zabieg władzy. Kiedy ludzie są zajęci wiązaniem końca z końcem, nie mają siły, by zastanawiać się nad rzeczywistością. To nie są ludzie, którzy mieli możliwość, by wieczorem po pracy usiąść razem przy stole i przy filiżance herbaty poczytać „Nową Gazietę", porozmawiać o tym, co się dzieje. I to właśnie najczęściej ci ludzie, mimo że większość nie jest w jakikolwiek sposób zideologizowana, trafiają na front: służba w armii przez lata oznaczała dla nich zarobki wielokrotnie większe niż gdziekolwiek indziej w regionach, z których pochodzą. Nie usprawiedliwiam ich jednak w żaden sposób.

Co najbardziej zaskoczyło cię w Ukrainie?
– Nigdy nie zapomnę, jak bardzo pomagali mi Ukraińcy. Granicę polsko-ukraińską przekroczyłam 25 lutego. Byłam sama, miałam torbę, hełm, kamizelkę kuloodporną. Telefon przestał działać, bo miałam rosyjską kartę SIM, karta bankowa też. Myślałam, że już koniec. Podeszłam do mężczyzny, który właśnie pożegnał się z żoną i dziećmi, wyjeżdżającymi z kraju. Poprosiłam, żeby mi udostępnił internet, bo muszę się skontaktować z redakcją w Moskwie. Później wziął na plecy moją torbę i szliśmy razem pieszo kilkadziesiąt kilometrów. Dzielił się jedzeniem, uspokajał. Podobnych zachowań było wiele, gdyby nie to, nie byłabym w stanie pracować tam tak długo. Ludzie ryzykowali życie, by mi pomóc.

Ukraińcy rozmawiali ze mną, opowiadali, co czują, co przeżyli, dzielili się bólem, ale nie dlatego, że zapałali do mnie sympatią. Wiem, że chcieli przeze mnie dokrzyczeć się do Rosjan, rozmawiać z nimi w czasie, kiedy na Ukrainę spadały bomby. Chcieli w ten sposób wyjaśnić Rosjanom, co się tak naprawdę dzieje, i zmotywować do tego, by zatrzymali wojnę. Teraz już tego nie ma, co zrozumiałe, ale wtedy ta gotowość prowadzenia dialogu mnie poraziła.

Jak czujesz się dzisiaj jako rosyjska dziennikarka w Europie?
– Nijak. Bardzo ciąży mi, że nie mogę pracować w Rosji. To tam powinnam teraz być i tam jestem najbardziej potrzebna. Bardzo też tęsknię za domem. Marzę, by móc wrócić do Rosji, zobaczyć mamę, siostrę, kota. Wrócić do mojego mieszkania.

Nie doświadczam dyskryminacji, nie mam problemów ze względu na narodowość. Oczywiście, pewne rzeczy są trudniejsze przez rosyjski paszport. Otwarcie konta w banku w Niemczech trwa bardzo długo, wymaga dodatkowej kontroli. Ale rozumiem dlaczego i nie mam żalu. To są drobiazgi, nie da się porównać tego do tragedii Ukraińców.

Zdarza ci się rozmawiać z Ukraińcami w Berlinie?
– Nawiązałam kontakt z kobietą z Mariupola, która straciła matkę i dwoje dzieci. Koleżanka poprosiła, bym pomogła jej z dokumentami i z urządzeniem się na miejscu. Byłam przygotowana na gniew, rozpacz, złość. Na to, że mi napluje w twarz. A ta kobieta była uprzejma, ale i bardzo zdystansowana. Widziałam, że jej ze mną ciężko, ale wymieniłyśmy się numerami. Po dobie dostałam wiadomość, że wyszukała mnie w internecie, zobaczyła, czym się zajmuję, i że chce, żebym wiedziała, że nie żywi do mnie nienawiści. Płakałam przez kilka godzin.

Zawsze kiedy opowiadam znajomym o twojej pracy, mówię, że naprawdę kochasz Rosję.
– Pracując nad ostatnią książką, zrozumiałam, że miłość do ojczyzny wszystkich nas zmienia w trakcie naszego życia. Nie zawsze w dobry sposób. Niekiedy zmusza do przymykania oczu. Do wiary, że będzie dobrze, choć wszystko wskazuje, że wcale nie.

Wielokrotnie słyszałam od ciebie, że w Rosji króluje faszyzm. Jak to rozumiesz?
– Jako system polityczny, który usiłuje kontrolować życie ludzi we wszystkich możliwych aspektach. Opiera się na idei wyższości jednych nad innymi, a więc i nierównej wartości ludzkiego życia. To system, który odrzuca istnienie praw człowieka. Ale nie tylko. Faszyzm w Rosji przejawia się także w utrzymywaniu ludzi w ciągłym poczuciu wojennej mobilizacji.

Ale to nie jest tak, że on się narodził z dnia na dzień.
– Oczywiście, to wieloletni proces. Sygnałem ostrzegawczym były rosnące nierówności społeczne. Jedną z pierwszych rzeczy, którą zrobił Putin, była reforma systemu podatkowego. Od tego momentu pieniądze

eprasa.pl 092e2a9ccb

ze wszystkich regionów spływały do Moskwy, gdzie decyduje się, jaka część ma do nich wrócić. To nie tylko ograniczyło samodzielność regionów, ale również stworzyło gigantyczną przepaść między tym, jak żyje się w Moskwie, a jak w odleglejszych częściach Rosji.

Ty zauważałaś tę różnicę tuż po przeprowadzce z Jarosławia.
– Kiedy przyjechałam do Moskwy na studia, nie miałam nic. Z czasem obrastałam w przedmioty, kupiłam komputer, telefon, poziom życia stopniowo się polepszał. Stopniowo zaczęłam do wszystkich dóbr przywykać, aż złapałam się na tym, że nie zastanawiam się już, dlaczego w Moskwie mamy piękne, czyste chodniki, światełka i dekoracje, a w Jarosławiu trudno jest wyjść zimą z domu, bo ziemia przed blokiem jest rozkopana i zamarza tak, że nie da się otworzyć drzwi.

Mówisz o nierównościach w Rosji, a ja myślę w twoim kontekście też o innych. Jesteś przecież zadeklarowaną lesbijką.
– Tak, i wprowadzenie przez władze w 2013 r. zakazu „propagowania homoseksualizmu" było dla mnie bardzo jasnym sygnałem. W tym przepisie osoby identyfikujące się z mniejszościami seksualnymi są uznawane za „niepełnowartościowe". Mnie długo wydawało się, że to nie da rady funkcjonować, bo w życiu nie spotykałam się z problemami ze względu na orientację: ani w pracy, ani wśród znajomych. Myślałam, że wystarczy zwrócić uwagę na absurdalność tego przepisu. Bo przecież my, społeczność LGBTQ, jesteśmy dokładnie takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni: płacimy podatki, pracujemy, mamy krewnych, sąsiadów, kolegów z pracy. A jednak nie mamy podstawowych praw człowieka.

Chodziłam na protesty, miałam nadzieję, że do ludzi dotrze, że nie ma nic bardziej obrzydliwego, i że ich też oburzy fakt, że ich siostra, sąsiad czy przyjaciel mają nie być pełnoprawnymi obywatelami, bo kochają kogoś innego...

Tłumaczyłaś mi kiedyś, że w gruncie rzeczy Rosjanie nie są homofobiczni.
– Zależy od regionu. Są takie, np. Dagestan czy Czeczenia, gdzie bycie gejem czy lesbijką wiąże się z zagrożeniem życia. Ale ogólnie homofobia jest przede wszystkim narzędziem wykorzystywanym przez państwo.

Jedną ze składowych faszyzmu jest mobilizacja narodu, a ten stan może się utrzymywać tylko wtedy, jeśli ma się zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych wrogów. Na przełomie 2011 i 2012 r., kiedy Putin wrócił na trzecią kadencję, władze wybrały sobie na wroga wewnętrznego społeczność LGBTQ. Dlaczego nas? Bo po Hitlerze mianować nim Żydów byłoby... no tak sobie. A my jesteśmy do tej roli idealni: niby tacy sami, a jednak zupełnie inni. To dlatego w czasie wojny przeciwko Ukrainie władze jeszcze bardziej zaostrzyły przepisy i zaczęły uprawiać jeszcze bardziej agresywną, homofobiczną propagandę. Ludzie mają się bać, wierzyć, że Putin jest ich w stanie ochronić.

Ludzie w to wierzą?
– Moja dziewczyna, Jana, bardzo późno powiedziała rodzicom, że jest lesbijką. Mieszkała z rodzicami w niewielkiej miejscowości, ojciec zawsze źle wypowiadał się na temat gejów, mówił, że trzeba ich rozstrzelać. Ale teraz, kiedy zaczęłyśmy obie rozmawiać z mediami, jasne stało się, że jej rodzice i tak się dowiedzą. Jana bardzo się bała, ale zadzwoniła do ojca i powiedziała mu, że jesteśmy razem, planujemy dziecko. Wiesz, co powiedział? Że ją bardzo kocha i że wszystko, co jest dobre dla niej, jest też dobre dla niego.

Miłość ojcowska zwyciężyła?
– Nawet nie to. Bo powiedział przy tym, że uważa, że każdy człowiek może żyć, jak chce, i kochać, kogo chce. Jana zapytała go, dlaczego w takim razie przez tyle lat mówił takie rzeczy o gejach, a on na to: „A co miałem mówić o gejach w takiej dziurze jak nasze miasteczko?".

O tym, że ja jestem lesbijką, wiedzą nie tylko moi bliscy i koledzy z pracy, ale również czytelnicy. I mimo że jeździłam po najbardziej odległych regionach Rosji, nikt nigdy nie sprawiał mi problemów. Wręcz przeciwnie. Ludzie wiele razy pytali mnie, z ciekawością, nie wrogością: „Czy zakochać się w dziewczynie jest tak samo jak w chłopaku? A jakie to uczucie? A jak wygląda seks lesbijek? A czy planujesz dziecko i jakie masz możliwości?".

A ze strony władz?
– Przedstawiciele władz, kiedy organizowałam protest przeciwko wyburzeniu domu, w którym mieszkałam, próbowali zdyskredytować mnie w oczach sąsiadów, chodząc od mieszkania do mieszkania i pytając ich, czy wiedzą, że jestem lesbijką. To było osiedle robotnicze, w moim domu mieszkali bardzo prości ludzie, którzy w odpowiedzi pytali ich: „A na chuja nam o tym mówicie? Nie nasz interes". Pod koniec lat 90. najpopularniejszym zespołem w Rosji był duet Tatu: dwie dziewczyny udające lesbijki, śpiewające o zakazanej miłości. Te piosenki były wszędzie, wszyscy je śpiewali. Homofobię narzucają władze.

Jesteś w stanie powiedzieć, co było momentem przełomowym, który tak, a nie inaczej ukierunkował władze?
– Biesłan. We współczesnej historii Rosji kluczową rolę odegrał brak masowej, gwałtownej reakcji na tragedię w Biesłanie. Po tym, jak rosyjskie wojska szturmowały zajętą przez terrorystów szkołę i zginęły setki dzieci, Rosjanie nie wyszli masowo na ulice. Wiadomo: ludzie byli w szoku, propaganda kłamała, władze zaczęły przedstawiać wojskowych jako tych, którzy oddali życie, by uratować dzieci, nie jako tych, którzy – w imię zniszczenia wroga – są gotowi zabić dziecko. Ale ten brak mocnej reakcji sprawił, że Putin zrozumiał: mogę robić, co chcę.

Ta Rosja, którą kochasz...
– To przede wszystkim ludzie. Ale także miejsce. Nigdy nie ukrywałam, że jestem patriotką. Tylko że władze w bardzo cyniczny sposób wypaczyły słowo „patriotyzm". Bo spójrz, Putin i propaganda grają na dobrych uczuciach ludzi. Wykorzystują miłość do ojczyzny, wiarę w sprawiedliwość i ich chęć niesienia pomocy słabszym, żeby zakłamywać rzeczywistość. Pod płaszczykiem dobrych chęci Putin próbuje wmówić Rosjanom, że jeśli kochają swój kraj, muszą zostać mordercami.

Wiesz, czego nauczyłam się, mieszkając w Niemczech?

Czego?
– Tego, jak miłość do ojczyzny postrzegają te narody, którym udało się przepracować traumy. Moi tutejsi przyjaciele tłumaczyli mi, że Niemcy nie mają w zwyczaju mówić o miłości do kraju. W żadnym kontekście. Po wojnie Niemcy doszli do wniosku, że taka miłość jest niebezpieczna, że można kochać ludzi, rodzinę, konkretne miejsce, w którym się mieszka, życie, ale nie kraj. Bo ta miłość może zostać wykorzystana przez polityków. I zmusić cię do zabijania.

Zauważyłam, że dużo o tym mówisz.
– Mój kraj każdego dnia, oficjalnie także w moim imieniu, zabija Ukraińców. To samo działo się w Czeczenii, Gruzji, Syrii. Bardzo ciężko jest żyć z tą świadomością. Wielu Rosjan nie jest gotowych na poznanie prawdy. Wierzą w bardzo przyjemną wizję, że żyją w kraju, który jest bezgrzeszny i sprawiedliwy. I który nigdy nie zaczął żadnej wojny, jedynie je kończył.

Często słyszę w Europie, że Rosjanie po prostu popierają wojnę.
– Ja nie znam Rosjan, którzy popierają wojnę. Znam takich, którzy wierzą, że tej wojny nie dało się uniknąć i że jest sprawiedliwa, ale to wciąż ludzie, którzy jej nie chcieli i nie chcą. Bo nie da się wojny chcieć. Nie można chcieć być zabójcą. Ludzie tłumaczą sobie, że skoro władze zdecydowały się na takie okrucieństwa, zbrodnie i przestępstwa, to widocznie musi być coś niezmiernie ważnego, o czym nikt z nas nie wie, a co mogłoby w jakiś sposób to wszystko usprawiedliwić.

To efekt propagandy?
– Jeden z efektów. Niektórym się wydaje, że skoro czytają niezależne media, to propaganda na nich nie działa. A to nieprawda. Propaganda działa na wszystkich. Bo celem propagandy nie jest wmówienie ludziom, że Putin ma rację. To oczywiście najbardziej pożądane, ale jeśli się nie uda, to wystarczy narzucenie przeświadczenia, że pewnie w czymś ma rację, gdzieś się myli, ale my „nie znamy całej prawdy". Jeśli i to się nie powiedzie, to propagandyści będą chcieli przekonać cię, że sprzeciwiając się, zniszczysz sobie życie, bo aparat represyjny jest tak silny, że cię pożre.

A jeśli i w to nie uwierzysz albo cię to nie wystraszy, to przyjdzie ci zmierzyć się z wykreowaną przez propagandę iluzją, że takich jak ty więcej nie ma; że jesteś sama ze swoimi poglądami. Nie uwierzysz? Wtedy wmówią ci, że jesteś bezsilna i że i tak nie jesteś w stanie nic zmienić. To działa.

Chcesz powiedzieć, że na ciebie też działała kremlowska propaganda?
– Jasne. Narzucała mi tzw. optymizm biologiczny, wiarę, że wszystko będzie dobrze, choć jak na dłoni widać, że będzie chujowo. 24 lutego 2022 obudziłam się w nocy i poszłam zapalić. Kiedy wróciłam do sypialni, zobaczyłam, że Jana nie śpi. Czytała wiadomości i powiedziała mi, że „bombardują Kijów". A dla mnie to było na tyle absurdalne, że mimo znajomości całej sytuacji, relacjonowania niejednej wojny zapytałam: „Ale kto? Jak to? My bombardujemy?".

Dmitrij Muratow przez wiele lat mówił, że będzie wojna i że trzeba coś zrobić, by do niej nie dopuścić. Wszyscy nazywali go panikarzem, obwiniali o czarnowidztwo. Ja też nie wierzyłam, że do wojny na pełną skalę może dojść. Bo widziałam, że nie było zapotrzebowania na wojnę w społeczeństwie. I nawet kiedy 24 lutego pakowałam torbę w delegację, byłam przekonana, że jadę do Ukrainy na kilka dni, bo to szaleństwo nie może trwać długo. Byłam przekonana, że Putin – tym razem oficjalnie – wprowadzi wojska do Donbasu i będzie szantażować świat, nie więcej.

Twoja mama podobno ogląda państwową telewizję.
– Dopiero niedawno powiedziała, że nie rozumie, po co ta wojna. To efekt jej ogromnej pracy nad sobą. Trzeba rozumieć, że ta wiedza, którą chcemy przekazać Rosjanom w kraju, jest dla nich bardzo bolesna. Moja mama jest już starsza, ma 75 lat, mieszka w Rosji, ogląda państwową telewizję. Jest bardzo dobrą kobietą i bardzo kocha Rosję. I teraz wyobraź sobie, że ja chcę, żeby uwierzyła, że jej ukochany kraj zabija. Że od lat jest nie tylko okłamywana, ale również uwierzyła w te kłamstwa. I że zbrodnie, które popełnia armia, popełniane są także w jej imieniu. Jakie to musi być uczucie? Od początku inwazji bardzo dużo się kłóciłyśmy, nasze codzienne rozmowy telefoniczne były trudne, ale jesteśmy dla siebie zbyt ważne i za bardzo się kochamy, by pozwolić Putinowi zniszczyć naszą relację.

Kiedy widziałyśmy się w Warszawie tuż po twoim wyjeździe z Ukrainy, opowiadałaś, że mama dzwoniła, by wyjaśnić ci, co właściwie się dzieje w Ukrainie.
– Kiedy pracowałam nad reportażem w Mikołajowie, dużo czasu spędziłam w biurze medycyny sądowej, dokąd przywożono ciała. Leżały w chłodniach hałdami, jedno na drugim, bo ukraińskie kostnice nie były przygotowane na taką liczbę zgonów. Na wierzchu leżały ciała dwóch sióstr, Ariny i Weroniki. Jedna miała trzy lata, druga siedemnaście. Zabiły je odłamki rakiety. Tego wieczora zadzwoniła do mnie mama, by znów wytłumaczyć mi, co dzieje się na wojnie. Poprosiłam ją, by przestała, a kiedy to nie podziałało, powiedziałam jej, że widziałam dzisiaj ciała martwych dzieci. Mama była przerażona, krzyczała, że to niemożliwe, że „rosyjscy żołnierze nie mogliby czegoś takiego zrobić". Tak samo zareagowała na wieści o Buczy.

Czytała wcześniej „Nową Gazietę"?
– Czytała, ale mówiła przy tym, że „robimy gazetę dla masochistów". Mówiła, że to, o czym piszemy, jest tak potworne i straszne, że nie da się tego czytać, bo jak z tą świadomością żyć, jeśli nie może się nic zrobić? Wiem dzisiaj, że to nasz błąd.

1 RP

Nawiązałam kontakt z kobietą z Mariupola, która straciła matkę i dwoje dzieci. Powiedziała, że nie żywi do mnie nienawiści. Płakałam przez kilka godzin

Ja nie znam Rosjan, którzy popierają wojnę. Znam takich, którzy wierzą, że jest sprawiedliwa, ale to wciąż ludzie, którzy jej nie chcieli i nie chcą

eprasa.pl 092e2a9ccb

Co masz na myśli?
– Daliśmy się wkręcić w zachodni mit, że dziennikarz nie powinien być uczestnikiem wydarzeń. Przez wiele lat myślałam, że jeśli jestem dobrą dziennikarką, która świetnie opisuje, jak w Rosji rozwija się faszyzm, to spełniam swój obowiązek. A to było za mało. Obowiązek zawodowy nie zwalnia z obowiązku obywatelskiego. Nie da się zwyciężyć faszyzmu słowami. Nie da się go też pokonać, żyjąc w liberalnych, antysystemowych bańkach społecznościowych. My długo żyliśmy w przekonaniu, że te budowane przez nas i pielęgnowane wysepki swobody się rozrosną, połączą w całość i sprawią, że Putin zniknie. Tymczasem okazało się, że jedna decyzja Putina doprowadziła do tego, że wszystko legło w gruzach.

Brzmisz jak ktoś, kto ma wyrzuty sumienia.
– Bo mam. Wiem, że robiłam dużo i że gdyby nie praca „Nowej Gaziety" i innych niezależnych mediów, katastrofa nastąpiłaby wcześniej. Ale mam poczucie, że powinnam zrobić więcej. Wszyscy powinniśmy byli. Powinniśmy bardziej próbować dotrzeć do tych, którzy nie mają narzędzi, by zastanawiać się nad rzeczywistością. Ale i robić więcej samodzielnie: jednoczyć się, wychodzić na protesty, sprzeciwiać się władzy. Nie robiłam tego w takim stopniu, w jakim należało, bo byłam zadowolona ze swojego życia. Dzisiaj staram się to naprawić. Nie mogę się wdawać w szczegóły, powiem tylko, że robię teraz zdalnie na terytorium Rosji rzeczy, które wcześniej dla mnie, dziennikarki, były nie do pomyślenia.

Czego się boisz?
– Boję się, że Rosja wygra. Nie ma nic straszniejszego dla kraju niż niesprawiedliwie wygrana wojna. Ta wygrana ostatecznie zniszczyłaby nas jako naród. Wygrana Putina spowodowałaby rozkwit faszyzmu, który zawsze jest ekspansywny. A to nieuchronnie doprowadziłoby do kolejnej wojny. Przyznaję, tego scenariusza bardzo się obawiam. Mam nadzieję, że nigdy się nie zrealizuje, że my, Rosjanie, będziemy mieć szansę na przyszłość.

Jak ją widzisz?
– Bardzo mgliście. Wiem, że to nie będzie tak, że wojna się skończy, władza się zmieni i z dnia na dzień wszystko będzie dobrze. Państwo wymaga odbudowy i reform, na które potrzebne będą dziesięciolecia. Ale chodzi o przyszłość nie tylko naszą, ale również naszych dzieci. ●

*Jelena Kostiuczenko

• ur. w 1987 r., rosyjska dziennikarka śledcza i aktywistka LGBT+. Publikuje w „Nowej Gaziecie". Jako pierwsza informowała o proteście Pussy Riot, ujawniła również obecność wojsk rosyjskich na terytorium Doniecka. Kilkukrotnie atakowana i aresztowana. Za książkę „Przyszło nam tu żyć" otrzymała nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. W 2013 roku otrzymała Nagrodę im. Gerda Buceriusa za odwagę w pracy dziennikarskiej. Jest uważana za jedną z najlepszych rosyjskich dziennikarek i reporterek.

„Putin, car Atlantydy. Droga do wielkiej wojny". Nowa książka Wacława Radziwinowicza już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl. Tam również **„Przyszło nam tu żyć. Reportaże z Rosji"** Jeleny Kostiuczenko

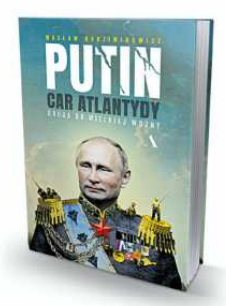

Jak i kogo trują

Nowiczok wyszedł z mody na Kremlu. Niby i tak wszyscy wiedzą, kto za tym stoi, ale po co się podpisywać?

Wiktoria Bieliaszyn

Zdaniem Romana Dobrochotowa, naczelnego „The Insider", który od lat ze śledczymi z organizacji Bellingcat tropi zamachowców Kremla w Europie, w ostatnich miesiącach doszło co najmniej do kilku prób otrucia rosyjskich opozycjonistów. Oprócz Jeleny Kostiuczenko celem była przewodnicząca organizacji Free Russia Natalia Arno, znana z lobbowania na rzecz nałożenia na Rosję sankcji. Próbowano otruć też Irinę Babłojan, dziennikarkę zamkniętego radia Echo Moskwy.

W grupie najbardziej narażonych są rosyjscy dziennikarze śledczy, opozycjoniści z otoczenia Nawalnego, działacze antywojenni oraz członkowie rodzin oponentów Kremla. Zaatakowane kobiety przebywały w Niemczech, Czechach oraz w Gruzji. W odróżnieniu od prób otrucia Nawalnego w 2020 r. oraz Siergieja i Julii Skripalów w 2018 r., nie doszło jednak do użycia substancji bojowej z grupy nowiczoków. – To zrozumiałe. Byłoby to równoznaczne z podpisaniem się przez Kreml – tłumaczy Dobrochotow.

Arno wspomina, że źle się poczuła, gdy była wiosną w Pradze, dokąd przyjechała z Berlina z konferencji rosyjskich opozycjonistów, zorganizowanej przez Michaiła Chodorkowskiego. – Drzwi mojego pokoju były otwarte. Poczułam też słodki, mdły zapach przypominający tanie perfumy. Krótko potem poczułam ostry ból oraz silne drętwienie kończyn. Dobrze znam przypadek opozycjonisty Władimira Kara-Murzy, którego służby usiłowały otruć dwa razy. Od razu wiedziałam, że to może być próba otrucia. Amerykańscy lekarze ustalili, że miałam do czynienia ze środkiem paralityczno-drgawkowym.

A co ustalili niemieccy lekarze badający Kostiuczenko i Babłojan? Klinika Charité, w której w ostatnich latach ratowano po próbach otrucia m.in. Nawalnego, „zgubiła" wyniki badań toksykologicznych. – Od naszych informatorów wiemy, że zabrały je niemieckie służby – mówi Dobrochotow. To nie pierwszy taki przypadek. – FBI utajniło dokładne wyniki badań toksykologicznych Kara-Murzy, którego, jak ujawnił Bellingcat i co jasno wynikało z wyników badań, FSB usiłowało otruć dwa razy. Do decyzji doszło po wizycie w USA szefa FSB Aleksandra Bortnikowa, szefa Służby Wywiadu Zagranicznego Siergieja Naryszkina i szefa wywiadu wojskowego GRU Igora Korobowa. – Służby usiłują prowadzić swoją własną grę, negocjować z rosyjskimi, wykorzystywać informacje do targowania się.

Niewykluczone, że trzem Rosjankom podano zbyt małą dawkę trucizny, by doprowadzić do zgonu, ale możliwe też, że nie dojadły swojej porcji lub nie dopiły napoju, w którym mogła być substancja. Trudno ocenić, czy usiłowano je zabić, czy jedynie pogorszyć ich stan zdrowia na tyle, by nie mogły pracować. Aleksandr Polupan, lekarz, który w 2020 r. przybył do szpitala w Omsku, by pomóc zdiagnozować Nawalnego, mówi, że ustalenie i potwierdzenie substancji jest niemożliwe. – By cokolwiek wykryć, ma się maksymalnie kilka dni, czasami dobę.

Potwierdzają to historie poprzednich głośnych prób otruć. Piotr Wierziłow z grupy Pussy Riot w BBC tłumaczył: „Lekarze z kliniki Charité doszli do wniosku, że jedną z głównych właściwości substancji, którą zostałem zatruty, była fantastycznie szybka zdolność do usuwania z organizmu. Po dobie testy nie wykryły tej substancji". Podobnie było w przypadku Kara-Murzy. Po pierwszej próbie otrucia polityk otrzymał wyniki badania przeprowadzonego we Francji: normy zawartości metali ciężkich w jego organizmie zostały znacznie przekroczone, ale eksperci nie mogli już ustalić substancji.

Otrucie to jeden z najpopularniejszych sposobów na pozbycie się najbardziej niewygodnych opozycjonistów, działaczy oraz tych, których Moskwa uważa za zdrajców. Przekonał się o tym w 2020 r. Nawalny, najbardziej rozpoznawalny opozycjonista, którego agenci FSB usiłowali zabić substancją bojową z grupy nowiczoków. Tej samej, którą wykorzystano wcześniej w jednym z najgłośniejszych, najbardziej cynicznych i bezczelnych zamachów Putina: otruciu Aleksandra Litwinienki.

W pierwszych latach nowego stulecia były oficer KGB i FSB aktywnie krytykował Putina oraz rosyjskie służby, ujawniając ich zbrodnie i przekręty. Otruto go w 2006 r. w Londynie radioaktywnym polonem-210. Konał w mękach, a zapatrzony w nowoczesnego, dynamicznego prezydenta Rosji Zachód przeżył szok, odkrywając pod szytym na miarę garniturem kagebistę niczym z czasów zimnej wojny.

12 lat później, również w Wielkiej Brytanii, trucizną potraktowano innego „zdrajcę ojczyzny", byłego oficera GRU, pułkownika Siergieja Skripala. 4 marca 2018 r. Skripal i jego córka Julia zostali znalezieni nieprzytomni na ławce w mieście Salisbury. Lekarze stwierdzili zatrucie substancją bojową z grupy nowiczoków, której recepturę posiadają jedynie rosyjscy chemicy.

W 2004 r. najprawdopodobniej zatruta była także Anna Politkowska. Patrząca Kremlowi na ręce i prowadząca niewygodne śledztwa dziennikarka „Nowej Gaziety" leciała akurat z Moskwy do Rostowa nad Donem, skąd zamierzała udać się do Biesłanu, gdzie terroryści zajęli szkołę. W trakcie lotu Politkowska wypiła herbatę, po czym straciła przytomność. Po lądowaniu w Rostowie została przewieziona do szpitala w ciężkim stanie. Lekarze rozpoznali „zatrucie niewiadomą substancją", ale później „zgubili dokumenty". Dwa lata później dziennikarka została zastrzelona. ●

OGŁOSZENIA

SPOTKANIA Z AUTORKĄ
WSTĘP WOLNY

10 WRZEŚNIA
13:00
Kinoteka Kawiarnia, Warszawa

14 WRZEŚNIA
19:00
Faktyczny Dom Kultury, Warszawa

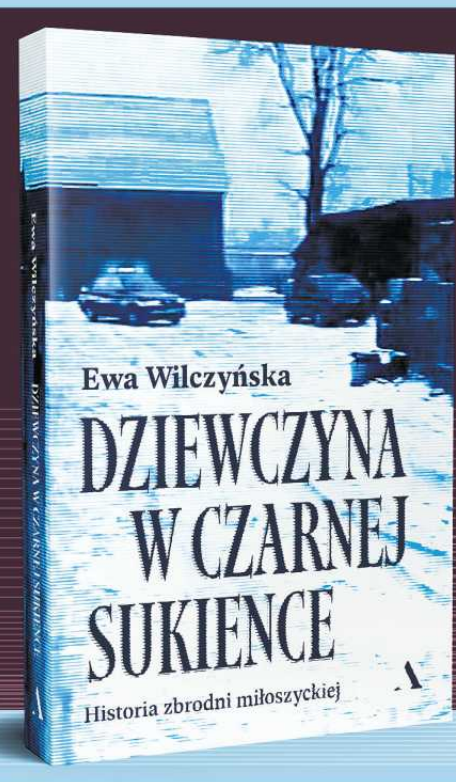

TA HISTORIA NIE POWINNA SIĘ WYDARZYĆ.
TA KSIĄŻKA MUSIAŁA POWSTAĆ.

GRZEGORZ GŁUSZAK, TVN

To miała być prosta sprawa. Niewielka społeczność, zamknięty krąg podejrzanych. A jednak nie udało się ustalić, kto zgwałcił i zabił Małgosię. Aż w końcu pojawił się podejrzany. Nazywał się Tomasz Komenda. Został skazany, ale po osiemnastu latach uwolniono go i uniewinniono.

Ewa Wilczyńska napisała fascynującą reporterską opowieść o tym, w jaki sposób jedna zbrodnia zniszczyła życie bardzo wielu osobom. Układając precyzyjnie wszystkie elementy tej jednej z najbardziej tajemniczych i skomplikowanych spraw kryminalnych, stworzyła opowieść, która pozwala rozumieć i współczuć.

PREMIERA 6 WRZEŚNIA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34248365

eprasa.pl 092e2a9ccb

Matura będzie trudniejsza. Albo w ogóle nie będzie matury. W planie nie będzie religii, a może nawet fizyki i chemii. Przyjrzałam się oświatowym planom partii, które chcą przejąć władzę

MIAŁAM SEN. O SZKOLE

Natalia Mazur

Pierwsza klasa zaczęła się obiecująco: dwa języki obce, nauka pływania, szachy, w świetlicy zajęcia pozalekcyjne do wyboru. I jeszcze świetna wychowawczyni: doświadczona, ale wciąż próbująca nowych metod. Wezwała rodziców do szkoły i oznajmiła, że będzie pracować zgodnie z planem daltońskim: stuletnią metodą opracowaną w USA z myślą o klasach, w których uczą się dzieci w różnym wieku, zatem o różnych predyspozycjach. Ten trening współpracy i samodzielności zaprocentował później w lockdownach.

Był rok 2018, działo się to w Polsce, w zwykłej podstawówce. Najbliższej rejonowej, do której mogłam dziecko odprowadzić wzrokiem. Może szkoda gimnazjów – myślałam – a zarobki nauczycieli to wstyd dla nas wszystkich, ale poza tym publiczna oświata jest OK.

Minęło pięć lat. Rządzący zdusili strajk nauczycieli, przyszła pandemia, nastał Przemysław Czarnek. Minister edukacji osiągnął już dwuprocentowy brak nauczycieli. I mówi, że to mało. Konsekwentnie próbuje pogonić ze szkół organizacje pozarządowe, wiele robi, by przegnać z niej uczniów. Kogo stać, ten przenosi się do szkoły niepublicznej. Kogo nie stać, temu Czarnek zapewni schadenfreude: bo i niepubliczną oświatę przydusi kuratorskim nadzorem.

Dziś rozpoczęciu roku szkolnego towarzyszą zupełnie inne emocje. Bardziej takie, jak przy oglądaniu horroru typu slasher, w którym stopniowo znikają bohaterowie. Otwieram e-dziennik i sprawdzam: Kto został? Kto przepadł?

W tym roku, zamiast parzyć podwójną melisę, pytam przedstawicielki i przedstawicieli o ich pomysły na ratowanie szkoły. Dało się oświatę błyskiem popsuć, trzeba mieć pomysł, by sprawnie ją naprawić. Słucham o szkole, w której nie ma ocen, są za to obiad i zwierzęta. O podstawówce, która ma mniej niż osiem klas, choć wcale nie wróciły gimnazja. O szkole, która uczy przyszłych pracowników, jak chronić się przed wyzyskiem. A także o takiej, w której losy ucznia i nauczyciela zależą od biznesplanu opracowanego przez dyrektora-menedżera.

W jednym zgodni są wszyscy: chcieliby ze szkoły wygonić polityków.

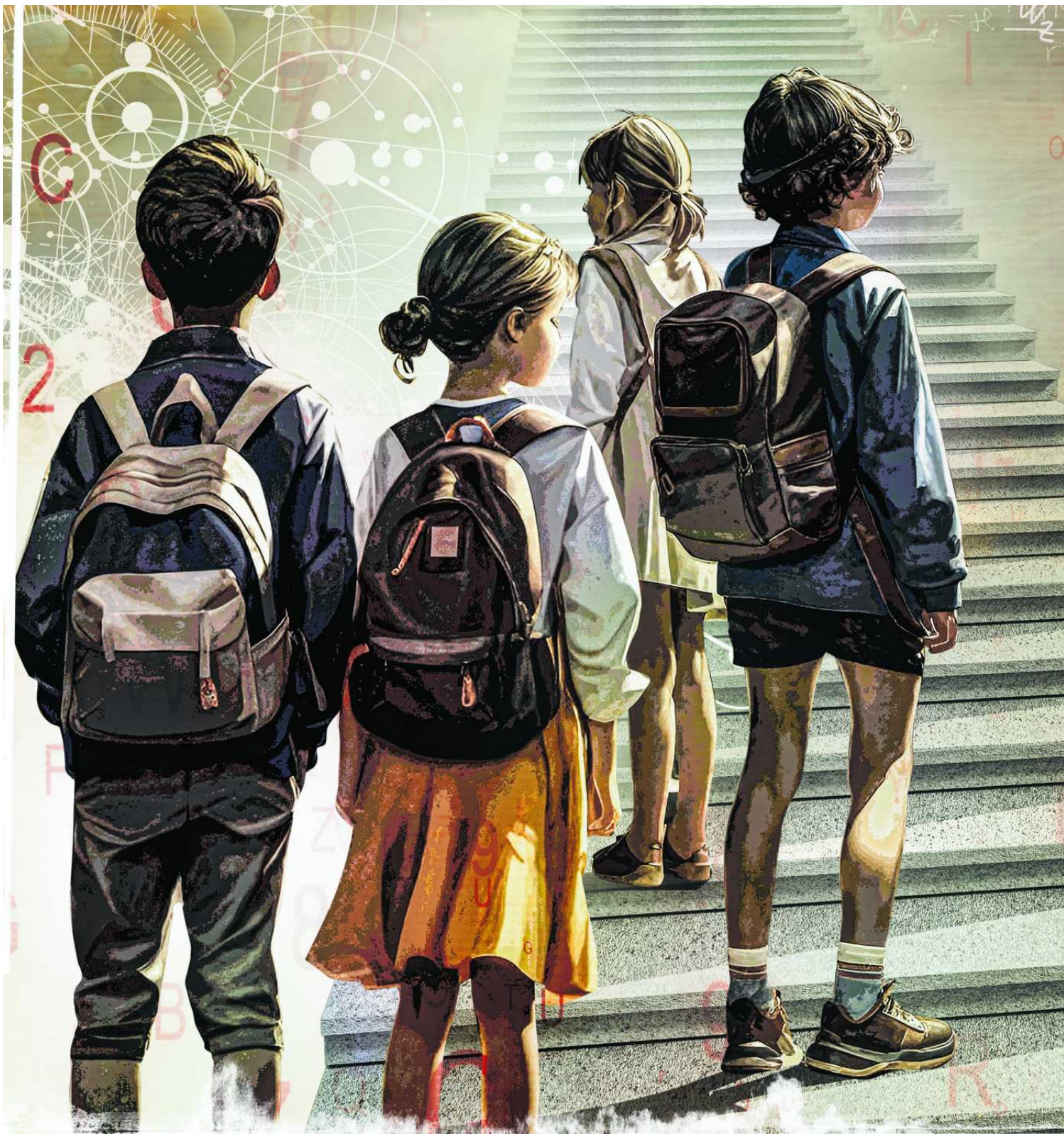

LEWICA OŚWIETLI DROGĘ DO SZKOŁY...

Najpierw dodzwaniam się do Agnieszki Dziemianowicz-Bąk, posłanki Lewicy. Pedagożka i filozofka mówi, że ratowanie szkoły zacząć trzeba od gaszenia pożarów. Raczej nie w stylu ministra Telusa, który gasząc pożary w rolnictwie, opryskał się płynem z gaśnicy – ale za pomocą ustaw. Trzy obywatelskie projekty, przygotowane przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, porastają już lodem w sejmowej zamrażarce.

Po pierwsze: trzeba skokowo podnieść wynagrodzenia nauczycieli, by zatrzymać kryzys kadrowy. Punkt drugi: nauczycielskie pensje powiązać ze średnią płacą w gospodarce. Żeby ich pensje automatycznie rosły, gdy gospodarka się rozwija. Punkt trzeci: subwencja pochodzić będzie w całości z budżetu. – Nie możemy doprowadzać do sytuacji, w której wójt staje przed mieszkańcami i mówi: „Nie oświetlę drogi do szkoły, bo musiałem zapłacić nauczycielom" – mówi Dziemianowicz-Bąk.

Na tym fundamencie można zacząć budować (kolejność może być inna, nadal jednak notuję sobie wypowiedź posłanki w punktach).

W punkcie czwartym szkoła odzyska więc autonomię, m.in. w decydowaniu, kto i jakie prowadzi w niej zajęcia dodatkowe. Ale państwo zachowa czujność. – Polityka oświatowa powinna się opierać na wiedzy. Instytucje badawcze w rodzaju podległego MEiN IBE będą monitorować sytuację w oświacie i jeśli zauważą gdzieś różnice, np. w dostępie do edukacji językowej, powinny pomóc MEiN planować działania, specjalne fundusze, programy wsparcia kadrowego. Tak, żeby poprzez edukację budować spójność społeczną i bardziej równe społeczeństwo. Równe, ale różnorodne. Rzecz nie w tym, by wszyscy byli identyczni, jak spod sztancy, na wzór i podobieństwo rządzących, ale by jakość szkoły nie zależała od tego, czy samorząd ma dobrego gospodarza – mówi posłanka.

...I NAPEŁNI INNE BRZUCHY NIŻ DZISIAJ

Po piąte: gdy nauczyciele będą już godnie zarabiać, uregulować należy ich zawód. Od ludzi, którym powierzamy dzieci na jedną trzecią doby, trzeba też wymagać. Dlatego Lewica nie zlikwiduje Karty nauczyciela – określającej nauczycielskie prawa i obowiązki – ale rozszerzy ją także na szkoły niepubliczne.

Podpunkt piąty „a": regulacji wymaga też zawód psychologa, których – swoją drogą

eprasa.pl 092e2a9ccb

– należy w szkołach zatrudnić (ale tak na serio, nie ograniczając się – jak obecny minister – do wydania rozporządzenia i patrzenia, co się wydarzy). Ustawa o zawodzie psychologa też jest już gotowa, opracował ją zespół parlamentarny pod przewodnictwem posłanki Dziemianowicz-Bąk.

W punkcie szóstym Lewica zajęłaby się odchudzaniem programu szkolnego. Mniej historii, więcej teraźniejszości. Edukacji seksualnej, uczącej, jak budować dojrzałe, pełne szacunku relacje. Edukacji pracowniczej, bo to szkoła powinna przekazać młodym ludziom – niekoniecznie na osobnym przedmiocie – jak chronić się przed wyzyskiem. No i nauczyć języków obcych, bo ich znajomość waży na przyszłej karierze.

Punkt siódmy zrealizuje się sam: bo z solidnej, dofinansowanej szkoły uczniowie

ILUSTRACJA IGOR MORSKI

przestaną uciekać do szkół niepublicznych. Celem Lewicy jest szkoła będąca odzwierciedleniem społeczeństwa, a nie taka, z której wynoszą się zamożniejsi. – Moim zdaniem docelowo szkoły pobierające czesne nie powinny korzystać ze środków publicznych lub odwrotnie – jeśli szkoła jest finansowana publicznie, to nie powinna pobierać opłat od rodziców. Nie możemy jednak pozbawić tych szkół pieniędzy z dnia na dzień, bo dziś wypełniają systemową lukę – mówi posłanka.

W zróżnicowanej kulturowo i społecznie szkole wypełnić należy punkt ósmy: lekcje religii wracają do kościoła, robią w planie lekcji miejsce na języki. Zaoszczędzone pieniądze można przeznaczyć na punkt dziewiąty: ciepły posiłek w szkole dla każdego ucznia. – Pełne brzuchy uczniów są dla nas ważniejsze niż pensje dla księży – zaznacza posłanka.

Na wynagrodzenia katechetów państwo wydaje ok. 1,5 mld zł rocznie. Lewica szacuje roczne koszty szkolnych obiadów na 6,6 mld zł. Chciałabym pośmieszkować: szkoda, że nie 6,66, ale rachunki psują mi humor. Lewica ma na sztandarach usługi publiczne, chce inwestować w komunikację zbiorową i pozwalać nam z niej korzystać za 59 zł miesięcznie, dbać o ochronę zdrowia: leki w państwie Lewicy mają kosztować 5 zł, a na L4 pracownik ma dostawać 100 proc. wynagrodzenia. Jak długo żyję w tym kraju, na szkołę nikt nigdy nie szastał. Czy i teraz nie zabraknie na nią pieniędzy?

Dziemianowicz-Bąk: – Znajdziemy je w naszym wspólnym portfelu, czyli w budżecie państwa. Zasilanym przecież przez podatki, które oczywiście same w sobie wymagają istotnej reformy, począwszy od wprowadzenia podatku cyfrowego od wielkich korporacji, po wprowadzenie sprawiedliwej, uczciwej progresji podatkowej. Pieniądze na rozwój publicznej edukacji nie będą wydatkiem, będą inwestycją: w gospodarkę, w innowacyjność, w ograniczenie patologii i problemów społecznych. Pieniądze na edukację znaleźć się muszą. Bo są to jedne z najmądrzej wydanych pieniędzy.

KONFEDERACJA DA BON NA BOLĄCZKI...

Problemu z kosztami nie będzie miała Konfederacja.

Zapytacie, co robi tutaj, w gronie partii opozycyjnych? Rozliczanie konfederatów z głosowań zgodnych z PiS pozostawmy innym analizom. Ich pomysłowi na oświatę warto się jednak przyjrzeć: Konfederacja wzrostu wydatków na szkołę nie planuje.

– Proponujemy bon edukacyjny, a dokładniej: edukacyjno-opiekuńczy, bo objąłby też żłobki – mówi Klaudia Domagała, kandydatka Konfederacji, absolwentka prawa i administracji, księgowa. I – co podkreśla w wywiadach – matka trojga dzieci, z których najstarsze chodzi już do szkoły.

Idea, że pieniądze idą za uczniem, jest realizowana już teraz. – Ale algorytm przewiduje 93 kategorie uczniów! Chcemy to uprościć, ograniczyć biurokrację, równo rozdzielić pieniądze. Bo dziś jest tak, że placówki niepubliczne mają niższą subwencję niż publiczne, a dzieci w edukacji domowej w ogóle są marginalizowane – mówi Domagała.

Większe pieniądze przypadałyby na ucznia wymagającego specjalistycznego kształcenia – czyli np. dziecko z orzeczeniem, ale też ucznia szkoły zawodowej czy szkoły przy poprawczaku oraz mieszkańca małej miejscowości (to ostatnie po to, by dyrektorzy szkół, w których uczniów jest mniej z powodu lokalizacji, nie byli zmuszeni do ich zamykania).

Rodzic, który zdecyduje się na edukację domową, będzie mógł zostawić całe pieniądze sobie lub przekazać je szkole, do której zapisze dziecko, by korzystać z jej zdalnego wsparcia. Albo też – w ustalonych z dyrekcją proporcjach – podzielić się z placówką.

Ile to kasy? Dziś na ucznia podstawówki państwo wydaje niecałe 7 tys. zł rocznie (choć kwoty są i mniejsze lub większe, zgodnie z algorytmem). Gdyby rodzicom przyszło do głowy edukację domową udawać, a pieniądze brać sobie do kieszeni, Konfederacja przygotowała bezpiecznik: rodzic pieniądze dostanie z dołu, pod koniec roku szkolnego, gdy dziecko zda państwowe egzaminy. W najgorszym wypadku dziecko łakomego na bon rodzica straci rok nauki.

Bon, zdaniem konfederatów, rozwiązałby wiele oświatowych bolączek i dylematów. – Czy nauczyciele też mogą liczyć na dom, dwa samochody i wczasy? – pytam. Domagała: – Oczywiście, oni też będą płacić niższe podatki. A dyrektorzy konkurować będą o najlepszych i przyciągać ich wyższą płacą.

Co z Kartą nauczyciela? Domagała: – Do likwidacji. Nauczyciele, którzy mają wyniki, dokształcają się, przyciągają uczniów do szkoły, będą mogli z dyrektorem-menedżerem wynegocjować lepszą umowę: znacznie wyższą pensję, dodatki, dogodny dla siebie rodzaj umowy.

W 2019 r. Konfederacja zapowiadała, że pozbędzie się ze szkół seksedukatorów i „ideologii LGBT". Dziś o tym ani słowa w programie. Spory ideologiczne też ma rozwiązać bon. – To dyrektor decyduje o ofercie szkoły. Jeśli uzna, że edukacja seksualna przyciągnie kandydatów, będzie mógł ją wprowadzić. Ja bym takiej szkoły nie wybrała, bo uważam, że sama najlepiej znam wrażliwość moich dzieci, i pewne sprawy omawiam z nimi na bieżąco.

...I NIE ZDA ZA NAS MATURY

Propozycja Konfederacji sprawia wrażenie prostego rozwiązania na złożone problemy. Przypomina mi się jednak czas, gdy wolny rynek pozwalał rozpychać się nie zawsze doskonałym prywatnym uczelniom. Dominowały kierunki tanie w prowadzeniu, na których naukę dało się oprzeć na wykładach prowadzonych dla kilkuset studentów naraz. Z wykładowcami kontakt był utrudniony, bo ci najpopularniejsi – dla zarobku – ciągnęli po kilka etatów jednocześnie. Aby to ukrócić, państwo musiało zainterweniować – wprowadziło minimum kadrowe: chcesz prowadzić kierunek, musisz mieć określoną liczbę profesorów na pierwszym etacie.

Konfederacja nie będzie ograniczać liczebności klas, określać, kto może uczyć, kontrolować na bieżąco, jak uczy. – Rodzic sam zdecyduje, czy odpowiada mu klasa, w której jest 35 uczniów, albo lekcje, na których dziecko siedzi i nic nie robi. I gdy uzna, że szkoła nie spełnia wymagań, zagłosuje nogami i przeniesie dziecko do innej – mówi Domagała.

Oj tak, rodzice, państwo Konfederacji nie zda za was egzaminu dojrzałości. Matury też za nikogo zdawać nie będzie. Konfederacja sprzeciwia się zasadzie: „matura prawem, a nie towarem". To ma być trudny egzamin, by ci, którzy przez niego przejdą, byli dobrze przygotowani do wyzwań stawianych przez rynek.

– A jeśli problemem będzie nie szkoła, ale uczeń? – drążę. – Z problemami w nauce, które są zbyt błahe, by kwalifikowały go do edukacji specjalnej, a jednak mogącymi zaniżyć wynik szkoły? Dyrektorzy szkół niepublicznych już dziś mogą dobierać uczniów, egzaminować rodziców, badać, czy są dość zaangażowani. Koniec końców zawsze jest ta szkoła obwodowa, do której dziecko przyjęte być musi. W koncepcji Konfederacji każdy dyrektor mógłby segregować i nauczycieli, i uczniów dla maksymalizacji wyniku.

Domagała wierzy w wolny rynek: – Po prostu będzie trzeba szukać dla dziecka takiej szkoły, która je przyjmie. I na pewno taka szkoła, z odpowiednio przygotowaną kadrą, się znajdzie.

Rozpoczęciu roku szkolnego towarzyszą emocje jak przy oglądaniu horroru typu slasher, w którym stopniowo znikają bohaterowie.
Otwieram e-dziennik i sprawdzam: Kto został? Kto przepadł?

Zniknie dzisiejszy podział na szkoły publiczne i niepubliczne. Każdy dyrektor będzie mógł pozyskiwać dodatkowe środki, od samorządów, od sponsorów, z czesnego. Czy nie pogłębi to dzisiejszych nierówności, gdzie dziecko z zamożniejszej rodziny ma szanse na lepszą edukację? Domagała: – Nigdy nie unikniemy nierówności, co wynika chociażby z predyspozycji każdego dziecka. Możemy jednak sprawić, abyśmy zaczęli równać „do góry", a nie „w dół". Dostęp do różnorodnych placówek dostosowanych do potrzeb dzieci i z silnym głosem rodziców jest na to sposobem.

Państwo do niczego nie będzie zmuszać, niczego regulować. To nie państwo ma dopilnować, by szkoły przygotowywały przyszłych wynalazców, to rodzic ma rozpoznać predyspozycje dziecka i zadbać o jego kształcenie. Bo to on – podkreśla Domagała – najlepiej zna swoje dziecko, nie minister.

Rola państwa sprowadzi się do organizacji egzaminów, jego wpływ będzie się więc uskuteczniał przy tworzeniu listy przedmiotów egzaminacyjnych.

– Czy będzie państwowy egzamin z religii? – pytam.

Domagała: – Nie będzie.

POLSKA 2050 POŻEGNA „FACETKĘ OD BIOLI"...

Michał Gramatyka, prawnik i poseł Polski 2050, dzień przed naszą rozmową zastał w domu syna oglądającego „Bohemian Rhapsody". Rzecz jednak nie w tym, co oglądał, ale jak: bez napisów. – W podstawówce miał osiem godzin angielskiego w tygodniu. Nauczyciele stawiali na samodzielność, uczniowie realizowali projekty, a oceny dostawali opisowe – wylicza poseł. Syn Gramatyki bez żadnych korepetycji dostał się do jednego z najlepszych liceów na Śląsku, od września zaczyna naukę. – To pokazuje, jak gigantycznym kapitałem jest inwestycja w edukację w tych wczesnych szkolnych latach – mówi Gramatyka.

Szkoła, w której opłacał czesne, była szkołą społeczną. Gramatyka chciałby takiej szkoły dla każdego Polaka. Program Polski 2050 „Edukacja dla przyszłości" rozpisany jest na 140 stron i czyta się go jak rozbudowany folder szkoły niepublicznej. Czego tam nie ma! Są leśne lekcje i realizacja projektów zamiast zajęć w ławkach, kolorowe paski na świadectwach (można zostać docenionym np. za aktywizm!), nauka startująca o godz. 9 (można się wyspać!), otwarcie szkół na zwierzęta (można przyjść z psem!). Oceny oczywiście opisowe, wspierający nauczyciele wspierani przez superwizorów i opieka psychologiczna dla uczniów w potrzebie.

A to tylko okrasa do gruntownie przebudowanego programu. Najważniejszymi przedmiotami – bazą dla całej reszty – będą język polski połączony z wiedzą o kulturze, matematyka, języki obce i filozofia. Niby po staremu, z tą różnicą, że traktowana po macoszemu filozofia wskakuje w miejsce obficie nauczanej religii. Dalej jest jeszcze ciekawiej. Zamiast geografii – interdyscyplinarna nauka o Ziemi i Wszechświecie, zamiast biologii – wiedza o życiu. – Pamięta pani, czym różni się mitoza od mejozy? – pyta Gramatyka. Nie pamiętam, ale domyślam się, że definicje z programu wylecą, a w miejsce pociągów z lekcji fizyki, którym trzeba obliczyć miejsce spotkania, wjadą zadania o bardziej praktycznym wymiarze.

Gramatyka: – Proszę sobie wyobrazić, że dziś czwartoklasiści na informatyce uczą się na pamięć skrótów klawiaturowych! A nie potrafimy im przekazać wiedzy o zagrożeniach w internecie. I kończy się tak, jak w przypadku tej dziewczynki z Sosnowca, która poznała przez net jakiegoś faceta i wylądowała na drugim końcu Polski. Dzięki Bogu, że ją znaleźli, inaczej wszyscy byśmy mieli kaca.

eprasa.pl 092e2a9ccb

...I WEZWIE NAS NA NARADĘ

Poseł wierzy w szkołę, do której idzie się bez strachu, z przyjemnością, a nie dlatego, że to przykry obowiązek. Ostatnie 20 stron programu to długa lista nazwisk nauczycieli, dyrektorów, ekspertów edukacyjnych, których działania zainspirowały program – dobre praktyki już stosują, i to niekoniecznie w szkołach niepublicznych. Ale to nadal ułamek ludzi zatrudnionych w oświacie. Czy uda się przezwyciężyć pruski model szkole, która od wieków uczy na pamięć definicji, odpytuje i ocenia?

– Trzeba pozwolić ludziom działać. Znaleźć takich, którzy nie boją się podejmować decyzji, zapewnić wsparcie ze strony samorządu, a kuratoria z politycznych cerberów zamienić w centra wsparcia szkół – odpowiada Gramatyka.

I zapłacić nauczycielom. Jednym z pierwszych planów, które ogłosiła Trzecia Droga (Polska 2050 z PSL), było zwiększenie wydatków na edukację do 6 proc. PKB. – To jest mniej więcej poziom Estonii. Dzisiaj jesteśmy na poziomie 4,7 proc. Gdybyśmy chcieli się uczyć od lepszych, to Szwecja ma 7 proc. A badania Banku Światowego pokazują, że każdy punkt procentowy na edukację prowadzi do wzrostu PKB – mówi Gramatyka. Szymon Hołownia, przedzierając na Instagramie kartkę z napisem „rozdawnictwo", stwierdza, że waloryzacja 500+ do 800+ będzie kosztowała 25 mld zł. A projekt „Przyszłość plus" Trzeciej Drogi – 35 mld zł.

Polska 2050 proponuje też „Wielką Naradę Obywatelską" nad maturą i egzaminem ósmoklasisty. Egzaminy te w dzisiejszej formule nie przystają do szkoły bez ocen cyfrowych. Na stół trafi nawet propozycja ich likwidacji i powrotu do egzaminów wstępnych. Ale to pieśń przyszłości. Najpierw: narada w gronie przedstawicieli wszystkich ugrupowań. Okrągły stół i wspólne zobowiązanie, że odtąd – fińskim wzorem – wyłączamy edukację z bieżącej polityki i pracujemy nad jej modelem na najbliższe 50 lat.

KOALICJA OBYWATELSKA WYJMIE KSIĄŻKI Z TORNISTRÓW...

Wątek szkoły kształtowanej w gronie ekspertów pojawia się we wszystkich programach demokratycznej opozycji – zmieniają się tylko nazwy eksperckich ciał. Koalicja Obywatelska planuje utworzenie Komisji Edukacji Narodowej – to ona stworzy szkolny program i zatwierdzi podręczniki. KO ma pewien zarys, propozycję, którą fachowcy mieliby dopracować w detalach. I jest to zarys, który ludziom po czterdziestce może zagrać na sentymentach.

Ale od początku. Lekcje w szkole KO zaczynają się zawsze na pierwszą zmianę, najpierw te bardziej wymagające, choć z odchudzonym programem, potem – ciepły posiłek. – Nie musi być zaraz dwudaniowy obiad, wystarczy czasem zupa i kanapka – zaznacza Katarzyna Lubnauer, posłanka KO i matematyczka.

Po przerwie: zajęcia dodatkowe, artystyczne, sportowe i – zamiast korków – wyrównawcze. – Chcemy uwolnić dzieci i rodziców od plagi korepetycji. Nauczyciel powinien zarabiać minimum średnią krajową, a podpisując kontrakt na dodatkowe lekcje, mógłby sobie dorobić – mówi posłanka.

Tornistry są lekkie, bo nie nosi się w nich podręczników. – Nie ma żadnych przeszkód, żeby wszystkie podręczniki miały swój odpowiednik elektroniczny dostępny w postaci licencji dla każdego dziecka aż do zakończenia nauki – mówi Lubnauer. Zamiast laptopów Czarnka KO wolałaby dać dzieciom tablety. Na tablet można wgrać aplikacje do pracy grupowej, do testów – i ograniczyć możliwość wgrywania innych, niepożądanych.

I uwaga: szkoła niekoniecznie ma osiem klas. Jeśli działa w małej miejscowości, a uczniów w okolicy jest niewielu, samorząd może utworzyć mniejszą i tańszą w utrzymaniu szkołę trzyklasową, ale z grupami przedszkolnymi i żłobkiem. Od czwartej klasy uczeń pojedzie do większej wsi lub miasteczka, gdzie działa szkoła z ośmioma klasami, zajęciami dodatkowymi, gminnym dowozem i pracowniami.

O takim sposobie organizacji szkół mówił niedawno w „Wyborczej" Jan Zięba, audytor budżetów, który zęby zjadł na samorządowych wydatkach. Właśnie dzięki mniejszym podstawówkom i zbiorczym gimnazjom zlikwidowany przez PiS system był tańszy.

Pracownie są gwiazdą szkolnego programu KO. Trzy typy: doświadczalna, manualna, muzyczna. By nauka była mniej pamięciowa, a bardziej praktyczna.

...I POZWOLI UŻYWAĆ RĄK

– Pracownia doświadczalna to coś jak „Laboratorium przyszłości"? – pytam i przypominam historię, jak w ramach tego czarnkowego projektu za prawie milion jedna szkoła zaskoczona została paczką krowich oczu, w które nauczyciele wpatrywali się ze zdumieniem (były niespodziewanym dodatkiem do jednego ze złożonych zamówień). – Bo laboratoria przyszłości są całkowicie oderwane od podstawy programowej. Szkoła może sobie zażyczyć drukarki 3D, nawet jeśli nie ma nauczyciela, który ją obsłuży – mówi Lubnauer. – Pracownie będą wyposażone standardowo, zgodnie z rozporządzeniem, a podstawa określi, jakie eksperymenty ma przeprowadzić uczeń.

Po co pracownia manualna? Lubnauer: – Dziś, kończąc szkołę, młodzi ludzie nie wiedzą nawet, czy mają predyspozycje, by zostać krawcem albo dentystką. Szkoła powinna też nauczyć prostych domowych czynności, naprawy kontaktu, żebyśmy jako dorośli nie czuli się bezradni wobec prostych wyzwań. W pracowni takiej stałby m.in. rower: uczeń umiałby wymienić dętkę, naprawić poluzowany łańcuch.

A muzyczna? – Coraz więcej ludzi będzie pracować w różnego rodzaju usługach, również w rozrywce. Dzieci chcą być youtuberami, tiktokerami, wartości nabierają umiejętności kreatywne. W pracowni muzycznej poznają radość śpiewania, tworzenia muzyki, niekoniecznie z nut.

– A na czym? Na fletach czy raczej sprzęcie do miksowania? – pytam.

– Flety? Nieee, słyszałam, że flety są mało intuicyjne, już nawet cymbałki są lepsze. Ale chwila, chwila... Nie po to chcemy powołać KEN, bym to ja – polityk, matematyk – rozstrzygała, na czym mają grać dzieci – ucina posłanka.

Edukacja w szkole KO nie ogranicza się do rozwijania umiejętności akademickich. – Dobrym uczniem może być też ten, który pięknie maluje, ma osiągnięcia sportowe, a nie tylko akademickie – twierdzi Lubnauer. Przede wszystkim szkoła musi postawić na umiejętności miękkie. – Sztuczna inteligencja będzie się rozwijać, ale są umiejętności zarezerwowane dla ludzi. Musimy uczyć krytycznego myślenia, odróżniania prawdy od fałszu, pracy w grupie, rozwijać empatię. Zawodów opiekuńczych – nauczyciela, pielęgniarki – w których empatia jest niezbędna, AI nam nie odbierze – mówi Lubnauer.

Wyposażenie ma wspomóc wędrówkę szkoły w XXI wiek. Lubnauer: – Informatycy z Doliny Krzemowej posyłają dzieci do szkół, w których nawet nie ma zajęć cyfrowych. A my wciąż wyświetlamy dzieciom filmiki z eksperymentów na tablicach interaktywnych, zamiast pozwolić im sprawdzić, jak działa świat, zaciekawić je nauką.

Słucham posłanki KO i myślę: to już było! Przypomina mi się moja podstawówka, imadła w sali do zetpetów, szycie fartuszków, pieczenie ciast, sprawdzanie, co się stanie z przeciętą wpół dżdżownicą, niedostatek odczynników na chemii i fałsze „Dla Elizy" na ogólnodostępnym pianinie w stołówce. Gniazdka niestety nie naprawię, ale na flecie gram. I choć dziś myślę o takiej szkole z nostalgią, zdaję sobie sprawę, że urządzenie jej dobrze wymaga dużo wysiłku organizacyjnego i pieniędzy.

Lubnauer: – To się wydaje trudne, ale tak samo szkoły urządzały kiedyś pracownie informatyczne. I dziś jest dla nas czymś normalnym, że program nauczania informatyki się na nich opiera. A skąd pieniądze? A po co nam Pałac Saski za 2 mld zł? Po co nam puste „wille plus", programy, które służą tylko przyznaniu pieniędzy kolegom ministra? I dlaczego skazujemy uczniów na ośmioklasowe szkoły z 40 uczniami, bez szans rozwoju, bez pracowni czy sali gimnastycznej? Tam nie będzie zajęć dodatkowych, klasy dwujęzycznej, uczniowie nie dostaną się do wymarzonej szkoły średniej. Pieniądze są, wystarczy ich nie marnować, a edukacja musi wreszcie – obok zdrowia – stać się priorytetem władzy.

PSL WRÓCI DO OWOCÓW...

Program PSL dla szkoły można potraktować jak podsumowanie, bo poseł Dariusz Klimczak, politolog, wspomina o wielu rzeczach, o których była mowa wyżej. Mówi więc o konieczności dofinansowania szkoły i godnego opłacenia nauczycieli po to, by zatrzymać ucieczkę do szkół niepublicznych, a korepetycje nie były już koniecznością – ani dla nich, ani dla uczniów. – Edukacja jest jedną z trzech kluczowych dziedzin życia, obok bezpieczeństwa i zdrowia, a jako jedyna z nich nie ma zabezpieczonej kwoty w budżecie w postaci stałego procentu PKB – zauważa.

Wspomina o konieczności usunięcia polityki ze szkoły. Ale też o potrzebie państwowego monitoringu i wyrównywaniu szans, by miejsce zamieszkania nie determinowało, czy uczeń pójdzie do dobrej szkoły. Mówi o programie, który powinien być bardziej praktyczny. – Dziś uczeń potrafi opisać rozmnażanie roślin, a nie sporządzi prostej umowy kupna-sprzedaży – mówi. – Nie potrafi też odróżniać prawdy od fejków, radzić sobie z przemocą, która dziś jest nie tylko przemocą fizyczną. Tego szkoła powinna uczyć.

Szkoła uczyć też musi języków, nowoczesnymi metodami. – Zamiast na upolitycznione kuratoria, wydajmy na kursy metodyczne dla nauczycieli – proponuje poseł ludowców.

Mówi o lekkich tornistrach, zastępowaniu podręczników tabletem. I o ciepłych posiłkach. – To mogłoby się też przysłużyć rolnikom, którzy mają dziś problem ze zbyciem towaru. Za naszych rządów PO-PSL wprowadziliśmy program „Owoce dla szkół" i „Szklankę mleka". Agencje rynku rolnego świetnie to koordynowały. Dziś to upada – mówi. A mnie łza się w oku kręci na wspomnienie czasów, gdy z nadejściem jesieni, zamiast informować o braku matematyków w szkołach, media donosiły o braku ogórków, bo te kiepsko znosiły trudy transportu.

...I NIE WYPUŚCI NGO

Klimczak ma też swojego konika (można rzec: szachowego): to szkolne świetlice. Patronuje turniejom szachowym, kiedyś sam chodził na kółko, dziś funduje nagrody. – Podjeżdżam pod szkołę, widzę szkolny autobus. Ktoś skończył lekcje o 12, ktoś o 14, autobus czeka na ostatniego. Co robią uczniowie? Nic! – mówi. Dlatego część zwiększonego budżetu dla szkoły przeznaczyłby na zróżnicowane zajęcia w świetlicach. – Marzy mi się szkoła w stylu amerykańskim, taka z szafkami w korytarzu, stołówką i z klubem sportowym – przyznaje.

Posła PSL od reszty rozmówców różni podejście do lekcji religii. – Żyjemy w kraju wolnym i demokratycznym. Skoro chcemy być otwarci na odmienność, mniejszości, uszanujmy też tych, którzy przy okazji lekcji w szkole chcą uczyć się także religii. A ci, którzy nie chcą, niech dzieci na nią nie posyłają – mówi poseł.

Swoje dziecko wyśle od września do pierwszej klasy w publicznej podstawówce. – Chcemy, by szedł torem zaprojektowanym przez państwo, nie na skróty – mówi Klimczak. – Nie podjąłem tej decyzji sam i nie dlatego, że jestem osobą publiczną. Wspólnie zdecydowaliśmy tak z żoną.

– Może coś zachowałby pan z dzisiejszej szkoły? – pytam.

Milknie, zastanawia się długo: – Organizacje pozarządowe, bo to one jeszcze tę szkołę ratują. Często bezinteresownie, z pasji, wypełniają uczniom pozalekcyjny czas.

Gdy to piszę, ministrowi nie udało się jeszcze wyrzucić NGO ze szkół, ale Sejm zagłosował już za „lex Czarnek 3.0". Obywatelski projekt ma chronić dzieci przed „seksualizacją", której definicji w ustawie nie sprecyzowano.

Czy szachy seksualizują? Wyobraźnia erotyczna prawicy jest nieokiełznana, ostatnio zgorszył ją telefon zaufania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Można się domyślać, że ocena szachów przez kuratora oświaty zależeć będzie od tego, kto w te szachy gra.

No, chyba że 15 października uda nam się zmienić ministra. ●

Mniej historii, więcej teraźniejszości

Konfederacja sprzeciwia się zasadzie: „matura prawem, a nie towarem"

Zamiast geografii – interdyscyplinarna nauka o Ziemi i Wszechświecie, zamiast biologii – wiedza o życiu

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI

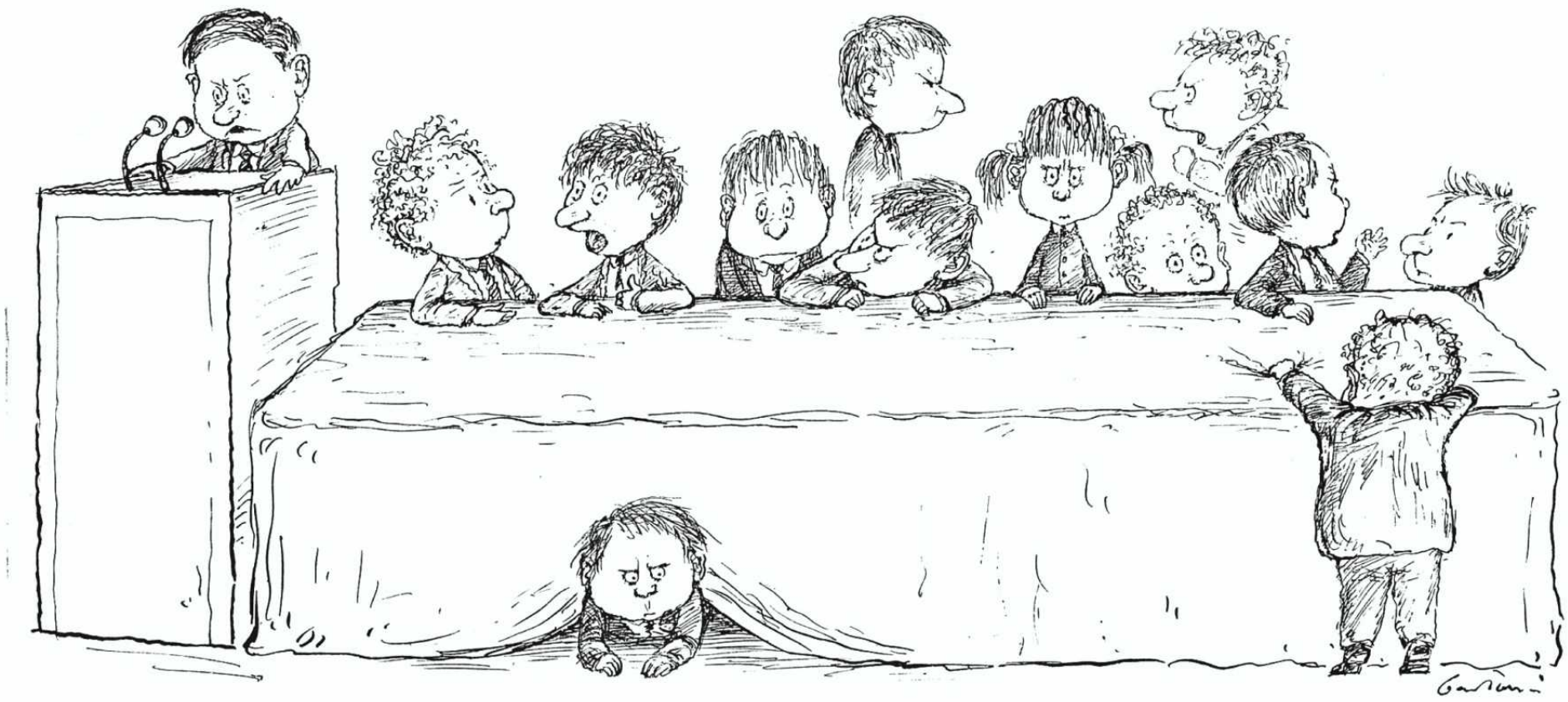

NIECH CZYTAJĄ LEKTURY

OD DESKI DO DESKI

Pomysł na szkołę, która pogodzi lewaka i konserwatystę? Znalazłem – u Platona i Arystotelesa

Igor Czernecki*

Wszyscy mówią o kryzysie demokracji. Problem dotyczy nie tylko Polski, jest powszechny – podobnie jak zgodność co do odpowiedzi na to wyzwanie: edukacja, konkretnie edukacja obywatelska.

Rzecz w tym, że ta odpowiedź zawiera pewną trudność, podobną do zagwozdki w dowcipie o taksówkarzu, którego pasażer, nieco za dużo wypiwszy, żąda, by go zabrać „do domu", zaś na prośbę o doprecyzowanie odpowiada: „do łóżka!". Wszyscy jesteśmy zgodni, jak zaradzić kryzysowi demokracji, tylko dla każdego oznacza to coś innego.

Dla liberałów czy lewicy edukacja obywatelska to przede wszystkim nauka o tolerancji, inkluzywności, o poszanowaniu praw innych. U konserwatystów czy prawicy prym wiodą takie cnoty jak patriotyzm czy osobiste poświęcenie. Owszem, są cechy, które na pierwszy rzut oka są pożądane ponad podziałami – chociażby poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne (choć niektórzy powiedzą, że tego właśnie brakuje liberałom). Jednak i tu diabeł tkwi w szczegółach. Dla jednych odpowiedzialność za dobro wspólne to bezpieczeństwo socjalne, dla drugich – aktywizm na szczeblu lokalnym i decentralizacja władzy, dla innych to raczej gotowość poświęcenia dla narodu i praca na rzecz silnego państwa.

Problem z edukacją obywatelską polega na tym, że trudno odróżnić ją od indoktrynacji. Oczywiście każda ze stron będzie argumentować, że jej chodzi tylko o wychowanie dobrych obywateli, a potem ci obywatele będą przecież głosować tak, jak chcą. Tak się jednak składa, że „dobrym obywatelem" jest zawsze akurat obywatel, który odpowiada poglądom danego orędownika czy orędowniczki. Intencja, nawet jeśli szczera, jest więc drugorzędna. Efekt zawsze będzie taki, że edukacja obywatelska proponowana przez konserwatystów, liberałów czy lewicę będzie produkować wyborców konserwatywnych, liberalnych lub lewicowych. A to oznacza, że nie ma co liczyć na stabilność polityki oświatowej czy zgodę ponad podziałami odnośnie do edukacji obywatelskiej.

Ten problem rozumieli już starożytni Grecy. Arystoteles tłumaczył, że każde państwo będzie edukowało obywateli zgodnie z ustrojem, który w tym państwie panuje, oligarchowie – oligarchów; demokraci – demokratów; tyran – niewolników itd. Nie podzielali oni naszej naiwności co do obiektywnej natury edukacji obywatelskiej.

Zaryzykuję jednak, że jest jedna wartość, która łączy wszystkich ludzi gotowych określić się mianem demokratów. Mam na myśli wolność. Oczywiście i w tym przypadku konsensus się rozpada, gdy próbujemy tę wartość urzeczywistnić: wolność negatywna czy pozytywna? Wolność od interwencji państwa czy wolność do samorealizacji, obudowana państwem opiekuńczym? Ale możemy się chyba zgodzić, że wolność jest potencjałem specyficznie ludzkim i świadczy o naszej godności. Wielkość demokracji, jej wyższość nad ustrojem autorytarnym wynikają z tego, że zawierają w sobie obietnice wolności, czyli życia w pełni człowieczego.

Arystoteles za istotę wolności demokratycznej uważał umiejętność rządzenia i bycia rządzonym; obywatel był wolny w stopniu, w którym umiał decydować o wspólnym dobru i dostosowywać się do rozporządzeń.

Lecz Grecy nie twierdzili, że ta umiejętność jest nam dana. Wymaga ona odpowiedniego wychowania. I dla Platona, i dla Arystotelesa to zagadnienie stanowiło integralną część ich filozofii, dając początek tradycji znanej z łaciny jako *artes liberales* – sztuki wyzwolone.

Cechą charakterystyczną sztuk wyzwolonych jest to, że stanowią cel sam w sobie – są to czynności, które nie są motywowane zewnętrznymi wobec nich samych względami. Ich przeciwieństwem są *artes serviles*, wszelka intencjonalna działalność, która służy innym celom, na przykład pracy zarobkowej czy nauce zawodu.

Można oczywiście tradycję sztuk wyzwolonych zdeprecjonować jako przeżytek czasów arystokracji, rodzaj wymówki klasy próżniaczej, która nie musząc zarabiać na życie, gardziła zajęciami praktycznymi. W przypadku Greków kultywowanie sztuk wyzwolonych uwarunkowane było tym, że sprawami praktycznymi zajmowali się niewolnicy i kobiety. Ale sprowadzenie tradycji sztuk wyzwolonych do realiów społecznych czasów antyku czy feudalizmu oznacza utracenie z pola widzenia ważnej prawdy o nas samych, takiej mianowicie, że choć kochamy wolność, bez odpowiedniej edukacji grozi nam jej utrata.

eprasa.pl 092e2a9ccb

Arystoteles podkreślał, że człowiek, który żyje wyłącznie dla pracy, traci ważny element swojego człowieczeństwa, właśnie ten, który powiązany jest z miłowaniem wolności. Pomijając oczywisty wymiar przymusu ekonomicznego, filozof zwracał uwagę na odczłowieczający charakter niektórych rodzajów aktywności, „na ten kunszt i tę umiejętność, które ciało wolnych ludzi, duszę lub rozum robią niezdolnymi do stosowania i uprawiania cnoty".

Jest to problem polityczny, bowiem taka osoba nie będzie dobrym obywatelem. Dobitnie opisał to Karl Marks: „Człowiek (robotnik) odczuwa jako nieprzymuszone tylko swoje funkcje zwierzęce, jedzenie, picie i płodzenie, co najwyżej jeszcze mieszkanie, ubieranie się itd., i w swych funkcjach ludzkich czuje się tylko zwierzęciem. To, co zwierzęce, staje się ludzkie, a to, co ludzkie, zwierzęce". Warunkiem koniecznym do poprawy opisanego przez Marksa stanu rzeczy było wywalczenie przez ruch robotniczy stosownych praw. Ale nie jest to warunek wystarczający do urzeczywistnienia potencjału ludzkiego.

Współczesna etyka pracy, wedle której nasze poczucie własnej wartości jest uwarunkowane spełnieniem zawodowym, a czas wolny przeznaczamy na regenerację przed poniedziałkiem, byłaby niezrozumiała dla starożytnych. Dla Greków oczywistością było, że celem wszelkiej aktywności jest „możność godnego zapełnienia spoczynku", zdolności, która wynika ze sztuk wyzwolonych, między innymi muzyki czy filozofii.

Rola sztuk wyzwolonych nie ograniczała się jednak do wzbogacania czasu wolnego ateńskich obywateli. Pełniła arcyważną funkcję wychowywania wolnych ludzi. Wymownym opisem tego procesu jest platońska alegoria jaskini.

Nasze życie toczy się w jaskini – mówi nam Platon – w której panują społecznie uwarunkowane prawdy i wierzenia. Nasze wartości, nasze cele życiowe, nawet naszą wiedzę o świecie formułujemy na podstawie cieni na skale jaskini, które bierzemy za rzeczywistość. Prawda o naturze człowieka i naturze świata, o idei dobra czy piękna jest na zewnątrz jaskini, ale nasze położenie w środku powoduje, że nie jesteśmy tego świadomi i jako prawdziwe uważamy to, co konwencjonalne. Edukacja mająca na celu polepszenie naszego doraźnego bytu służy odnajdywaniu się wśród cieni. Pomaga nam funkcjonować wewnątrz systemu, ale nigdy nie pozwoli nam na ocenę samego systemu.

Życie w jaskini nie jest złe, ale jeśli aspirujemy do pojęć takich jak „dobro wspólne", potrzebna nam jest perspektywa, której wewnątrz nie uzyskamy. Przejście na poziom meta przypomina wybór czerwonej pigułki w filmie „Matrix" – jest to proces trudny i bolesny. Sposobem Platona był kompleksowy, rozłożony na całe życie program edukacyjny – sport, wychowanie muzyczne i plastyczne, matematyka oraz najważniejsza w oczach Greka umiejętność uczonej dyskusji i logicznego rozumowania, czyli dialektyka.

Nowoczesne podejście do edukacji kładzie nacisk na pracę w grupach i na kompetencje, które uczestnicy i uczestniczki zdobywają poprzez wspólne rozwiązywanie problemów natury praktycznej. Niedoceniane są jednak w tej metodzie problemy konformizmu, naturalna tendencja każdej grupy, by wyłonić lidera czy liderkę, która rozdysponuje zadania, oraz gotowość uczestników, by dostosować się do opinii większości. Rozmywana jest też odpowiedzialność. Takie doświadczenie może przygotować do pracy w międzynarodowej korporacji, niekoniecznie procentuje jednak na korzyść demokracji.

Istotą edukacji w duchu sokratejskim, którą proponuje Platon, jest nonkonformizm, kwestionowanie prawd i wartości wyznawanych przez większość. Nie jest to zawsze doświadczenie przyjemne, wiąże się niekiedy z samotnością, a czasem z ostracyzmem; Sokrates przypłacił je życiem. Wymaga ono podważania własnych wierzeń, kwestionowania rzeczywistości, która dawała nam poczucie bezpieczeństwa, i przynależności, która stanowiła o naszej samoocenie. Zdaniem Platona ten wysiłek jest jednak uzasadniony, bowiem człowiek, który wyjdzie z jaskini, pozna siebie i swoje miejsce w świecie. Zyska harmonię duszy (dziś powiedzielibyśmy – zdrową psychikę), w której rządzi pierwiastek rozumny – warunek konieczny wolności.

Ustanowiona przez Greków tradycja sztuk wyzwolonych dociera do czasów nowożytnych za pośrednictwem bogatego łańcucha idei, od rzymskich poetów przez św. Augustyna i Tomasza z Akwinu. Do nowoczesności wprowadza ją francuski uczeń Sokratesa, Michel de Montaigne, który przeciwstawia platońską pedagogikę skostniałej nauce scholastycznej. Ważnym impulsem w rozwoju *artes liberales* jest postępująca w XIX wieku demokratyzacja społeczeństwa.

W obliczu poszerzającej się bazy osób uprawnionych do głosowania angielski filozof John S. Mill stwierdza, że studenci muszą posiadać wystarczający poziom wiedzy ogólnej na każdy temat, aby jako obywatele umieli rozróżnić faktyczne autorytety w danej dziedzinie od szarlatanów czy populistów. Nie wiedzy, lecz filozofii wiedzy uczyć ma uniwersytet, nie kształcić „prawników, lekarzy czy inżynierów, lecz zdolne i kulturalne istoty ludzkie". W tym duchu edukacja liberalna wkracza w wiek XX, rozwijając się równolegle w Indiach, głównie dzięki pracy laureata literackiego Nobla Rabindranatha Tagore'a, oraz na kampusach amerykańskich uniwersytetów.

Pojęcie *liberal education* funkcjonuje dziś głównie w krajach anglosaskich i odnosi się do możliwości, jakie dają uniwersytety w Stanach Zjednoczonych, by przez pierwsze lata nauki nie deklarować jeszcze chęci studiowania konkretnego kierunku. U podstaw tej idei leży propozycja wykorzystania zyskanego czasu do zastanowienia się nad sensem życiowych wyborów i nad wartościami, które nimi kierują. Służy temu zgłębienie najważniejszych dzieł kultury. Uważne czytanie wiąże się z próbą rozumienia autorów tak, jak rozumieli oni samych siebie. Wymaga to odstawienia własnych racji moralnych i otwarcia się na inność. Studenci mają samodzielnie myśleć oraz często pisać prace, w których formułują swoje tezy, a następnie bronią swoich przekonań. Kluczowa jest tu rola nauczyciela. Wykładowczyni nie narzuca interpretacji, jedynie docieka i zadaje pytania. Jej pierwowzorem jest Sokrates, jej przewodnikiem dialogi platońskie. Wymagane jest od niej za to skrupulatne udzielanie komentarzy do prac pisemnych. W wyniku takiej edukacji uczeń czy uczennica nabierają ważnych w demokracji umiejętności krytycznego myślenia, patrzenia na spór z różnych perspektyw oraz rozumowania na własny sposób.

O istotności takiego wychowania pisze Hannah Arendt w „Kondycji ludzkiej". W sferze publicznej spotykamy się jako równi, wolni ludzie, by dyskutować i decydować o wspólnym dobru. To przestrzeń niezliczonych perspektyw, ale musimy zgadzać się co do istoty sporów. „Tylko tam", tłumaczy Arendt, „gdzie rzeczy mogą być widziane i słyszane przez wielu w różnorodności aspektów, nie zmieniając swojej tożsamości", możemy mówić o demokracji. Jeśli spór o aborcję jest dla jednych kwestią prawa człowieka do decydowania o swoim ciele, dla innych zaś przykazaniem moralnym, by bronić życia ludzkiego, nie chodzi już o różne patrzenie na jedną sprawę.

Edukacja obywatelska takiego problemu nie rozwiąże; można się raczej spodziewać, że każda strona wykorzysta ją, by przekonywać do swoich racji. Lecz istotą edukacji w duchu demokratycznym nie jest wpajanie takich lub innych wartości, tylko przeniesienie sporu z pola etyki na pole polityki, gdzie nadrzędne jest dobro wspólne. Tej umiejętności uczą sztuki wyzwolone.

Debatując nad treścią edukacji obywatelskiej, zdajemy się nie dostrzegać wielkiej tradycji, którą mamy na wyciągnięcie ręki i której istotą jest właśnie wychowywanie ludzi wolnych. Zamiast operować w kategoriach WOS-ów czy HIT-ów, czy przedmiotów takich jak biznes i zarządzanie, powinniśmy zrehabilitować plastykę, muzykę i filozofię w szkołach średnich oraz humanistykę na uniwersytetach; zaniechać wymagania od studentów zaliczenia dziewięciu przedmiotów w semestrze na podstawie wycinków tekstów, zredukować liczbę zajęć oraz liczbę uczniów per wykładowczyni i proponować uważne czytanie w całości wybitnych dzieł kultury.

Zaś instytucje szkolnictwa muszą przestać pojmować swoją rolę w kategoriach wzrostu gospodarczego. Jak pisze sławna harwardzka filozofka Martha Nussbaum w wydanej ostatnio w Polsce książce „Nie dla zysku. Dlaczego demokracja potrzebuje humanistów": „pochłonięci pogonią za majątkiem coraz częściej żądamy od naszych szkół, by ich mury opuszczali pożyteczni wytwórcy zysków, a nie rozsądni obywatele". A przecież mało kto zdecydowałby się dobrowolnie na życie w zamożnym państwie, które przestało być demokracją.

Polskie uniwersytety publiczne stanowią cenny demokratyczny zasób, ale ich działalność dydaktyczna jest niedoceniana, przede wszystkim w wymiarze finansowym. Przeciętny asystent ze stopniem doktora zarabia pensję minimalną, a Polskiej Akademii Nauk brakuje pieniędzy na płace. Rozwiązanie nie leży wyłącznie w gestii administracji publicznej. Charakterystyczna dla wszystkich ważnych ośrodków edukacji liberalnej w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii jest rola filantropii w ich finansowaniu. Mamy dziś w Polsce pierwszy od dwóch stuleci transfer majątku w warunkach suwerennego państwa, nowe pokolenie zamożnych obywateli, które dobrobyt zawdzięcza demokracji. Może jeszcze za wcześnie na gesty w stylu Stephena Schwarzmana, który niedawno sfinansował nowe Centrum Studiów Humanistycznych na Oxfordzie grantem w wysokości 175 mln funtów, choć nawet ta astronomiczna kwota to mniej niż 10 proc. majątku każdego z czterech najbogatszych Polaków. Ale są też przykłady bliższe, chociażby Czecha Ludka Sekyra, który ufundował Centrum Filozofii, Etyki i Religii na Uniwersytecie Karola w Pradze. Nad Wisłą przeważają akcje doraźne.

Dopóki tkwić będziemy w przeświadczeniu, że celem edukacji jest przede wszystkim wzrost gospodarczy, że rolą szkoły i uniwersytetu jest odpowiadanie na zapotrzebowania rynku, nie budowanie trwałej wspólnoty ludzi wolnych, dopóty zasadny będzie nasz niepokój o kondycję demokracji, niezależnie od wyniku jesiennych wyborów. ●

Zamiast przedmiotów takich jak WOS czy biznes i zarządzanie powinniśmy zrehabilitować plastykę, muzykę i filozofię w szkołach średnich oraz humanistykę na uniwersytetach

***Igor Czernecki**

• historyk idei, doktor nauk społecznych. Prowadzi zajęcia w Instytucie Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego i na Paris College of Art w Paryżu. Przewodniczący Rady Fundacji EFC. Autor książki „Znaczenie religii dla demokracji u Alexisa de Tocqueville'a".

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 092e2a9ccb

Jakim Polakiem się czujesz, Ziemkiewicz

Weźcie te kolejne cztery lata, weźcie osiem, ale nie zapominajcie, że wasza religia szykuje wam jeszcze wieczność.

Marcin Matczak

Tuż przed wyborami europejskimi w 2019 roku bracia Sekielscy opublikowali film o pedofilii w Kościele. Gdy zobaczyły go miliony, wydawało się, że z PiS-em koniec. Sojusz z organizacją, której członkowie dopuścili się zbrodni na dzieciach, miał być kamieniem młyńskim u szyi Kaczyńskiego i spółki. A PiS wygrał z dużą przewagą.

Dlaczego? Wyborcy PiS-u stanęli przed dysonansem: uznać, że upada ich wizja świata, w której ksiądz jest szafarzem dobra, nie cierpienia, a jego ręce błogosławią, a nie macają niewinne dziewczynki, albo zaprzeczyć faktom i zaciągnąć się opium kłamstwa. Wybrali to drugie, jak w przypadku Jedwabnego czy Smoleńska. Pewne rzeczy nie zdarzają się przecież Polakom. Nasi nie mogą mordować, podejmować samobójczych decyzji o lądowaniu czy molestować – inny szatan musiał tam być czynny. A potem już z górki: murem za ornatem, mobilizacja pod sztandarem zaatakowanego Kościoła i Partii. Wyparcie przekształcone we wsparcie.

Niektórzy oskarżali Sekielskich o błąd, a nawet sabotaż. „Nie trzeba było tego publikować przed wyborami" – mówili. Dzisiaj to samo mówią o „Zielonej granicy" Agnieszki Holland. Zwłaszcza że prawica już zaciera rączki i zapytuje, ile Kaczyński zapłacił za film o uchodźcach, który zmobilizuje elektorat PiS-u do obrony polskości, muru i munduru.

Nie pierwszy raz mają nadzieję wygrać na trumnach, tak jak wygrali na pedofilii. Patryk Jaki, facet o wrażliwości papieru ściernego, cieszy się, że film Holland będzie świetnym materiałem wyborczym PiS-u. Tak, człowieku, przecież najlepiej reklamuje was klip pokazujący kobietę w ciąży, która umiera, jak w zapowiedzi „Zielonej granicy". Nic tak nie podnosi waszych notowań jak czyjś zgon. Wy śmierci używacie jak Milka krowy – od 2010 roku to motyw przewodni waszych politycznych reklam.

Publikować więc przed wyborami? Zarzućcie mi naiwność, ale dla mnie odpowiedź jest jasna: tak. To kwestia moralna, nie polityczna. Czasem trzeba stanąć twarzą w twarz z pytaniem, jakim jesteśmy narodem. Narodem Ulmów, którzy ponieśli ofiarę najwyższą, pomagając bliźnim, czy narodem szmalcowników, którzy korzystają na tragedii innych, chociażby politycznie?

To generalizacje. Ale reakcje na ten film pokazują, jakiego Polaka chce wychować PiS. Ziemkiewicz pisze: „my czujemy się Polakami". A ona (Holland) „tworzy dla Europejczyków polskiego pochodzenia". Jakim Polakiem się czujesz, Ziemkiewicz, kiedy słyszysz płacz tych marznących dzieci i wmawiasz sobie, że naród, który przyjął trzy miliony Ukraińców, nie poradzi sobie z uchodźcami z Białorusi? Jaką wizję narodu propagujesz? Tchórzy obawiających się kulejących, głodnych imigrantów, w których twoja fantazja widzi terrorystów?

Jakim Polakiem jesteś, Jaki? Takim, który śmiercią kupuje polityczne poparcie i synekury? Kunktatorem, który nie może się doczekać, aż porządna Polka Agnieszka Holland powie ci prawdę, żebyś na jej zakłamywaniu mógł się politycznie obłowić?

Nie możecie uwierzyć, że ktoś mówi prawdę, choć może na tym stracić, co nie? Bo dla was kłamstwo to chleb powszedni. Weźcie te kolejne cztery lata, weźcie osiem, ale nie zapominajcie, że wasza religia, którą niby hołubicie, szykuje wam jeszcze wieczność. Nie zabierzecie tam pieniędzy i stołków. Zabierzecie krzyki tych dzieci i będziecie się przed swoim Bogiem tłumaczyć, że ich nie słyszeliście.

Z narodu orłów zmieniacie Polaków w naród nielotów strusi, którym wydaje się, że jeśli czegoś nie widzą, tego nie ma. Więc wam Holland pokazuje: że wyborcy PiS-u głosują na przestępców międzynarodowych, bo wypychanie ludzi szukających azylu za granicę to łamanie praw człowieka. Kiedy Jaspers pisał o winie Niemców po 1945, odróżniał winę kryminalną bezpośrednich sprawców przestępstw od politycznej winy tych, którzy popierali reżim takie przestępstwa popierający. Wyborcy PiS-u ponoszą tę drugą winę.

Holland pokazuje funkcjonariuszom Straży Granicznej, że PiS postawił ich w sytuacji jak z greckiej tragedii. Ta sytuacja to nie ich wina, ale ich odpowiedzialność. Nie wystarczy w niej po prostu wykonywać rozkazy. A PiS-owi mówi: „Wykorzystujecie szacunek dla polskiego munduru, sprzedając go za polityczne srebrniki. W waszej głowie mieści się jedynie taka wizja munduru, którego nosiciel o bezbronnych ludziach mówi »Nie przejdą!«, jakby byli Grupą Wagnera".

Potem katoliczka Pawłowicz wam potwierdzi, że zostawianie tych ludzi na zmarnowanie jest zgodne z konstytucją, o ile przyczynia się do zwycięstwa PiS-u. I będzie się wam wydawało, że macie czyste sumienie. A robicie to, co zwykliście przypisywać waszym wrogom. Uczycie o barbarzyństwie Niemców w Głogowie, którzy do maszyn oblężniczych przywiązywali dzieci, a sami do swoich maszyn wyborczych przywiązujecie gwałcone przez księży dziewczynki. Wasi antysemici opowiadają bzdury o macy, którą Żydzi robią z niemowląt, a to wy przemielacie te dzieci zza granicy z Białorusią na wyborczą kiełbasę.

Wychowujecie Polaka, którego istnieniu chcielibyście zaprzeczyć. Polaka szmalcownika, który za zysk – czy to prywatny, czy polityczny, jaka różnica – poświęci ludzkie życie. Szmalcownika, który dodatkowo myśli, że jest bohaterem. Lepiej już zostać bezpaństwowcem niż takim Polakiem.

Mam w nosie to, czy po tym filmie poparcie wam podskoczy. Jeśli poruszy on choć jedno sumienie, wygrajcie sobie te wybory, nachapcie się stołkami. Gardzę wami. Mam nadzieję, że w ostatniej chwili życia, gdy podobno widzimy je całe jak w kalejdoskopie, zobaczycie sceny z filmu, który sami wyreżyserowaliście, a który jest dziesięć razy brutalniejszy niż „Zielona granica". I że wtedy przyjdą po was ludzie, którzy za tą granicą zamarzli, i powiodą tam, gdzie wasze miejsce.

„Jeśli prawda ich zabije, to pozwólcie im umrzeć", pisała kiedyś Ayn Rand. Odnoszę te słowa do twojej wizji polskości, PiS-ie. Nie mam zamiaru z wami wychowywać Polaka, który boi się prawdy i dlatego musi kłamać i być okłamywany. Milion razy wolę z taką polskością, którą nosi w duszy Agnieszka Holland, przegrać te wybory, niż z waszą tchórzliwą, szmalcowniczą polskością je wygrać. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?" – pyta nasz felietonista w **„Kraju, w którym umrę"** (wyd. Znak). Nowa książka Marcina Matczaka dostępna od 6.09 w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

Supeł

Paweł Jabłoński, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zorganizował ostatnio spotkanie zatytułowane „Zioła dla zdrowia Polek i Polaków".

Michał Rusinek

W 1983 roku amerykański antropolog kultury Clifford Geertz opublikował esej zatytułowany „O gatunkach zmąconych". W eseju tym, uznanym przez Ryszarda Kapuścińskiego za jeden z najważniejszych tekstów tłumaczących ponowoczesną współczesność, autor zauważa, że „w życiu umysłowym nastąpiło w ostatnich latach niebywałe pomieszanie form gatunkowych" i że pomieszanie to nie słabnie. Dotyczy ono nie tylko literatury pięknej, gdzie coraz częściej powstają książki trudne do zaklasyfikowania gatunkowo, ale także nauki, w obrębie której dochodzi do tak częstych aktów transgresji, że zatarły się i tam tradycyjne granice: wiele współczesnych tekstów naukowych trudno przyporządkować do istniejących od wieków dziedzin nauki. „Zjawisko to – pisze Geertz – ma charakter dostatecznie powszechny i wyrazisty, by podsunąć myśl, że jesteśmy świadkami rzeczy ważniejszej niż korekta mapy kulturowej, niż przesunięcie kilku spornych granic [...]. Zmiana dotyczy samych zasad konstruowania mapy. Coś się stało w sposobie naszego myślenia o myśleniu".

●

Postmodernizm wydaje się ideologicznie daleki od światopoglądu wyznawanego przez polityków partii rządzących obecnie w Polsce. Ale tylko pozornie, bo w gruncie rzeczy owo zmącenie, które opisywał Geertz, można zaobserwować chociażby wśród ministerstw naszego rządu. Zakresy ich kompetencji są wyłącznie umowne i coraz częściej dochodzi do aktów transgresji, rzecz jasna, całkowicie pokojowych i pozbawionych przykrych konsekwencji. Ministerstwo Obrony Narodowej w osobie samego pana ministra Mariusza Błaszczaka dziękowało niedawno kolejarzom za ich pracę i informowało o przywróceniu połączeń kolejowych do Zegrza – choć wydawać by się mogło, że kolej podlega Ministerstwu Infrastruktury. Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi objęło patronat nad IX edycją konkursu historycznego „Żołnierze Wyklęci Obudźcie Polskę" – choć spodziewalibyśmy się raczej, że konkurs taki odbędzie się pod patronatem Ministerstwa Edukacji i Nauki lub ewentualnie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (albo specjalnie powołanego w tym celu Ministerstwa Wielkich Liter). Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek przekazał zaś gminie Goszczanów (z której zresztą pochodzi) wóz strażacki. W dodatku wóz ten – co można było zauważyć po numerach rejestracyjnych – cudownym sposobem jeździł już w Goszczanowie od ponad roku przed przekazaniem. Mniejsza z tym; ważniejsze, że Państwowa Straż Pożarna podlega Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji i moglibyśmy sądzić, że przekazywać wóz strażacki OSP w Goszczanowie będzie raczej minister Mariusz Kamiński. Nawet dowolną liczbę razy.

●

Żadne z wymienionych ministerstw nie skomentowało swoich transgresywnych poczynań – aż do niedawna. Oto bowiem Paweł Jabłoński, podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zorganizował ostatnio w wiejskim domu kultury w Nieboczowach (gmina Lubomia) spotkanie dla członkiń kół gospodyń wiejskich zatytułowane „Zioła dla zdrowia Polek i Polaków". Poprowadzili je „doświadczeni eksperci z Instytutu Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich z Poznania". Aby zachęcić gospodynie wiejskie do udziału w spotkaniu, minister Jabłoński najpierw nakreślił obraz współczesnego świata: „W pędzącym świecie często zapominamy, że niejednokrotnie rozwiązanie naszych problemów, również tych zdrowotnych, mamy na wyciągnięcie ręki. Matka Natura oferuje nam nieskończone bogactwo składników". Owszem, nauka oferuje nam gotowe rozwiązania „na niemal każdą dolegliwość", ale te rozwiązania niosą skutki uboczne, w przeciwieństwie do metod naturalnych, które nie niosą ich tak wiele. Zwłaszcza metody naturalne wykorzystujące „polskie rośliny". Wygłosiwszy tę antynaukową tezę, pan minister przeszedł do pochwał polskich gospodyń, które „codziennie ciężko pracują dla [...] całej wspólnoty narodowej" i zasługują na „wsparcie i szacunek", albowiem „serce Polski bije w tysiącach małych miejscowości".

●

„Co ma wspólnego Ministerstwo Spraw Zagranicznych z Kołami Gospodyń Wiejskich?" – pyta wielkimi literami „Dziennik Zachodni", a my mu wtórujemy, acz małymi. Minister tłumaczy: „Mało osób o tym wie, ale zanim przeszedłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pracowałem w kancelarii premiera i w 2018 roku razem z panią minister Anną Gembicką przygotowywaliśmy ustawę o Kołach Gospodyń Wiejskich, która tak naprawdę pozwoliła na to, żeby te koła ożywić czy zachęcić nowe do powstawania. Dzisiaj, jak się spojrzy na te koła w całej Polsce, to jest nasz skarb". Wynika z tej wypowiedzi, że pan minister ma sentyment do swojej poprzedniej funkcji, nie zapomniał o niej i mimo że powinien się teraz zajmować czym innym, to zorganizował spotkanie kół gospodyń wiejskich, żeby cieszyć oko efektami swojej poprzedniej pracy. To wyraz godnej pochwały odpowiedzialności. I zarazem obietnica, że gdy dostanie niedługo pracę w innym resorcie, to zorganizuje jakąś imprezę o charakterze zagranicznym.

●

Pan minister zdaje sobie jednak sprawę, że taka odpowiedź może nie być do końca satysfakcjonująca, więc snuje kolejną nić łączącą koła gospodyń wiejskich z resortem, w którym obecnie pracuje. „Teraz zajmuję się sprawami zagranicznymi, ale prawdę mówiąc, jeśli chodzi o kwestie międzynarodowe, my również promujemy polską kulturę" – mówi językiem urzędnika minionej epoki. A od kultury już tylko jeden krok dzieli go od celu: „Więc to, co robią Koła Gospodyń Wiejskich, to też jest element, którym się bardzo lubimy chwalić na świecie" – kończy minister. W jaki sposób MSZ promuje na świecie działalność kulturalną kół gospodyń wiejskich? O to już nie pyta ministra „Dziennik Zachodni", więc pozostaje nam tonąć w domysłach. I życzyć owym kołom, skądinąd instytucjom bardzo ważnym, by rozsławiały Polskę na całym świecie.

●

Możemy też jednak zauważyć coś, czego nie zauważył Clifford Geertz: polska ponowoczesność jest tylko z pozoru zmącona. Kiedy spojrzymy na nią przenikliwym wzrokiem ministra, dojrzymy nici łączące z pozoru niełączliwe i odległe dziedziny. Nici tych jest sporo, więc to nie zmącenie, a raczej groteskowe splątanie, a nawet supeł byłby kategorią precyzyjnie opisującą naszą rzeczywistość. Supeł iście gordyjski. W październiku przypomnijmy sobie, co należy z takimi supłami robić. ●

Już w księgarniach i na Publio. pl zbiór felietonów Michała Rusinka, **„Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy"**, wyd. Znak

eprasa.pl 092e2a9ccb

ZA UWAŻ, PYTAJ, AKCEPTUJ, REAGUJ

Nie potrzebujemy 5 tys. psychiatrów do obsługi dzieci, które nie dostają odpowiedniego wsparcia, troski i zainteresowania.
One to wsparcie, troskę i zainteresowanie powinny dostać od nas

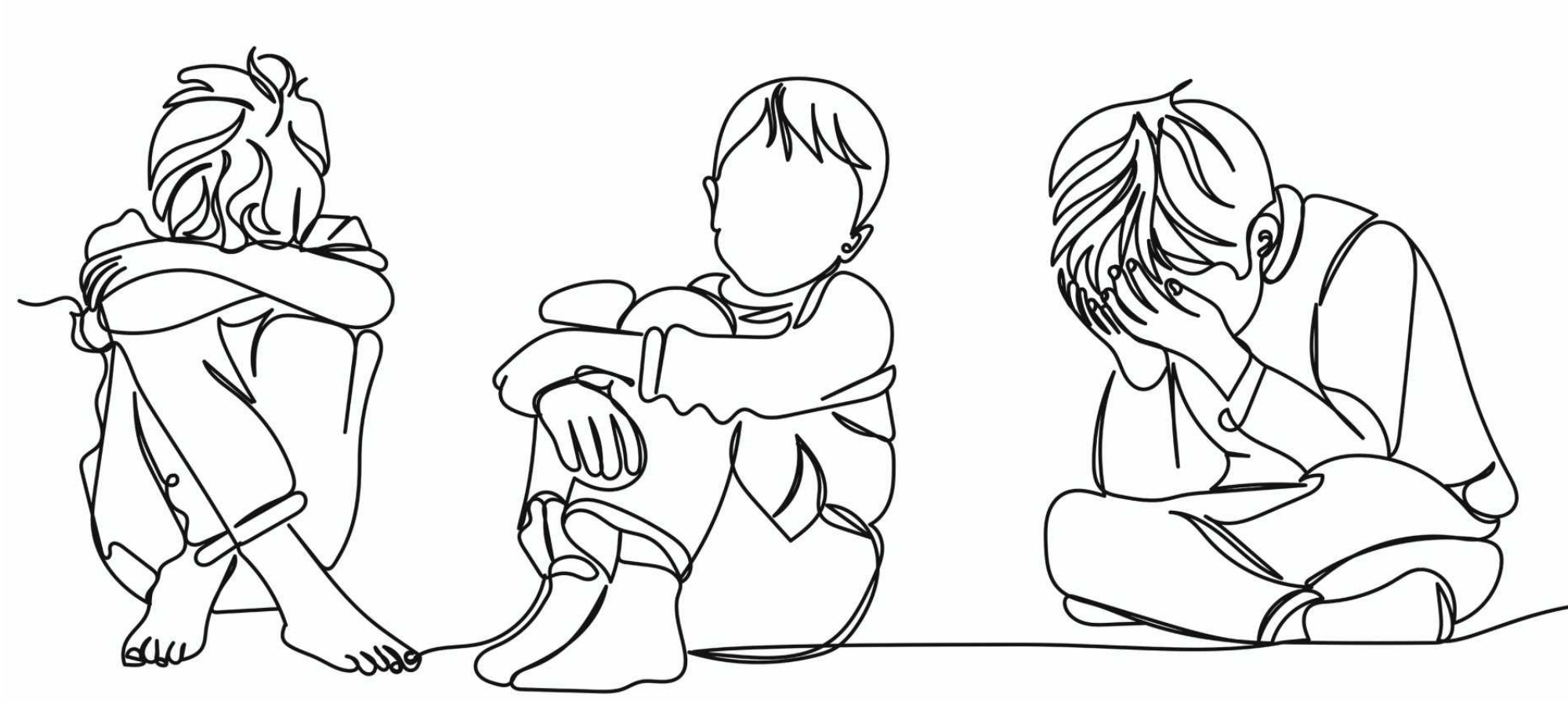

Z **LUCYNĄ KICIŃSKĄ**, PEDAGOŻKĄ, EKSPERTKĄ BIURA DS. ZAPOBIEGANIA ZACHOWANIOM SAMOBÓJCZYM INSTYTUTU PSYCHIATRII I NEUROLOGII, KOORDYNATORKĄ STREFY POMOCY SERWISU ŻYCIE WARTE JEST ROZMOWY (WWW.ZWJR.PL), ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Niemal każda dyskusja wokół zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży zaczyna się od tego, jak bardzo jest źle, że z roku na rok rośnie liczba prób samobójczych w tej grupie, potrzebujących przybywa, a system jest niewydolny – brakuje psychiatrów, psychoterapeutów. To wszystko prawda...
– ...no właśnie, nie do końca. A już najtrudniejsze dla mnie jest to, że materiały poruszające tę tematykę nie tylko zaczynają się od takich informacji, ale też się na nich kończą.

Bo to, co złe, świetnie się klika. Bardzo chętnie pisze się o tym, że zamknął się jakiś oddział psychiatryczny dla dzieci i młodzieży, natomiast w ogóle nie mówi się o tym, że kolejny został otwarty. Tworzy się reportaże oparte na dwóch, trzech przypadkach osób w skali kilku lat, które nie dostały pomocy w szpitalach psychiatrycznych z różnych, złożonych przyczyn, a nie mówi się nic o tych kilku tysiącach, które tę pomoc uzyskują każdego roku. To samo z przekonaniem, że mamy zdecydowanie za mało psychiatrów dziecięcych i młodzieżowych. Względem kogo albo czego? Jeśli przymierzymy liczbę ponad 500, a w tej chwili lekarzy tej specjalności mamy właśnie tylu, do 6 mln potencjalnych pacjentów, bo tyle jest dzieci i nastolatków, to rzeczywiście przeraża. Ale przecież nie wszystkie dzieci będą potrzebować takiej pomocy, mówi się raczej o mniej więcej 100 tys., a wtedy to mityczne 500 wygląda już inaczej.

Kiedy dziecko odczuwa silny ból psychiczny, ma bardzo obniżony nastrój, myśli samobójcze, to nagle oczekujemy, że powinno mieć dostęp do psychiatry, który skonsultuje je na cito w rejonowej przychodni. To nierealne. Do lekarza pierwszego kontaktu też często nie jesteśmy się w stanie dostać z dnia na dzień. Ambulatoryjna opieka nie jest w ogóle do przypadków na cito. W sytuacji zagrożenia życia bądź zdrowia powinniśmy od razu jechać na SOR, a w ostrym kryzysie psychicznym – na izbę przyjęć na oddziale psychiatrycznym. Ale kiedy mówię rodzicom, których dziecko jest w bardzo złym stanie, że muszą się natychmiast zgłosić do szpitala, często słyszę: „Przecież tam nie ma pomocy! Gazet pani nie czyta?! Telewizji nie ogląda?! A nawet jeśli córkę przyjmą, to nie wie pani, jakie tam panują warunki?”.

System wymaga zmian, to oczywiste. Ale rzeczywistość jest inna, niż się ją maluje.

Zdarza się jednak, że ktoś, kto potrzebuje natychmiastowej pomocy, jej nie otrzymuje.
– Powody mogą być różne. Świadczenie pomocy psychiatrycznej jest w ogóle trudne, ponieważ odbywa się na podstawie samoopisu, czyli tego, co dziecko czy nastolatek mówią o tym, co się z nimi dzieje, a także tego, co mówią rodzice. I niestety bywa, że te dwie perspektywy się bardzo różnią. Nastolatek mówi coś, potem słucha rodzica, widzi jego cierpienie, przerażenie albo bagatelizowanie i wycofuje się ze swoich słów. „Chyba przesadzam” – mówi chwilę po tym, jak zgłaszał myśli samobójcze. „To był impuls”. Jeśli rodzic nie wierzy w sens pomocy albo jej się obawia, to dziecko może chcieć z niej zrezygnować, a wtedy zamiast dostać ją na miejscu w szpitalu, zostanie skierowane do pomocy ambulatoryjnej, na którą będzie musiało poczekać. I może się zdarzyć, że w tym czasie cierpienie tak się skumuluje, że podejmie próbę samobójczą. Ale w takiej sytuacji nie bardzo możemy powiedzieć, że szpital nie stanął na wysokości zadania. Nie możemy też łączyć jej z tym, że na oddziałach nie ma wolnych łóżek, bo jeśli sytuacja zagraża życiu bądź zdrowiu dziecka, to lekarz dyżurny ma obowiązek znaleźć dla niego miejsce w innym szpitalu. I tak się dzieje. Lekarze biorą za telefon i obdzwaniają kolejne oddziały.

Czasem to miejsce się znajduje, ale 200 czy 300 km od miejsca zamieszkania, co nie jest wymarzoną sytuacją dla dziecka w kryzysie.

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

– Oczywiście. Ale to nie jest tak, że tych miejsc zawsze nie ma. A przede wszystkim musimy się zastanowić, co się takiego dzieje, że oddziały psychiatryczne są tak bardzo przepełnione.

Psychiatrzy pracujący w szpitalach mówią, że dzieci, które w tej chwili do nich trafiają po próbach samobójczych, to najczęściej nie są dzieci, które w rozumieniu klinicznym potrzebują pomocy. To są dzieci, które po prostu odpowiednio wcześniej tej pomocy nie dostały. Nie skorzystały z szeregu opcji pomocy przedpsychiatrycznej, ambulatoryjnej, tylko ich pierwszym kontaktem z systemem był od razu całodobowy oddział psychiatryczny po próbie samobójczej. Nie możemy dopuszczać do takich sytuacji.

Rodzice mówią: próbowaliśmy uzyskać pomoc wcześniej, tylko że w przychodni powiedzieli nam, że mamy czekać cztery miesiące na konsultację. No to czekaliśmy.

– Kryzys to nie jest sytuacja, która pojawia się z poniedziałku na wtorek. On się bardzo długo buduje. I jeżeli od momentu, w którym rodzic zauważa niepokojące sygnały, dziecko nie jest w stanie dotrzymać we względnie stabilnym stanie do tych czterech miesięcy, to znaczy, że rodzic albo nie dostrzega pełni objawów, albo poszukuje formy pomocy, która nie jest dostosowana do poziomu zagrożenia. Chcę przez to powiedzieć, że moment, w którym zauważamy, że z dzieckiem jest coś nie tak, może być momentem, który już zagraża jego życiu i zdrowiu, a wtedy nie wolno nam czekać.

Jak to rozpoznać?

– Jest już wiele profesjonalnych książek, podcastów, stron, które mogą pomóc w zrozumieniu, na jakim poziomie zagrożenia znajduje się dziecko. Są specjaliści dostępni codziennie. Rozmawiamy teraz w szkole średniej, w której pracuję jako pedagożka. Razem z moimi kolegami i koleżankami jesteśmy tu codziennie. Jeżeli rodzic niepokoi się tym, co się dzieje z dzieckiem, może się zgłosić do szkolnego psychologa bądź pedagoga i porozmawiać o tym, co zauważył. Albo poprosić ich o rozmowę z dzieckiem.

Tu wyświetla mi się kolejny nagłówek: „W szkołach nie ma psychologów i pedagogów".

– Tak mogliśmy powiedzieć w 2014 roku, kiedy przeprowadzono kontrolę, z której wynikało, że 44 proc. szkół publicznych nie zatrudnia psychologa ani pedagoga. Nie twierdzę, że dziś w każdej szkole mamy zatrudnionych po kilku specjalistów, tak jak w szkole, w której pracuję, natomiast wiele się przez te niemal dziesięć lat zmieniło. Ministerstwo Edukacji i Nauki podaje, że w każdej szkole jest zatrudniony pedagog, a także – że są pieniądze na etaty dla psychologów i pedagogów specjalnych. Problem w tym, że psychologowie nie garną się do pracy w szkołach, bo trudno oczekiwać, że ktoś po studiach psychologicznych, najlepiej z doświadczeniem, będzie chciał pracować za 2600 zł na rękę. Ta praca musi być lepiej wyceniona, podobnie jak praca nauczycieli.

Co, jeśli w szkole akurat nie ma psychologa, a pedagog mówi: „Ja się na tym nie znam".

– Możemy się udać do ośrodka środowiskowej opieki psychologicznej i psychoterapeutycznej dla dzieci i młodzieży. To tak zwany pierwszy poziom referencyjny, do którego powinniśmy się zgłosić, jeżeli pojawia się jakiś kłopot z dzieckiem w obszarze zdrowia psychicznego. Ośrodki te powstały na skutek wdrażanej od 2020 roku reformy psychiatrii, ale mało kto o nich wie. Jest ich ponad 400. W takim ośrodku pomoc psychologiczną, psychoterapeutyczną powinni otrzymać nie tylko dziecko czy nastolatek w kryzysie, ale również jego rodzice, rodzeństwo, ponieważ taki kryzys jest kryzysem całej rodziny. Jeśli zaistnieje potrzeba, terapeuci z ośrodka mogą przyjść do szkoły dziecka, a nawet pracować z nim w domu.

Brzmi jak bajka, a jaka jest realna dostępność tego rodzaju pomocy?

– W niektórych ośrodkach pomoc można uzyskać bardzo szybko. Rozmawiamy na Bielanach, w Warszawie. Moje doświadczenie jest takie, że jeśli dziś zadzwoniłabym do najbliższego ośrodka opieki środowiskowej, to jeszcze w tym tygodniu uczeń, który tego potrzebuje, mógłby mieć pierwszą konsultację. Czasem trzeba poczekać dłużej. I można, bo do ośrodka z pierwszego poziomu referencyjnego powinniśmy zgłosić się wówczas, gdy sytuacja nie jest krytyczna. Dlatego w środowiskowych ośrodkach opieki pracują tylko psychologowie i psychoterapeuci, nie ma psychiatrów.

Co, jeśli stan dziecka nie jest zaogniony, ale widać, że bardzo cierpi? Z jakiego rodzaju pomocy można jeszcze skorzystać?

– Jeżeli oddziaływanie psychoterapeutyczne, psychologiczne jest niewystarczające, to mamy do dyspozycji drugi poziom, czyli środowiskowe centra zdrowia psychicznego dla dzieci i młodzieży. Tutaj, poza psychologami i psychoterapeutami, już pracują psychiatrzy. Część z tych ośrodków prowadzi oddziały dzienne, na których dzieci mogą przebywać od godziny 8.00 do 16.00, gdzie mają różne zajęcia, w tym psychoedukacyjne. I dostęp do nich jest zwykle szybszy niż na podobne oddziały w szpitalach.

O tym też mało kto wie.

– Dlatego mam ogromny żal do Ministerstwa Zdrowia, że co miesiąc nie zwołuje konferencji i nie opowiada, jaka jest ta oferta. A także – że nie stworzono systemu, który ułatwiałby ludziom znajdowanie tych informacji, bo w tej chwili są one rozproszone. Mamy XXI wiek, technologie, nie wiem, co staje na przeszkodzie, żeby to zrobić. Na przykład ośrodek, który współpracuje z naszą szkołą, sam nas do tego zaprosił. Wiem, że podobne zaproszenia dostały inne szkoły w okolicy. Ale to ich własna inicjatywa. NFZ nie wymaga podejmowania takich działań promocyjnych, więc jeśli ośrodek sam o to nie zabiega, okoliczni mieszkańcy mogą się nie dowiedzieć o jego istnieniu.

Co, jeśli w ośrodku albo w środowiskowym centrum nie ma miejsc bądź terminy są bardzo odległe?

– Ważne, żeby się nie poddawać, tylko szukać dalej.

Poza tym, że pracuję w szkole, pracuję również w serwisie Życie Warte Jest Rozmowy (www.zwjr.pl). To pierwszy polski serwis edukacyjno-pomocowy dla osób w kryzysie samobójczym i ich bliskich. Często nastolatki bądź ich rodzice piszą do nas, że potrzebują pomocy, ale na ich terenie jej nie ma, a wtedy my pomagamy im ją znaleźć. Otwieram wyszukiwarkę NFZ, patrzę, gdzie są podpisane kontrakty na takie usługi, i obdzwaniam wszystkie miejsca po kolei. I nagle się okazuje, że w pierwszym miejscu, owszem, już na ten rok nie przyjmują, co jest obezwładniającą informacją dla rodzica dziecka w kryzysie, w drugim – czas oczekiwania na konsultację to pół roku, ale w trzecim psychiatra może skonsultować dziecko w ciągu dwóch tygodni, a czasem i następnego dnia. Ktoś powie: to na pewno wyjątki. Zaręczam, że nie. Przekonanie, że nie ma pomocy, robi wiele złego tym, którzy jej potrzebują, bo odwodzi ich od poszukiwań, odbiera nadzieję i wzmaga bezradność.

Media na przykład często pokazują zdjęcia dzieci leżących na materacach na oddziałach psychiatrycznych. Opinia publiczna mówi: to skandal! Z całą pewnością nie jest to sytuacja, którą powinniśmy akceptować, ale trzeba pamiętać, że jest to też opowieść o lekarzu, który wziął na siebie te tak zwane ponadstany, żeby ratować czyjemuś dziecku życie. Bo na przykład uznał, że lepiej będzie, jak to dziecko poczeka kilka dni na korytarzu na wolne łóżko, niż jakby miało jechać do innego szpitala, te 100 km dalej.

Rozumiem, że wic w tym, żeby umieć te kryzysy uchwycić wcześniej i żeby szpital był absolutną ostatecznością?

– A przede wszystkim – żeby wyposażyć dzieci w podstawowe umiejętności radzenia sobie z presją, ze stresem, z napięciem emocjonalnym. Żeby pokazać im, kiedy i do kogo mogą zwrócić się o pomoc. I żebyśmy my, dorośli, umieli im ją dać. To zadanie dla rodziców, bliższej i dalszej rodziny, ale też szkoły, nauczycieli, psychologów, pedagogów szkolnych. Żeby mniej dzieci trafiało na oddziały psychiatryczne, potrzebujemy głębokich zmian nie tylko w ochronie zdrowia. Powinniśmy wspólnie się zastanowić, jakie te zmiany mają być, a nie skupiać się wyłącznie na tym, że mamy za mało psychiatrów. Bo my nie potrzebujemy 5 tys. psychiatrów do obsługi dzieci, które nie dostają odpowiedniego wsparcia, troski i zainteresowania. One to wsparcie, troskę i zainteresowanie powinny dostać od nas.

Warto dodać, że żyjemy w określonym systemie, który stawia przed nami, zarówno dorosłymi, jak i młodymi, nowe wyzwania, wytwarza ogromną presję.

– Tylko że my ten system współtworzymy. Nie zgadzam się, żebyśmy mówili, że jest źle i tak już będzie, bo nie jesteśmy niewolnikami! Nałożyliśmy na siebie samych i na dzieci tę ogromną presję, a w momencie, kiedy one nam wprost pokazują, że już tego nie dźwigają, to zamiast zastanowić się, co z tym zrobić, mówimy: „Taki jest świat". Dzieci i nastolatki te wymagania, ciągły brak czasu, chaos, samotność znoszą jeszcze gorzej niż dorośli. Bo nie mają takich narzędzi jak my, a poza tym, bo tych negatywnych czynników w ich życiu jest często więcej. My na przykład nie jesteśmy co 45 minut rozliczane z tego, co nas nie interesuje. Do tego wychowałyśmy się w czasach, kiedy nie musiałyśmy się porównywać z całym światem. Oczywiście, nikt nas jako rodzica, babcię, nauczyciela czy nawet pedagoga nie przygotował na taki kryzys. Ale w momencie, kiedy on jest i czarno na białym widać, że dzieci już tego nie wytrzymują, zamiast zdobywać nowe umiejętności, wskazywać na rozwiązania, wolimy powtarzać, jak jest fatalnie.

Za mało chyba rozmawiamy o profilaktyce. O tym, jak można się chronić przed poważnymi kryzysami.

FOT. SHUTTERSTOCK

Jeśli dziecko mówi, że od dwóch lat uważa się za gorsze, mniej atrakcyjne od rówieśników, to nie mówmy: „Co ty opowiadasz! Przecież jesteś piękna"

eprasa.pl 092e2a9ccb

– Zapominamy też, że system pomocy to nie tylko specjaliści od zdrowia psychicznego, to my wszyscy.

System pomocy ma kształt piramidy. Na samej górze jeden pod drugim są, jak mówiłam, szpital, środowiskowe centra zdrowia psychicznego, ośrodki środowiskowej pomocy psychologiczno-psychoterapeutycznej. Niżej mamy 40 tys. szkolnych pedagogów i psychologów, a jeszcze niżej – ponad 30 mln dorosłych, którzy mogą sobie nawzajem, ale też dzieciom, nie tylko własnym, świadczyć pierwszą pomoc emocjonalną. Na co dzień, w małych sprawach, nie tylko w dużym kryzysie. Nie trzeba do tego kończyć wieloletnich studiów. Potrzeba prostej wiedzy na temat tego, jak właściwie reagować na zauważoną u drugiej osoby trudność.

Skąd tę wiedzę brać?
– Znów – z książek, warsztatów, broszur informacyjnych. Wiele szkół już teraz prowadzi działania edukacyjne dla rodziców albo kieruje ich do odpowiednich placówek. Ja, moi koledzy i koleżanki prowadzimy zajęcia z pierwszej pomocy emocjonalnej dla rodziców i nauczycieli w szkołach w całym kraju.

Na czym ona polega?
– Pomaga rozpoznać sygnały ostrzegawcze kryzysu emocjonalnego u dzieci i nastolatków i adekwatnie na nie reagować, czyli tak, żeby dziecko poczuło, że dobrze zrobiło, otwierając się przed nami, i że coś z tego wyniknie. Wyposażeni w taką wiedzę dorośli są w stanie zauważyć te sygnały, kiedy mają one natężenie błysku, natomiast jeśli ich nie dostrzegą albo odwrócą od nich wzrok, mogą się zorientować, że coś się dzieje, dopiero kiedy u dziecka będzie się świeciło jak w Las Vegas.

Większość rodziców chyba nie odwraca wzroku, kiedy coś się złego dzieje.
– Nie robią tego świadomie. Czasem wynika to z braku wiedzy, ale też ze zwykłej rodzicielskiej miłości i nieumiejętności pogodzenia się z tym, że dziecko tak cierpi. Dlatego szuka się w głowie alternatywnych wytłumaczeń, że „to taki wiek", „panuje moda na mówienie o cierpieniu", „przejdzie jej". Rodzice często mówią mi: „Pani Lucyno, długo nie mogłem / nie mogłam uwierzyć, kiedy mój syn / moja córka mówił / mówiła, że nie chce żyć. Myślałem / myślałam, że chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę". Dlatego tak ważne jest, żeby nauczyć się odróżniać to, co nam się wydaje, od tego, co jest.

Pierwsza pomoc emocjonalna składa się z czterech zetek. Pierwsze: zauważ. Jeśli widzimy, że dziecko jest zapłakane, zapuchnięte i nie jest to pierwsza taka sytuacja w ostatnich tygodniach, to nie pytajmy, czy wszystko OK. Bo na takie pytanie większość osób w kryzysie odpowie: „Tak, OK". Powiedzmy na przykład: „Widzę, że ostatnio kilka razy płakałaś", albo: „Widzę, że ostatnio jesteś bardzo rozdrażniona. Martwi mnie to i chciałabym z tobą o tym porozmawiać".

Drugie zet to: zapytaj, bo musimy wiedzieć, o czym rozmawiamy. Jeśli dziecko powie: „Bo nic mnie ostatnio nie cieszy", poprośmy: „Czy możesz mi powiedzieć o tym coś więcej?", „Co to znaczy dla ciebie, że nic cię nie cieszy?". Za tym powinno iść drugie, bardzo ważne pytanie: „Od jakiego czasu tak jest?". Bo to, że dopiero teraz zauważyliśmy, że coś się złego dzieje, nie oznacza wcale, że to się zaczęło przed chwilą. Często zauważamy kryzys u dziecka dopiero po kilku miesiącach, a zdarza się, że i po dwóch latach. Jeśli nie zadamy tego pytania, możemy zostać w ułudzie, że „no dobrze, dziecko ma obniżony nastrój, mówi, że sobie z niczym nie radzi, dla nikogo nie jest wartościowe, ale to jest tylko teraz".

Trzecie zet?
– Ono jest najtrudniejsze: zaakceptuj. Jeżeli dziecko mówi nam, że od dwóch lat uważa siebie za gorsze, głupsze, mniej atrakcyjne od rówieśników, to nie możemy powiedzieć: „Co ty opowiadasz! Przecież jesteś piękna, aktywna, twórcza". To zaprzeczanie. Lepiej: „Słyszę, że tak siebie widzisz, i wyobrażam sobie, że jest ci z tym bardzo trudno".

Ostatnie zet oznacza: zareaguj, co nie znaczy: doradź. Mamy taki naturalny odruch, że kiedy dowiadujemy się, że ktoś z naszych bliskich, albo my sami, jest wyprowadzony ze swojego normalnego poziomu funkcjonowania, chcemy, żeby wszystko, jak za machnięciem magicznej różdżki, wróciło do normy. Stąd te: „Będzie dobrze", „Za bardzo to przeżywasz", „Spróbuj myśleć pozytywnie" itd. Musimy raz na zawsze wyrzucić te reakcje na śmietnik komunikacyjny, bo one są nieskuteczne.

A co jest przykładem skutecznej reakcji?
– Powiedzenie dziecku: „Choćbym w tej chwili nie wiedział / nie wiedziała, jak ci pomóc, znajdę kogoś, kto to zrobi, i będę w tym razem z tobą". Bo też nie chodzi o to, żebyśmy oddali dziecko w ręce specjalistów i wycofali się z kontaktu.

W serwisie ŻWJR mamy specjalną sekcję dla rodziców – animacje, vlogi, rozmowy z ekspertami na temat tego, na co zwracać uwagę, kiedy konieczna jest konsultacja psychiatryczna, na czym ona polega, jak wspierać dziecko itd. Oferujemy też bezpłatne wideokonsultacje, które w pilnych przypadkach są organizowane bardzo szybko, nawet w tym samym dniu. Dzięki takiemu wsparciu rodzice odzyskują poczucie bezpieczeństwa, ale i nadzieję. Zdejmujemy z nich też trochę to odium, że nie zdali egzaminu. Bo rodzice bardzo często czują się winni, że wcześniej coś przegapili. Rozmawiamy z nimi o tym, że przeszłości już się nie zmieni, natomiast jeśli będą się skupiać na tym, jakimi są złymi rodzicami, to nie pomogą dziecku, które teraz potrzebuje ich stuprocentowego zaangażowania i troski.

Profilaktyka zdrowia psychicznego mogłaby być też organicznie wszyta w podstawę programową.
– Na przykład?

Wiele badań pokazuje, jak ważne dla higieny psychicznej jest obcowanie z przyrodą. Na lekcjach biologii można by chodzić z uczniami do lokalnych parków, lasów, wyjeżdżać w pobliskie góry, a niekoniecznie do dużego miasta, realizując wypchany po brzegi plan edukacyjny. Na WF-ie można by pokazywać, jak różne rodzaje ruchu pomagają podnieść nastrój, czy robić pozytywne zajęcia wokół cielesności. Na języku polskim – rozmawiać o lekturach w taki sposób, który daje narzędzia do radzenia sobie z tym, co dziś.
– Zacznijmy od tego, że my w ogóle nie uczymy dzieci i nastolatków kompetencji kluczowych, czyli umiejętności radzenia sobie ze stresem, komunikacji na temat swojego nastroju i problemów, umiejętności szukania rozwiązań, identyfikacji osób godnych zaufania, proszenia o pomoc, rozpoznawania niepokojących sytuacji w środowisku, ale też u siebie. Nie ma wychowania psychologicznego. Ministerstwo Edukacji i Nauki dostrzegło, że mamy coraz większy problem z otyłością u dzieci, że mniej dzieci jest sprawnych fizycznie, i zainwestowało w zajęcia WF-u, natomiast z niezrozumiałych powodów przy kryzysie, jaki jest, nie stawia na rozwijanie kompetencji psychologicznych.

Musimy odchudzić podstawę programową i przestać walczyć, żeby absolwent szkoły średniej był kandydatem do gry „Jeden z dziesięciu"

Ministerstwo wychodzi chyba z założenia, że od tego jest rodzina rzekomo atakowana przez wrogie ideologie. Jak ideologie przestaną ją atakować, to wszystko wróci do normy.
– Problem w tym, że rodzice często nie mają pojęcia, jak te kompetencje rozwijać.

Przedmiot wychowanie psychologiczne – jedno z moich zawodowych marzeń – jest też potrzebny dlatego, że w obecnej sytuacji wizja szkoły, którą pani roztoczyła, nie ma szans się ziścić. Podstawy programowe są tak przeładowane, że nikt nie będzie na biologii chodził po lasach. Dlatego musimy odchudzić podstawę programową i przestać walczyć, żeby absolwent szkoły średniej był kandydatem do gry „Jeden z dziesięciu". Bo wiedza, którą wynoszą uczniowie ze szkoły, jest od Sasa do Lasa, tymczasem rynek pracy szuka ludzi o wąskich specjalnościach. A my mówimy dzieciom: do 19. roku życia nie obchodzi nas, co cię ciekawi, jakie masz pasje, ponieważ masz się uczyć biologii, chemii, fizyki, matematyki, historii, historii i teraźniejszości, podstaw przedsiębiorczości, polskiego, dwóch języków obcych, edukacji dla bezpieczeństwa i każdy przedmiot jest najważniejszy. Nastolatki mają często po 38 godzin lekcyjnych w tygodniu, a potem muszą odrobić lekcje, przygotować się do pięciu sprawdzianów, przeczytać stos lektur.

Nie ma w szkole miejsca na przyjemność, zabawę – niezbędnych do zachowania równowagi psychicznej.
– A w ramach wychowania psychologicznego moglibyśmy uczyć relaksacji, uważności, dać dzieciom i nastolatkom te wszystkie kompetencje, które pozwalają również odzyskać przyjemność i luz. Tylko żeby szkoła mogła stać się takim przyjaznym miejscem i realnie wspierać zdrowie psychiczne, potrzebne jest zaangażowanie nie tylko Ministerstwa Edukacji i Nauki, ale również Ministerstwa Finansów – żeby podnieść wynagrodzenia nauczycieli tak, żeby mogli się rozwijać i uczyć w sposób twórczy, Ministerstwa Zdrowia – żeby stworzyło programy profilaktyki, oraz innych sektorów.

Pomiędzy uczniami, rodzicami a nauczycielami narosło dużo nieufności, pretensji. Trudno na tym budować.
– Co może mieć określone konsekwencje.

Wielu rodziców nie wie na przykład, że szkoła ma obowiązek dostosować się do indywidualnych potrzeb ucznia, na przykład z depresją. I zdarza się, że rodzice nie mówią w szkole, że dziecko się leczy.

Takie dziecko chodzi do szkoły dwa, trzy miesiące, my po czasie orientujemy się, że coś się dzieje, mówimy rodzicom, że potrzebna jest diagnoza, a oni – że diagnoza już dawno jest. Zawsze się wtedy łapię za głowę. Bo to oznacza, że dziecko mogło dostać pomoc w szkole znacznie wcześniej. Uczeń chorujący na depresję czy zaburzenia lękowe, któremu trudno jest odpowiadać na forum klasy, nie musi tego robić. Klasówkę można napisać w gabinecie pedagoga czy psychologa, gdzie jest mniej rozpraszaczy. Rozliczanie z prac domowych też może przebiegać inaczej niż pod linijkę.

Są szkoły, w których nauczyciele dobrze wiedzą, że dziecko się leczy, ale to nie wpływa na zmianę ich nastawienia. „Depresja? Wszyscy mają teraz depresję".
– Tak też bywa, natomiast szkoły po prostu mają obowiązek dostosowania swojego podejścia do potrzeb takiego ucznia.

Wielką bolączką szkół jest też to, że mamy zaburzoną strukturę wiekową nauczycieli. Najwięcej jest tych powyżej pięćdziesiątki, młodych jest jak na lekarstwo, bo nic ich do tego zawodu nie przyciąga. Studia nie przygotowują do tego, żeby być nauczycielem z prawdziwego zdarzenia, o czym rok w rok przypominają Nauczyciele Roku. Ci wybitni rozwijają się dzięki wymianom zagranicznym, kolejnym studiom i kursom, w które sami inwestują. Ilu nauczycieli może sobie na to pozwolić? Dlatego, jeśli nie zmienimy systemowo podejścia do nauczania i kształcenia nauczycieli, będziemy cały czas w takiej samej sytuacji. Nie wystarczy pracować zrywami. Nie wystarczy wymyślić fajny projekt, który obejmie 200 szkół czy tysiąc nauczycieli. Nie potrzebujemy jaskółek zmiany w nielicznych szkołach, potrzebujemy systemu złożonego ze szkół wypełnionych takimi jaskółkami.

W szkole, w której pani pracuje, uczy się prawie tysiąc uczniów. Czy z roku na rok tych potrzebujących pomocy psychologicznej jest coraz więcej?
– Powiem tak: w tygodniu mam 22 godziny konsultacyjne i co roku kalendarz wypełniony. Moi koledzy i koleżanki też się nie nudzą, a jeśli byłoby nas więcej, to te osoby też miałyby co robić. W ciągu tych 22 godzin przyjmuję 20 uczniów z myślami samobójczymi, dwóch ich nie ma. I wie pani co?

Wszyscy ci uczniowie z myślami samobójczymi na jakimś etapie szkoły podstawowej doświadczyli przemocy rówieśniczej, co się ciągnie za nimi przez kolejne lata i sprawia, że kryzys narasta.

Gdyby takie dziecko, ale też i sprawcę przemocy otoczono właściwą opieką w odpowiednim momencie, to najprawdopodobniej nigdy by się u mnie nie pojawili. Badania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę pokazują, że aż 60 proc. dzieci w Polsce doświadcza przemocy rówieśniczej. Takie dzieci siedem razy częściej podejmują próby samobójcze. Mamy więc jasną wskazówkę, co robić, by zmniejszyć liczbę prób samobójczych wśród dzieci, tymczasem wciąż nie ma jednego, opartego na naukowych dowodach, obowiązkowego programu zapobiegającego przemocy rówieśniczej w szkołach ani procedur postępowania w sytuacji ujawnienia przemocy rówieśniczej. A dzieciom, które doświadczają takiej przemocy, mówi się, że przesadzają albo że to ich wina, a czasem jeszcze każe przeprosić się ze sprawcą.

Z pozytywnych rzeczy – osoby, które korzystały z naszej pomocy rok czy dwa lata temu i wiedzą już, jak rozpoznać kryzys, często przysyłają do nas swoich kolegów i koleżanki, przez co łatwiej nam jest ten kryzys zatrzymać wcześniej. Mamy też coraz bardziej świadome grono pedagogiczne, które dzięki szkoleniom i bliskiej współpracy z psychologami i pedagogami zna zasady pierwszej pomocy emocjonalnej.

No, a poza tym jest cała masa dzieci, które nie mają takich problemów.

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

I one też trafiają do pani gabinetu?
– Powiedzmy, że dziewczyna rozstaje się z chłopakiem, bo źle ją traktował, nie słuchał jej, nie dotrzymywał obietnic. Widać, że umie postawić granice i zadbać o siebie, ale ona przychodzi do mnie z poczuciem, że sobie kompletnie nie radzi, a także – że doświadczyła z jego strony potwornej przemocy psychicznej, ponieważ przeczytała gdzieś na forum albo na Instagramie, że dziewczyny w ten sposób przeżywają podobne sytuacje. Z sieci dowiedziała się też, że za chwilę może się spodziewać myśli samobójczych, a że wciąż ich nie ma, zaczyna się zastanawiać, czy może coś jest z nią nie tak. Jest gdzieś takie oczekiwanie wśród dzieci i nastolatków, że zwykłe trudne doświadczenie za chwilę zamieni się w masakrę.

I jak pani o tym z nimi rozmawia?
– Staramy się ustalić, co jest faktycznie ich, co czują, a co wynika raczej ze społecznej tendencji do przeskalowywania emocji. Rozmawiamy też o tym, że jeśli ktoś się rozstał z chłopakiem, to normalne, że jest mu smutno i źle, ale to nie znaczy, że się zaraz rozpadnie. Pokazuję też uczniom, że jeśli będą brnąć w bardzo negatywne interpretacje sytuacji, to faktycznie mogą się wprowadzić w silne stany emocjonalne.

Skąd to oczekiwanie, że trudne doświadczenia od razu mogą prowadzić do dramatu?
– Z licznych opowieści o tym, jak jest ciężko i źle, które młodych otaczają. A nie zawsze to, co ktoś opowiada o swoim kryzysie, na przykład na TikToku czy Instagramie, jest prawdą.

Niestety kryzys psychiczny też stał się „clickbaitem".

Obserwujemy to również na poziomie szkoły, dlatego tak nam zależy, żeby wiedzieć o wszystkich dzieciach, które są w kryzysie czy które się leczą, ponieważ zdarza się, że osoba, która jest w kryzysie od wielu lat, co oznacza, że nie dostaje adekwatnej pomocy, staje się kimś w rodzaju eksperta od zdrowia psychicznego i zaczyna doradzać innym, mniej doświadczonym. Na przykład gmera przy ich lekach, mówiąc: „Nie bierz tego, to nie działa. Brałam i to jest jakiś żart", albo: „Weź trzy i popij alkoholem, wtedy coś poczujesz". Potem słyszę: „Nie pójdę na terapię, bo Kasia mi powiedziała, że jest od pięciu lat w terapii i to nie ma sensu". Szkoła jest też miejscem, które może tu zainterweniować. Jeżeli ktoś mi mówi: „Jestem pięć lat w terapii, to nie działa", mam szansę spytać, co się takiego dzieje w tej relacji terapeutycznej, że jest ona nieskuteczna. I czasem dochodzimy do wniosku, że może lepiej jest poszukać innego terapeuty albo terapeutki czy psychiatry. Bo to usługa jak każda inna. Tylko wiele rodziców, jak i dzieci w ogóle nie dopuszcza takiej myśli, że może tu coś zmienić.

Dużo krzywdy moim zdaniem robią też badania, które nie są przeprowadzane na próbach reprezentatywnych, a ich wyniki przerażają.

Na przykład?
– Badania mówiące o tym, że ponad 70 proc. młodych osób LGBT plus ma myśli samobójcze. Potem

Dużo krzywdy robią badania, które nie są przeprowadzane na próbach reprezentatywnych, a ich wyniki przerażają

słyszę od dzieci, które identyfikują się z tą społecznością: „Ja chyba jestem niepełnym gejem, niepełną lesbijką, niepełną osobą niebinarną, skoro nie mam myśli samobójczych i nie jestem dyskryminowana?".

Albo: „Czy ja w ogóle mam prawo do szczęścia, skoro tak dużo osób z grupy, z którą się identyfikuję, go nie ma?". Pytanie, czy naprawdę jest tak strasznie, jak dociera do nas z tych badań? Jeśli tak, powtórzmy je, ale tym razem na próbach reprezentatywnych. A po drugie, niech za wynikami pójdzie informacja, dlaczego tak się dzieje, jakie są czynniki ryzyka oraz jaką profilaktykę w obszarze zdrowia psychicznego powinniśmy wprowadzić w tej konkretniej grupie dzieci i nastolatków. Bo straszenie i podkreślanie, jak jest źle, do niczego dobrego ich nie doprowadzi.

Dlaczego tak się dzieje, to już trochę wiadomo. Klimat wokół osób nieheteronormatywnych jest zły. Wiele padło pod ich adresem niszczących słów od osób, które są uznawane za autorytety.
– Zgadzam się w pełni, że takie słowa nigdy nie powinny paść. Ale też nie słyszałam od żadnej młodej osoby, żeby się interesowała tym, co powiedzieli arcybiskup Jędraszewski, minister edukacji i nauki czy inny polityk. Ich interesują relacje, które mają, a one są różne. Nie twierdzę, że dzieci heteronormatywne podlegają takiej samej presji, co dzieci nieheteronormatywne, natomiast nie możemy zakładać, że coś wiemy na pewno, póki nie przeprowadzimy porządnych badań. Te, o których w ostatnim czasie jest głośno, robi się przez internet: udział jest całkowicie dobrowolny, a także możliwy wielokrotnie, co bardzo zakrzywia wyniki i nie daje żadnego prawa do mówienia, że „80 proc. nastolatków ma myśli samobójcze". Poza tym, jeśli mamy badanie internetowe dotyczące kryzysowych sytuacji, to najprawdopodobniej wezmą w nim udział ci, którzy ich doświadczają. Reszta ma co innego do roboty w internetach.

Jest naprawdę sporo rzetelnych badań, ale że nie są tak wypromowane, mało kto o nich wie. Na przykład badanie „EZOP II" przeprowadzone przez Instytut Psychiatrii Neurologii dotyczące kondycji psychicznej Polaków. Według niego tendencje samobójcze w Polsce ma 5,7 proc. dzieci z grupy wiekowej 13-18. Jest też porządne badanie zrobione na zlecenie rzecznika praw dziecka pt. „Ogólnopolskie badanie jakości życia dzieci i młodzieży", o którym się nie mówi, bo to TEN rzecznik. Nie jest tajemnicą, że w wielu kwestiach się z panem rzecznikiem nie zgadzam, ale dokładnie przeanalizowałam to badanie i wiem, że zostało zrobione zgodnie ze sztuką, na próbie reprezentatywnej. A w dodatku pokazuje bardzo ciekawe aspekty rzeczywistości. Na przykład taki, że dzieci czują się przez rodziców kochane, ale kompletnie niezrozumiane, a rodzice mają poczucie, że świetnie je rozumieją, co podpowiada nam, że sama miłość nie wystarcza. Na szczęście komunikacja jest czymś, czego można się nauczyć.

Kiedy uznałaby pani, że wyszliśmy z tego kryzysu?
– Kiedy spadnie nam liczba zachowań samobójczych wśród dzieci i nastolatków i kiedy mniej dzieci będzie się zgłaszało na SOR-y. To będzie świadczyło o tym, że dostały te kluczowe kompetencje do radzenia sobie z problemami, a także – że mają blisko osoby, które są w stanie rozpoznać ich trudny moment i właściwie na niego zareagować.

W rozwoju cywilizacji doszliśmy do miejsca, w którym jesteśmy w stanie wysłać teslę w kosmos, między innymi dzięki temu, że wcześniej zaspokajaliśmy swoje potrzeby przynależności, uznania i akceptacji. Ale XXI wiek stał się wiekiem zaprzeczania tym potrzebom, co wybija nam kryzysami psychicznymi u dzieci i młodzieży, a za chwilę, jak prognozuje WHO, wybije nam kryzysami w całej populacji. Przed nami bardzo duży wysiłek. Jeśli go jednak podejmiemy i wdrożymy strategie rozwijające kompetencje kluczowe u dorosłych i u dzieci, to tym dzieciom, które już za chwilę staną się dorosłymi, będzie potem łatwiej tworzyć trwałą zmianę społeczną wokół zdrowia psychicznego. Bo będą mieli i to doświadczenie, i tę wiedzę, i umiejętności komunikacyjne.

Zachowania samobójcze pojawiają się wtedy, kiedy nie jesteśmy w stanie czynnikami ochronnymi zrównoważyć negatywnego wpływu czynników ryzyka. Nie wszystkie czynniki ryzyka da się modyfikować. Nikt do nas nie zapraszał pandemii, nie mamy wpływu na to, że wybuchła wojna w Ukrainie, ale czynniki ochronne możemy nieustannie poszerzać. To: wiedza, umiejętności, motywacja do sięgania po pomoc, bezpieczne otoczenie, a najsilniejszym są ludzie, którym ufamy, którzy nas dostrzegają i wiedzą, jak nas wesprzeć. I do takiego społeczeństwa powinniśmy dążyć.

Bo najlepszą przyjaciółką kryzysu jest samotność. ●

PO PRAWDZIE

Możemy zmienić historię

A marudzimy, że niekoniecznie z Giertychem

Agnieszka Kublik

Było tak.

W II turze wyborów prezydenckich w 2015 r. Andrzej Duda dostał 8 630 627 głosów. Bronisław Komorowski – 8 112 311. Różnica nieco ponad pół miliona głosów, a zatem ćwierć miliona by wystarczyło, by odwrócić wynik.

By zmienić bieg historii.

W parlamentarnych w 2015 r. obóz anty-PiS (PO, Nowoczesna, PSL, Zjednoczona Lewica, Razem) zgarnął w sumie 7 294 170 głosów, a PiS – 5 711 687. Ponieważ Zjednoczona Lewica i Razem nie przekroczyły progu, PiS dostał 51,09 proc. mandatów.

By zmienić bieg historii, wystarczyło się dogadać?

W wyborach europejskich wiosną 2019 r. Koalicja Europejska (PO, PSL, SLD, Nowoczesna, Zieloni) dostała 5 249 935 głosów, Razem Biedronia – 826 975, czyli w sumie 6 076 910.

PiS – 6 192 780 głosów. I tu nie było jednej listy bloku anty-PiS. Efekt? PiS zgarnął 50,98 proc. naszych mandatów.

W wyborach parlamentarnych jesienią 2019 r. blok anty-PiS dostał 8 958 824 głosy, a PiS – 8 051 935. Ale opozycja znowu się nie porozumiała i wystawiła trzy listy: Koalicji Obywatelskiej (PO, Inicjatywa Polska, N, Zieloni), SLD i PSL. W efekcie PiS, zdobywając 43,59 proc. głosów, dostał 51,09 proc. mandatów.

Ach, by zmienić bieg historii, wystarczyło się dogadać?

W 2020 r., w II turze kolejnych wyborów prezydenckich, Duda wygrał z niewielką przewagą. Dostał 10 440 648 głosów, Trzaskowski – 10 018 263. Różnica wyniosła 422 385. Połowa z tego by wystarczyła, by odmienić bieg historii.

Wniosek: zjednoczona opozycja miałaby szanse na większość, ale się nie dogadała. I nie wyciągała z tego wniosków.

Gorzej, najzagorzalsi przeciwnicy jednej listy posługiwali się nawet argumentem, że przecież jedna lista już była i się nie sprawdziła.

I już jednej listy nie będzie. Czy da się zmienić bieg historii?

Donald Tusk próbuje. Bez jednej listy.

Zwolennikom daje wybór. Współpracuje i z Michałem Kołodziejczakiem z Agrounii, i z Giertychem.

No właśnie, na tym polega istota głosowania: to wyborca decyduje, nie partia, kto dostanie mandat. Do Sejmu dostaną się ci, którzy zdobędą więcej głosów niż konkurent z listy, a nie ci, którzy dostali miejsce tzw. biorące. Bo to nasz głos jest wyłącznym czynnikiem decydującym o tym, kto wchodzi, kto nie.

To znaczy, że głosowanie na X nie jest głosem oddanym na Y.

Tusk podjął ogromne ryzyko, nie ma dnia, by mu tego nie wypominali, ale wykalkulował, że ze wszystkich ryzyk najgroźniejszym jest trzecia kadencja PiS. A gdyby Kaczyńskiemu zabrakło głosów do utworzenia rządu, bez mrugnięcia okiem sięgnąłby po nacjonalistów. I wtedy trzecia kadencja PiS byłaby brunatna. I to jest już RYZYKO.

W polityce nie można mieć wszystkiego, trzeba wybierać spośród tego, co jest możliwe.

Rzeczpospolita jest zagrożona, z kim chcemy ją uratować? Zmienić bieg historii? ●

eprasa.pl 092e2a9ccb

Jeśli któregoś listopadowego dnia zobaczycie ponownie na granicy polsko-białoruskiej tłum mężczyzn, ale dziesięciokrotnie większy, którzy będą próbowali dostać się do europejskiego raju, nie zdziwcie się

Michał Olszewski, Kurdystan

Nawet w porze deszczowej nie jest łatwo dostać się do Hassan Sham, a co mówić latem, kiedy iracki Kurdystan skwierczy w upale jak barani szaszłyk na ogniu.

Na przełomie lipca i sierpnia temperatury za dnia sięgają tu pięćdziesięciu stopni, a coraz częściej zdarzają się i takie dni, kiedy je przekraczają. Wtedy urzędnicy państwowi zamykają biura i zostają w domach, żeby i bez tego przeciążona sieć elektryczna nie padła na amen z powodu rozkręconej do oporu klimatyzacji. Urzędnicy włączają przydomowe generatory i spędzają najgorętsze dni w domowym zaciszu. Silniki klimatyzatorów przyklejone do ścian wydmuchują żar. W sąsiednim Iranie władze w odpowiedzi na upał ogłaszają dwudniowe święto państwowe, zamykając banki, urzędy i szkoły. Na szczęście jest sucho – wody tu niewiele – więc Kurdowie jeszcze nie umierają z przegrzania.

W południe termometr samochodowy pokazuje 48 stopni, zbawienna klimatyzacja pracuje pełną parą. Ścierniska mają kolor złoty i czarny, bo zgodnie ze starodawnym obyczajem wypala się je do kości, trąby powietrzne unoszą wysoko w górę strzępy plastiku, a horyzont ginie w pylistej mgiełce. Z Erbilu jedziemy w stronę Mosulu i naprawdę nic oprócz opowieści o miejscu, w którym kiedyś rodziła się cywilizacja, a z którego cywilizacja teraz powoli się wycofuje, powstać tu nie może: niedaleko jest Niniwa; niedaleko jest Eufrat; gdzieś tutaj pierwsi rolnicy hodowali płaskurkę, ciesząc się żyzną ziemią i sprzyjającym klimatem. Teraz tylko erozja, upał, wojsko, góry płonących śmieci, dymy na horyzoncie, ziemia, która wygląda, jakby rodziła gruzowiska i odpady; rozsypujący się park rozrywki Khabat – niegdyś duma tych okolic; na poboczach nieliczne sklepiki i czarne, tłuste jamy warsztatów samochodowych jak oazy życia; czasami obrazy melancholijne i pradawne – pasterz na ośle przepędza stado baranów znikąd donikąd; człowiek bije pokłony Wszechmogącemu pomiędzy stertą dymiących odpadów a ogryzionym szkieletem czegoś, co było być może posterunkiem, domem, pocztą, wiejskim sklepikiem.

Przed Mosulem skręcamy w prawo i wjeżdżamy na najbardziej wysuniętą na wschód linię zdobyczy Państwa Islamskiego. Tyle lat minęło, ale grozę wojny czuć tu nadal, jak gdyby przyczaiła się na moment za horyzontem – niegdyś ludne wioski nie zostały odbudowane, straszą domy obrócone w perzynę przez artylerię: pourywane balkony, roztrzaskane dachy, okna powyrywane z framugami od siły podmuchu, na tynku wysypka po szrapnelach. Upał i cisza, nawet cykad nie ma.

Jest za to Hassan Sham, które wyłania się zza ruin. Na kamienistym polu 6 tysięcy ludzi zamkniętych jest za drutami obozu dla byłych bojowników ISIS i ich rodzin.

ZMIANA

Kiedy do obozu dla uchodźców syryjskich i uchodźców wewnętrznych, tak zwanych ajdipisów, czyli wygnanych z własnych domów Irakijczyków, Kurdów i Turkmenów w irackim Kurdystanie, przyjeżdżają dziennikarze oraz donorzy, konieczna jest forma. Forma nakazuje, by na początku odwiedzić camp managera. Zazwyczaj jest nim mężczyzna w wieku średnim, wyelegantowany, z równo przyciętą brodą, starannie ułożoną fryzurą i bez choćby śladu pyłu na butach. Siedzimy w chłodzie, na stół wjeżdżają jednorazowe pojemniki z lodowatą wodą, kawa i herbata, koniecznie słodka. Pośpiech jest niewskazany, obóz przez tę godzinę nie zniknie, ptasie mleczko z Polski przełamuje lody. Władze obozu wraz z jego mieszkańcami dziękują za pomoc z Polski i Europy, sytuacja wygląda stabilnie, uchodźcy z Syrii powoli się aklimatyzują, uchodźcy wewnętrzni, którzy musieli uciekać przed ISIS, tylko czekają na sposobność, by powrócić do domu. Pieniędzy jest zbyt mało, ale są, dostawy jedzenia realizowane są planowo, tu nowy plac zabaw, tam kolejny zbiornik na wodę.

Tym razem jest inaczej i ta zmiana jest wyczuwalna również w innych obozach. Camp managerowie nie owijają w bawełnę i mają nastroje wyraźnie mniej optymistyczne niż 5 lat temu, kiedy byłem tu pierwszy raz. Może to upał, może zmęczenie, a może (co bardziej prawdopodobne) rzeczywiście sytuacja staje się dramatyczna. Po inwazji Rosji na Ukrainę duże europejskie organizacje charytatywne zaczęły zmniejszać swoje zaangażowanie w obozach w Kurdystanie i Iraku. Przestały płynąć pieniądze na zasiłki dla rodzin, w większości wielodzietnych i z bezrobotnym mężczyzną jako głową familii. Dane UNHCR nie pozostawiają wątpliwości: żeby zapewnić podstawową opiekę uchodźcom, zarówno tym w obozach, jak i tym, którzy z obozów wyszli, ale nadal otrzymują wsparcie, potrzeba prawie 240 mln dolarów. Na dzisiaj brakuje blisko 70 proc. tej kwoty. Widok chłopców, którzy stoją na rozpalonym klepisku Hassan Sham w kolejce po paczki żywnościowe, hałasując taczkami, jest dwuznaczny: stoją, ponieważ przyszła dostawa. Co się stanie, jeżeli kolejna dostawa nie nadejdzie? Lub jeśli zabraknie pieniędzy na dostawy diesla do generatorów, które zaopatrują obóz w prąd? A jeśli zabraknie pieniędzy na wodę czy też, jak w innych obozach, na wywóz śmieci?

Obozy, w których w tej chwili mieszka blisko 100 tysięcy ludzi (80 proc. z nich w Kurdystanie), wiszą przede wszystkim na łasce rządu kurdyjskiego i Fundacji Barzanich – wielkiej organizacji charytatywnej, prowadzonej przez najważniejszy klan Kurdystanu – oraz nielicznych zagranicznych instytucji pomocowych. I jeśli ta sytuacja się utrzyma, o czym w Kurdystanie mówi się coraz głośniej, obozy trzeba będzie rozwiązać.

O czym ich mieszkańcy myślą z drżeniem serca.

LABIRYNT

W Hassan Sham, za siatką i drutem kolczastym, żyje w tej chwili ponad 5 tysięcy ludzi, prawie 60 proc. mieszkańców to dzieci poniżej 18. roku życia. Można powiedzieć: mieli czas, żeby znaleźć pracę, pieniądze. Można powiedzieć, że to wyuczona bezradność ustawia drugie pokolenie zamkniętych w obozach uchodźców w kolejce po żywność. Z perspektywy w miarę chłodnego kraju europejskiego sprawa wydaje się prosta. I czasami taka jest: obozy zaludnione są ludźmi, którzy stali się więźniami własnej kultury, a czasami po prostu znajdują łatwe wymówki dla własnej niemocy. Ta kultura, jak twierdzą, nakazuje zamknąć dziecko w kontenerze, zamiast wysłać je na plac zabaw, żeby bawiło się z innymi; albo nie pozwala prosić o pomoc sąsiada, który posiada samochód i mógłby pomóc w transporcie do szpitala w mieście, ale nie jest członkiem rodziny; albo uczy, że przestrzeń wspólna jest niczyja i nikt nie ponosi za nią odpowiedzialności, w związku z czym domostwo wysprzątane jest na błysk, ale tuż za jego granicą rozpościera się morze śmieci; albo pozwala wydać 14-letnią dziewczynę za mąż za 16-latka.

Będzie jeszcze goręcej i jeszcze ciaśniej, bo seks, obok religii, jest tu jednym z niewielu dostępnych sposobów wytchnienia

Tu, na miejscu, rzecz wygląda jednak zupełnie inaczej, a wyuczona bezradność nie jest kluczowa do zrozumienia dramatycznej sytuacji setek tysięcy ludzi. Uchodźcy, zarówno z Syrii, jak i wewnętrzni, a szczególnie rodziny mężczyzn podejrzewanych o związki z Państwem Islamskim bądź za nie skazanych (jest ich niemało), poruszają się jak w labiryncie. Jedni czynią to bardziej sprawnie, inni szorują po dnie. Idea, by stopniowo zmniejszać obozy, a uchodźców wtapiać w życie lokalnych społeczności, idzie opornie – po niemal dziesięciu latach od powstania pierwszych obozów widać wyraźnie, że w Kurdystanie żyją uchodźcy, którzy ułożyć sobie życia poza obozami nie potrafią bądź po prostu nie są w stanie, mimo najlepszych chęci. Co więcej, dorasta pokolenie, które innego świata niż obóz po prostu nie zna.

Na przykład Ahmed (prosi, żeby nie ujawniać prawdziwego imienia, choć godzi się na zdjęcia). 30-latek wyniszczony tak, że wygląda, jakby miał pięćdziesiątkę na karku. Opuścić okolicy w poszukiwaniu pracy nie może, ponieważ jego dokumenty są przetrzymywane przez służbę bezpieczeństwa Asaish. Oddycha z trudem, jak ryba wyrzucona na brzeg. Spędził sześć lat w więzieniu, skazany za przynależność do ISIS, choć, jak twierdzi, to nieprawda. Inna sprawa, że w obozie Hassan Sham nie znajdziemy mężczyzny, który przyznałby się do współpracy z Państwem Islamskim. Wszystko to efekt podłych pomówień, donosów i nieporozumień. W każdym razie Ahmed, z którego pot leje się strugami, otyły, chory na nadciśnienie, z trojgiem małych dzieci na kolanach i wenflonem wbitym jeszcze w żyłę ukrytą pod brudnym bandażem, nawet chciałby, żeby najstarsza córka poszła do obozowej szkoły. Ale dziecko nie ma dokumentu tożsamości, bez którego do obozowej szkoły pójść nie może – takie są zasady. Po dokument tożsamości trzeba jechać do Samarry. Ale Ahmed ma do swojego rodzinnego okręgu zakaz wstępu. Może zatem żona? Odpada – dziecko jest przy ojcu i tylko ojciec może otrzymać odpowiedni dokument. W związku z czym 7-letnia córka, która powinna już płynnie czytać i liczyć, siedzi w obejściu tak nędznym, że serce pęka na kawałki. Ahmed nie ma prawa, by szukać choćby dorywczej pracy w Erbilu czy Mosulu, wokół obozu pozostały tylko ruiny, więc zatrudnienia również nikt mu tutaj nie da. Ima się rozpaczliwego zajęcia, odkupuje za grosze od jednej rodziny resztki pożywienia z paczek i sprzedaje je za grosze innej rodzinie albo skupuje resztki niesprzedane w okolicznych sklepikach i handluje nimi potem w obozie. Ptasie mleczko nic tu nie pomoże – oblepiają nas roje much, wśród śmieci jedyna kura wysiaduje jajko, gorący wiatr szarpie ścianami namiotu, chce się stąd jak najszybciej wyjść, uciec i zapomnieć.

Nie trzeba jednak takiej nędzy jak w obejściu Ahmeda, by zobaczyć, że dla części uchodźców obozy stały się jednocześnie schronieniem i pułapką. Schronieniem, ponieważ ocalili życie, mają dostęp do darmowej elektryczności i wody, dostają raz na dwa miesiące paczki z jedzeniem. Ich domy są zrujnowane albo zrównane z ziemią, a na odbudowę środków nie mają; w większości są sunnitami, co oznacza, że szyickie milicje nie przyjmą ich z otwartymi rękoma; żyją bez dokumentów, z dnia na dzień, z mi-

eprasa.pl 092e2a9ccb

FOT. MARTYNA NIECKO

zerną opieką medyczną, ale za to z wielkimi rodzinami. Tak jak Jabbar Maai Mohammed, krzepki trzydziestoośmiolatek, ojciec dziesięciorga dzieci i mąż dwóch żon, sąsiad Abdula: przez cztery lata mieszkał i pracował w Erbilu, skąd został wraz z rodziną wyrzucony ze względu na brata, który należał do Państwa Islamskiego. Brat zginął, dlatego, jak nakazuje obyczaj, ożenił się z wdową. O legalnym powrocie nie ma mowy. Z czego się utrzymuje? Odpowiedź jest nad wyraz niejasna, ponieważ tłumaczka nie jest w stanie dokładnie wytłumaczyć, co oznacza w jego przypadku „zarządzanie finansami". Jak zarządzać czymś, czego nie ma? I jak zarobić na tym tyle, by wyżywić 10 dzieci i dwie żony?

Albo 54-letnia Gule Khalil Abdullach, matka i babcia, głowa 13-osobowej rodziny, którą odwiedzimy w obozie Darashakran. Mąż szósty rok siedzi w więzieniu w Bagdadzie (powodów Gule nie ujawnia, ale można przypuszczać, że dostał wyrok za wsparcie Państwa Islamskiego). Według relacji żony w więzieniu był torturowany prądem i bity tak, że stracił wzrok, więc nawet jeśli wróci żywy (wyrok dobiega końca), wielkiej rodzinie nie pomoże. Gule jest niepiśmienna, całe życie przed obozem spędziła przy mężu, bez wsparcia finansowego sobie nie poradzi. Jest też zalękniona i nieufna – jej dorastające wnuczki mają zakaz zabawy poza ciasnym i ciemnym kontenerem, a po szkole wracają od razu do domu. Gule obawia się, że któraś z nich może spodobać się jakiemuś chłopcu, a od tego tylko krok do wydatków, na które rodziny nie stać. Wakacje spędzają więc ściśnięci jak śledzie w beczce przy ledwo dyszącym wiatraku. Dzieci budzą się późnym popołudniem i całe noce spędzają wpatrzone w telefony. Innego życia dla siebie i swojej rodziny Gule nie widzi.

NA PÓŁNOC

W Hassan Sham, Baharce, Qushtapie czy Darashakranie, w obozach zarządzanych byle jak, z camp managerami, którzy na każde pytanie rozkładają bezradnie ręce (Dlaczego boisko zamknięte na kłódkę? Dlaczego tyle dzieci siedzi w domach, zamiast chodzić do szkoły? Dlaczego nie dbacie o edukację dziewczynek? Dlaczego przymykacie oczy na małżeństwa dzieci, mimo że są one nielegalne? Dlaczego społeczność obozu nie może wziąć się w garść i sama posprzątać zwałów śmieci, piętrzących się na ulicach?), ale też w miejscach prowadzonych wzorcowo i podobnych bardziej do małych miast niż koczowisk, z asfaltowymi alejami, strefami handlu, rzemiosłem i salonami głównie męskiej piękności, coraz wyraźniej widać schemat, o którym mówi się w kontenerach, namiotach i domkach z szarej cegły, półgębkiem. Ponieważ jest coraz gorącej, to fakt. Ponieważ w lipcu i sierpniu rodzice przez większość dnia siedzą zamknięci w domach, przyklejeni do wentylatorów, a część rodzin przechodzi na nocny tryb życia, za dnia śpiąc, a po zmroku oglądając zabawne filmiki na ekranach komórek. Będzie jeszcze gorącej i jeszcze ciaśniej, ponieważ seks, obok religii, jest tu jednym z niewielu dostępnych sposobów wytchnienia – tylko w Darashakranie, gdzie na powierzchni 5 km kw. tłoczy się prawie 12 tys. ludzi, każdego miesiąca przychodzi na świat ok. 80 nowych mieszkańców. Pieniędzy w systemie ubywa, a mieszkańcy nie mają możliwości, żeby podjąć pracę. Co, poza bezradnością i frustracją, pozostaje?

Drogi są trzy, z czego dwie bardzo kosztowne i niebezpieczne. Jedna prowadzi przez lotnisko w Dubaju bezpośrednio do Mińska i potem do granicy z Polską bądź Litwą. Druga przez Morze Śródziemne. Trzecia to możliwość otrzymania tzw. wizy pracowniczej, na przykład w Polsce, z czego

Dorasta pokolenie, które innego świata niż obóz po prostu nie zna

mieszkającym w obozach mężczyznom skorzystać będzie trudno – zazwyczaj nie mają wykształcenia zawodowego ani nie znają choćby podstaw żadnego języka poza arabskim i sorani.

Jeśli zatem któregoś listopadowego dnia zobaczycie ponownie na granicy polsko-białoruskiej tłum mężczyzn, którzy będą próbowali dostać się do europejskiego raju, tym razem nie w półtora tysiąca, a w liczbie dziesięciokrotnie większej, nie zdziwcie się. Nie będą mieli nic do stracenia, za plecami zostawią ruiny, upał, niewyobrażalne z polskiego punktu widzenia ubóstwo, mieszkania w kontenerach bądź porwanych namiotach UNHCR bądź po prostu z plastikowych szmat, żony i dzieci oczekujące na jakieś rozwiązanie. Przyjdą z miejsc, które w ciągu najbliższych dekad wyschną na popiół, w poszukiwaniu tego, czego mamy pod dostatkiem – nie tylko pieniędzy, ale również wody, chłodu, zieleni. Rozważania, czy na pewno muszą zdecydować się na szturm granicy, jakie mają telefony, jaki jest ich stosunek do kobiet, czy zaczną uczyć się polskiego, czy też uciekną w getta – wszystko to ma znaczenie drugorzędne, wystarczy bowiem tydzień w obozach dla uchodźców, by zrozumieć, że dla ludzi w nich uwięzionych nie ma już odwrotu. Ponieważ przyjdą jeszcze większe upały, a może zdarzyć się i tak, że władzom obozów zabraknie pieniędzy na paliwo do generatorów, dzięki którym w niektórych kontenerach rzężą jeszcze wentylatory i za dnia jest czym oddychać.

Ponieważ wystarczy wziąć do płuc haust gorącego powietrza, którym na co dzień oddychają mieszkańcy Hassan Sham, by jasne stało się, że pytanie „czy" nie ma już sensu.

Liczy się jedynie pytanie „kiedy".

NADZIEJA

Odwiedziliśmy ją z Małgorzatą Olasińską z Polskiej Misji Medycznej pięć lat temu i był to widok dramatyczny. Eman Mahmoud Abdullach, wówczas 41-letnia matka czwórki dzieci, w tym chorego na trisomię 2-letniego Shahma, czekała drugi rok na wieści o mężu, który przepadł bez śladu. Mąż Eman był w wiosce pod Mosulem, z której pochodzili, elitą: imamem w miejscowym meczecie. Kiedy do ich miejscowości wkroczyło Państwo Islamskie, otrzymał od milicji Al-Hisbah propozycję nie do odrzucenia: jako człowiek religijny miał obowiązek publicznie wspierać Państwo Islamskie. Odmówił, po czym trafił na pół roku do więzienia, przez miesiąc był podwieszony za ręce pod sufitem celi. Wrócił do domu, a potem znowu został aresztowany. Znowu wrócił i znowu został aresztowany. I znowu wyszedł. Al-Hisbah chodziła za nim krok w krok. Był zbyt cenny, żeby go zamordować. Eman uciekła pierwsza, mąż miał dołączyć do niej kilka dni później. Ona dotarła na tereny kontrolowane przez wojska irackie, po czym trafiła do Baharki, po nim słuch zaginął.

Pięć lat po naszym pierwszym spotkaniu Eman wygląda inaczej. Uśmiecha się częściej. Na powrót męża już nie liczy – został uznany za zmarłego, żeby sytuacja prawna rodziny była jasna. W kontenerze czysto i pachnie delikatnie perfumami jaśminowymi domowej roboty. Wentylator pracuje. Dzieci uczą się angielskiego i w przeciwieństwie do większości swoich rówieśników z obozu regularnie odwiedzają niedaleki Erbil – wielkie, niezwykłe miasto, w którym osiedlił się rodzony brat Eman. Zarabiają dzięki matce, która posiada certyfikat ziołolecznictwa. Ze składników równo poustawianych na półkach wytwarza pachnidełka i maści na choroby skórne, które cieszą się wzięciem nie tylko w obozie, ale też w stolicy Kurdystanu. Shan rośnie i potrafi nawet samodzielnie pójść do sklepiku po zakupy, choć widoków na operację wady serca (częsta przypadłość dzieci z zespołem Downa) nie widać.

Inaczej niż pięć lat temu Eman o przeszłości i mężu opowiada niewiele. Może dlatego, że rany się zabliźniły, a może dlatego, że do tamtego, nieźle urządzonego świata w małym meczecie pod Mosulem, nie ma już powrotu. Chce, żeby wszystkie dzieci skończyły szkołę i uciekły jak najszybciej z obozu. Shan zostanie przy niej – to oczywiste – przez całe życie. Eman nie traci jednak nadziei, że nadarzy się okazja i cała rodzina będzie mogła osiąść w Erbilu, w pobliżu jej brata. Na razie koncentruje się na tym, co najważniejsze: żeby dzieci nie opuszczały lekcji, a Shan miał stałą opiekę lekarską.

Eman ma zatem minimalne fundusze i tak potrafi nimi gospodarować, że dzieci są zadbane i czyste, w domu kontenerze nie brakuje jedzenia, a czasami można nawet wybrać się do miasta. Nie musi brać jedzenia na kredyt w obozowym sklepiku, gdzie na ladzie leży gęsto zapisany zeszyt z dłużnikami. Tak wygląda mała stabilizacja wdowy z czwórką dzieci, w pylistym obozie, schowanym w polach niedaleko od stolicy Kurdystanu. Eman osiągnęła względny spokój i wydaje się, że jest z tego dumna.

POMOC

Chodzimy po Hassan Sham, Baharce i Darashakranie z medykami z Polskiej Misji Medycznej, jednej z ostatnich organizacji zagranicznych, jakie działają w irackim Kurdystanie. Z biura camp managera do namiotu, z namiotu do kontenerów, z kontenerów do domku z pustaków, z domku do kliniki. Błąkamy się pustymi ulicami, odwiedzamy nieliczne otwarte sklepiki. Bocznymi uliczkami, przez szmaty, folie, śmieci, łachmany, podarte buty, odkryte rynsztoki, blachę trapezową z namalowanymi sprayem numerami domostw, szkielety starych generatorów, połamane plastiki, druty, potłuczone szkło. Na zewnątrz pusto i cicho. Życie schowało się pod dachy i jeszcze przez miesiąc, zanim upał zelżeje, a dzieci wrócą do szkół, obozy będą wyglądały jak opustoszałe.

I znowu ta wątpliwość: po cholerę na tym końcu świata polska pomoc? Jakie znaczenie w ogólnym planie ma fakt, że PMM prowadzi w Darashakranie klinikę stomatologiczną i leczy jako jedyna organizacja w Kurdystanie popsute zęby uchodźcom, których część widzi stomatologa pierwszy raz w życiu? Co zmieni fakt, że jakiś mężczyzna będzie miał w końcu plombę, a kobiety w Hassan Shan dzięki polskim pieniądzom dostają możliwość bezpłatnej konsultacji u ginekolożki i wizyt pediatrycznych? Że w obozie Baharka chore na biegunkę dzieci (plaga wśród najmłodszych) otrzymują błyskawiczną opiekę, a w razie potrzeby szybki transport do szpitala? Że do Hassan Shan udało się kupić ultrasonograf i zatrudnić specjalistkę? Upał przez to nie zelżeje, ciasnota się nie zmniejszy, miejsc pracy dla mężczyzn nie przybędzie, woda nie wróci.

Ale myślę, może i naiwnie, że polskie pieniądze w Kurdystanie świata nie zbawią, jednak dla tego mężczyzny, który właśnie wychodzi od dentysty, i dla tej kobiety, która dowiedziała się właśnie, że kolejne dziecko, które w sobie nosi, rozwija się prawidłowo, są absolutnie konieczne, ponieważ nie stać ich będzie w najbliższej przyszłości (a być może nigdy) na stomatologa czy radiolożkę. Więc tak, ta polska pomoc, może i mikroskopijna w skali potrzeb Bliskiego Wschodu, jest konieczna i niezbędna.

A każdy wyleczony ząb zmienia świat na lepsze. ●

Projekt **„Pomoc medyczna i dentystyczna dla uchodźców, osób przesiedlonych i ludności lokalnej w guberni Erbil i Al-Hamdaniya w Iraku. Kontynuacja"** jest współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP.
Możesz wesprzeć pomoc m.in. w Irackim Kurdystanie poprzez stronę Polskiej Misji Medycznej lub przelewem na konto organizacji: 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444.

eprasa.pl 092e2a9ccb

NASZA EUROPA

„The New York Times":

AI WKRACZA DO AMERYKAŃSKIEJ ARMII

Nowy program sił powietrznych pokazuje, jak Pentagon zaczyna wykorzystywać rozwijającą się technologię AI. Skutki będą dalekosiężne – dla taktyki, kultury operacyjnej armii i całego przemysłu obronnego USA.

Eric Lipton

• XQ-58A Valkyrie tuż przed pierwszym lotem treningowym w roli wsparcia w parze z F-15. Baza Eglin koło Fort Walton Beach na Florydzie, 13 lipca

FOT. EDMUND D. FOUNTAIN/THE NEW YORK TIMES

Lata napędzany silnikiem odrzutowym. Może pokonać odległość równą szerokości Chin. Jest trudno wykrywalny dla radarów i może przenosić pociski, które są w stanie uderzyć w cele odległe o wieleset kilometrów. Jednak to, co naprawdę wyróżnia eksperymentalny, bezzałogowy samolot XQ-58A Valkyrie, to fakt, że steruje nim sztuczna inteligencja. Stanowi jak dotąd najbardziej zaawansowany efekt wysiłków amerykańskiej armii, by wykorzystać możliwości nowej technologii, której rozwój z jednej strony oferuje ogromne korzyści, z drugiej – budzi obawy i wywołuje pytanie, ile autonomii można dać śmiercionośnej broni.

Valkyrie to prototyp maszyny nowej generacji, która ma się stać potężnym dodatkiem do floty tradycyjnych samolotów, dając amerykańskim pilotom możliwość wykorzystywania w bitwie całego roju robotów. Jego misją jest wykorzystanie AI do zidentyfikowania i oceny zagrożenia, a następnie – po zatwierdzeniu przez człowieka – wkroczenie do akcji.

W bazie sił powietrznych Eglin na Florydzie mjr Ross Elder, 34-letni pilot z Wirginii Zachodniej, prowadził jako pierwszy ćwiczenia, podczas których latał swoim F-15, a jako skrzydłowego miał właśnie Valkyrie. – To bardzo dziwne uczucie – przyznał. – Lecieć obok czegoś, co podejmuje własne decyzje. Przy czym nie jest to ludzki mózg – dodał.

Pentagon zmienia myślenie

Ten program pokazuje, jak amerykański biznes zbrojeniowy i rywalizacja z innymi krajami zmieniają się dziś dzięki postępowi technologii. Do tego AI pomaga też nowym graczom w branży co najmniej podważyć trwający od dekad prymat garstki ogromnych koncernów zaopatrujących armię w broń.

Możliwość budowania całych flot inteligentnej, ale stosunkowo taniej broni, która mogłaby być używana w dużych ilościach, pozwala dziś urzędnikom Pentagonu inaczej myśleć o walce na froncie. Zmusza jednak także do zadawania bez mała filozoficznych pytań: o rolę, jaką ludzie powinni odgrywać w wojnach toczonych za pomocą oprogramowania stworzonego po to, by zabijać. A to szczególnie trudne dla Ameryki – z jej historią błędów popełnianych przy atakach konwencjonalnych dronów, które nieraz kończyły się ofiarami wśród cywilów.

Do tego Pentagon martwi się, że obecnie obowiązująca taktyka z użyciem samolotów i systemów broni – choć zainwestowano w nią biliony dolarów – nie da rady zdominować pola walki, gdyby doszło do konfliktu z Chinami, zwłaszcza w przypadku chińskiej inwazji na Tajwan.

Powód jest prosty: Chińczycy rozmieścili na swoim wybrzeżu i na sztucznych wyspach na Morzu Południowochińskim ponad tysiąc pocisków przeciwokrętowych i przeciwlotniczych, co mocno ogranicza zdolność Amerykanów do zareagowania na ewentualną inwazję na Tajwan bez ponoszenia ogromnych strat.

Szczególnie że po dekadach budowania coraz mniejszej liczby coraz droższych samolotów bojowych – jeden myśliwiec F-35 kosztuje co najmniej 80 mln dolarów – Amerykanie mają dziś paradoksalnie najmniejszą i najstarszą flotę w historii.

Najdroższe i tak dużo tańsze niż załogowy myśliwiec

Tu wchodzi nowa generacja dronów AI, znanych jako współpracujące samoloty bojowe (CCA). Amerykanie chcą ich zbudować do dwóch tysięcy sztuk, za zaledwie 3 mln dolarów za sztukę, co oznacza ułamek kosztu zaawansowanego myśliwca.

Powstanie wiele wyspecjalizowanych typów dronów. Niektóre będą się koncentrować na wywiadzie albo zaopatrzeniu, inne polecą w gęstych formacjach szturmowych, jeszcze inne będą służyć jako „lojalni skrzydłowi" dla pilotów.

Będą latać przed pilotowanymi samolotami, prowadząc wczesne rozpoznanie. Albo odgrywać ważną rolę w unieszkodliwianiu obrony powietrznej wroga, eliminując wyrzutnie rakietowe, co jest obecnie zbyt ryzykowne dla samolotów pilotowanych przez człowieka.

Najtańsze będą miały tylko pojedynczą misję do zrealizowania. Za to bardziej zaawansowane – jak szacuje komisja w Izbie Reprezentantów – mogą kosztować nawet 25 mln dolarów. Jednak to nadal znacznie mniej niż załogowy myśliwiec.

– Czy to idealne rozwiązanie? Nie ma takich – przekonuje gen. R. Scott Jobe, który do niedawna odpowiadał za ustalanie parametrów programu walki powietrznej podczas prac nad zastosowaniem AI w lotnictwie. – Ale daje liczne kombinacje do stwarzania trudności dla wroga. A jedną z zalet może być właśnie masowa ilość dronów. To pozwoli wprowadzić na pole walki wielką ilość broni, zmniejszając liczbę narażonych ludzi – dodaje.

To początek wielkich zmian w kupowaniu przez siły powietrzne ich najważniejszych narzędzi. Znaczenie koncernów w rodzaju Lockheed Martina czy Boeinga będzie malało, a ważniejsze staną się firmy opracowujące oprogramowanie. Tort ogromnego budżetu Pentagonu na zamówienia zostanie podzielony inaczej.

HRW: Zlecając zabijanie maszynom, przekraczamy etyczną granicę

– Maszyny pobierają duże ilości danych, po czym generują własne wnioski – tłumaczy gen. Dale White, który w Pentagonie odpowiada za nowy program zakupów. Ale właśnie to budzi obawy związane z wykorzystaniem AI w armii – że zwróci się przeciwko twórcom, jak Skynet w „Terminatorze", czy po prostu, że pozwolenie algorytmom na kierowanie użyciem śmiercionośnej siły to zbyt duże ryzyko.

– To oznacza przekroczenie etycznej granicy: pozwolenie komputerom, a nie ludziom, na odbieranie ludzkiego życia – ostrzega Mary Wareham, dyrektor ds. broni w Human Rights Watch, która domaga się wprowadzenia ograniczeń w stosowaniu tzw. śmiercionośnej broni autonomicznej.

Choć zmieniona niedawno polityka Pentagonu dotycząca wykorzystania AI w systemach uzbrojenia pozwala na autonomiczne użycie śmiercionośnej siły, nadal każdy konkretny plan zbudowania czy rozmieszczenia takiej broni musi być sprawdzony i zatwierdzony przez specjalną komisję wojskową.

Rzeczniczka Pentagonu, mówiąc o śmiercionośnych atakach bez konieczności zatwierdzania ich przez człowieka, utrzymuje, że to na razie hipotetyczna kwestia. Z jej oświadczenia wynika, że każdy autonomiczny dron musi być „zaprojektowany tak, aby – w sytuacji użycia siły – umożliwić dowódcom i operatorom wprowadzenie stosownego poziomu oceny".

Wszyscy rozumieją, że maszyny nie są inteligentne w ten sam sposób, co ludzie. AI może popełniać błędy – jak dzieje się to choćby w przypadku samochodów autonomicznych – a maszyny nie mogą rozwijać w sobie kompasu moralnego. Jednak Pentagon zapewnia, że bierze to wszystko pod uwagę.

– To ogromna odpowiedzialność – przyznaje płk Tucker Hamilton, który odpowiada za testowanie i operacje AI w siłach powietrznych i nadzoruje załogi lotów testowych w bazie Eglin. Dodaje jednak, że „dystopijne opowieści i popkultura stworzyły wokół sztucznej inteligencji rodzaj szaleństwa". – Wystarczy, że dotrzemy tam metodycznie, z rozmysłem, małymi kroczkami – tłumaczy.

6 mld dolarów czeka

W długim, wyłożonym kosztownym drewnem korytarzu w Pentagonie, gdzie mają swoje biura najważniejsi dowódcy sił powietrznych, wiszą portrety asów i dowódców z ostatniego stulecia i zdjęcia legendarnych maszyn, które zapewniały Ameryce globalną dominację w powietrzu od czasów II wojny światowej.

Wyłania się z tej galerii motyw: kluczowa rola pilota. W nowej wizji sił powietrznych ludzie będą nadal odgrywać kluczową rolę. Jednak będą współpracować z programistami i specami od uczenia się maszyn, którzy będą nieustannie udoskonalać algorytmy sterujące działaniem robotów.

Do tego trzeba będzie zmienić niemal każdy aspekt działania sił powietrznych. To zadanie, które tego lata zostało powierzone generałom White'owi i Jobe'owi.

Pentagon już od kilku lat zleca swoim działom badawczym budowę prototypów takich jak Valkyrie. Jednak dziś eksperyment wszedł w nową fazę – jeśli Kongres się zgodzi, na zakup takich maszyn pójdzie z kieszeni podatników 5,8 mld dolarów w ciągu najbliższych pięciu lat.

Nowi gracze w branży

Tyle że – w przeciwieństwie do F-35, które są dostarczane jako pakiet przez koncern Lockheed Martin i jego podwykonawców – tym razem siły powietrzne zamierzają osobno kupić maszynę i oprogramowanie.

Kratos, konstruktor Walkirii, chce złożyć oferty na kolejne kontrakty, podobnie jak General Atomics, która od lat buduje drony szturmowe wykorzystywane w Iraku i Afganistanie, czy Boeing, który ma własny eksperymentalny prototyp autonomicznego myśliwca, MQ-28 Ghost Bat.

Do tego firmy tworzące oprogramowanie – czyli start-upy technologiczne, jak Shield AI i Anduril, finansowane przez setki mln dolarów kapitału wysokiego ryzyka – walczą już, by sprzedać Pentagonowi własne algorytmy, które będą obsługiwać decyzje dotyczące misji. Jednak lista przeszkód, jakie muszą pokonać, jest długa.

Sam Pentagon ma mizerne osiągnięcia, jeśli chodzi o budowanie zaawansowanego oprogramo-

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

NASZA EUROPA

wania i próby odpalenia własnego programu AI. Latami powstawały różne projekty, zamykane później z miernym rezultatem. Teraz Pentagon zamierza skończyć z kontrolą głównych kontrahentów nad przepływem wojskowych wydatków. Jak sugeruje struktura programu Valkyrie, wojsko chce wykorzystać wiedzę nowych firm z branży AI, by dostarczyć kluczowe elementy, a przy okazji wprowadzić większą konkurencję, przedsiębiorczość, szybkość i kreatywność do systemu, który stał się ociężały i niechętny ryzyku.

Gen. Jobe po raz pierwszy zasłynął 20 lat temu, pomagając opracować technikę bombardowania głęboko zakopanych bunkrów w Iraku, gdzie ukryte były elementy kluczowe dla wojskowej komunikacji. Dziś poproszono go, by podejmował najważniejsze decyzje w programie tworzenia dronów z AI. Podkreśla, że w mocy jest założenie, że ostatecznie decydować będą ludzie. – Nie pozwolę przecież żadnemu robotowi zacząć strzelać – przekonywał Jobe na niedawnym spotkaniu z dziennikarzami.

Dodał, że programiści budują odpowiednią zaporę wokół niektórych funkcji AI w dronach, by ograniczyć liczbę rzeczy, jakie urządzenia mogłyby zrobić samodzielnie. – To jak rozszerzenie komory bombowej w F-22 czy innej maszynie – tłumaczył.

Niepokojące oznaki „nagłych zachowań”

W 1947 r. Chuck Yeager został pierwszym człowiekiem, który przekroczył prędkość dźwięku. 76 lat później inny pilot z tej samej bazy poleciał obok drona bojowego napędzanego AI.

Wysoki, z lekkim akcentem z Appalachów, major Elder w lipcu latał swoim F-15 Strike Eagle trzysta metrów od eksperymentalnego XQ-58A Valkyrie – uważnie, niczym rodzic biegnący obok dziecka uczącego się jeździć na rowerze, obserwując, jak dron leci, samodzielnie osiągając określone prędkości i wysokości.

To jednak tylko wstęp do prawdziwego testu: wkrótce dron zostanie poproszony, by ścigał, a potem zabił symulowany wrogi cel nad Zatoką Meksykańską, przy czym będzie musiał opracować własną strategię całej misji. Treningowa bitwa odbędzie się ze specjalnie skonstruowanym wrogiem, chociaż AI na pokładzie Valkyrie będzie „wierzyła”, że jest prawdziwy.

W Eglin, jednej z największych baz sił powietrznych na świecie, zebrano niezwykły zespół oficerów i cywilów. Wśród nich jest kpt. Rachel Price, która kończy właśnie doktorat w Massachusetts Institute of Technology na temat głębokiego uczenia maszynowego.

Jedną z rzeczy, na które zwraca uwagę Elder, są rozbieżności między symulacjami przeprowadzonymi przez komputer przed lotem a działaniem drona, gdy jest już w powietrzu. Czy nawet bardziej niepokojące oznaki „nagłych zachowań”, kiedy robot zaczyna działać w sposób niestandardowy.

Podczas lotów testowych Elder, podobnie jak szef zespołu w wieży kontrolnej, mogą w każdej chwili wyłączyć AI, jednocześnie utrzymując działanie autopilota Valkyrie. To samo może zrobić kpt. Abraham Eaton, inżynier oceniający wydajność drona. – Jak oceniasz urządzenie napędzane AI? – pyta retorycznie. – W skali ludzkiej? Raczej nie.

Prawdziwi wrogowie będą najpewniej próbowali oszukać sztuczną inteligencję, tworząc np. wirtualny kamuflaż dla swoich samolotów lub celów, by robot uwierzył, że widzi coś innego. Pierwotna wersja oprogramowania sztucznej inteligencji jest bardziej „deterministyczna”, co oznacza, że postępuje w dużej mierze zgodnie z regułami, według których została wytrenowana, na podstawie przeprowadzonych miliony razy symulacji.

Jednak ostatecznie oprogramowanie AI będzie musiało nauczyć się postrzegać otaczający je świat – rozumieć różne sztuczki i radzić sobie z nimi, choć będzie to wymagało gromadzenia ogromnej ilości danych, by móc odpowiednio wyszkolić algorytmy. A samo oprogramowanie będzie musiało być silnie chronione, żeby wróg nie był w stanie go zhakować.

Piloci nauczą się ufać AI? Od tego zależy ich życie

Jak przekonują Elder i inni piloci, najtrudniejsza jest budowa zaufania, które jest kluczowym elementem więzi między pilotem a skrzydłowym – w końcu ich życie zależy od siebie nawzajem i od tego, jak każdy z nich zareaguje. Budzi to niepokój w Pentagonie.

Na wczesnym etapie testowym Valkyrie niespodziewanie wykonała serię obrotów. Początkowo Elder myślał, że coś z nią nie tak, tymczasem oprogramowanie ustaliło, że czujniki podczerwieni drona uzyskają wyraźniejszy obraz, jeśli będzie wykonywał salta. Dla człowieka taki manewr byłby jak wywracający wnętrzności rollercoaster, ale dron dzięki temu faktycznie osiągnął szybko lepszy wynik.

Piloci od dawna muszą się uczyć ufać automatom – jak choćby systemom unikania kolizji, które przejmują kontrolę, gdy myśliwiec zmierza w kierunku ziemi albo grozi mu zderzenie z innym samolotem – to dwie najczęstsze przyczyny śmierci pilotów.

Początkowo piloci niechętnie latali z włączonym systemem – nie pasowało im, że komputer może przejąć kontrolę nad samolotem. Jednak kiedy okazało się, że system rzeczywiście ratuje życie, został powszechnie przyjęty.

Dlatego ruszył też drugi program testowy – Project Venom, w ramach którego piloci polecą myśliwcami F-16 wyposażonymi w oprogramowanie AI, które będzie podejmować kluczowe decyzje dotyczące misji. Celem jest stworzenie sił powietrznych bardziej nieprzewidywalnych i śmiercionośnych, by skuteczniej odstraszać niebezpieczne posunięcia Chin i by w walce ginęło mniej ludzi – przynajmniej Amerykanów.

Urzędnicy szacują, że opracowanie sprawnego systemu walki w powietrzu opartego na sztucznej inteligencji może zająć pięć-dziesięć lat. Dowódcy naciskają, by to przyspieszyć. ●

tłum. Marta Urzędowska

© 2023 The New York Times Company

Arktyka

Zimny teatr gorącej wojny

Obszar za kołem podbiegunowym zamienia się w miejsce kolejnego etapu globalnej rywalizacji. Ale do eksploatacji złóż, które skrywa Daleka Północ, daleko.

Vincent Jolly

LE FIGARO

W Arktyce robi się gorąco, dosłownie i w przenośni. Wraz ze wzrostem tempa zmian klimatu szybciej, niż oczekiwano, topnieje grenlandzka czapa polarna i zmniejszają się grubość i zasięg pokrywy lodowej. Z drugiej strony, geopolityczne ambicje i ekonomiczne apetyty wielkich mocarstw mogą zamienić ten rozległy region w nowy główny teatr międzynarodowych sporów.

Te dwa zjawiska wiążą się nierozerwalnie. Od paru lat ten nadal słabo rozpoznany obszar pojawia się nieustannie w światowych wiadomościach – oderwanie się kolejnej góry lodowej, rekordowo wysokie temperatury, czyjeś roszczenia terytorialne, zdjęcie niedźwiedzia polarnego dryfującego na lodowej krze. Z tej medialnej perspektywy sytuacja wydaje się katastrofalna, wręcz apokaliptyczna.

Dzwonię do Heather Exner-Pirot z kanadyjskiego Instytutu Macdonalda-Lauriera. W jej głosie słychać znużenie zaprawione nutą sarkazmu. – Pisze pan o Arktyce? O „nowej zimnej wojnie” i „wyścigu o zasoby”? Dobrze się składa, bo napisałam mały podręcznik dla dziennikarzy, którzy przymierzają się do tego tematu.

W swej ironicznej książeczce badaczka daje autorom wszystkie wskazówki potrzebne do napisania „idealnego artykułu, którego oczekuje żyjący na średniej szerokości geograficznej mieszczuch”.

Exner-Pirot wymienia cały szereg komunałów stosowanych w pisaniu o regionie: że ociepla się „znacznie szybciej niż którykolwiek inny”, że będzie teatrem kolejnego globalnego konfliktu, może nawet nuklearnego, i że wydobycie z tamtejszych złóż kolejnych 90 miliardów baryłek ropy jedynie nasili globalne ocieplenie. Tyle że nie zapominajmy, że bywa tam nadal bardzo zimno.

Faktycznie, to słychać często: topnienie lodów sprawi, że będzie ona bardziej dostępna, a więc Zachód musi się przygotować do konfrontacji z Rosją i Chinami w nowym wyścigu po zasoby naturalne. – To dziś podstawowy strach na wróble: przyjdą źli ludzie i ukradną „nasze” zasoby – mówi Exner-Pirot. – Tylko że już teraz Rosja posiada w Arktyce połowę terytorium, dwie trzecie jego ludności i trzy czwarte wytwarzanego tam PKB.

Dla laików obszar wokół bieguna północnego to rozległa, jednostajnie biała przestrzeń, po której wędruje Święty Mikołaj w otoczeniu Inuitów polujących na foki. W odróżnieniu od Antarktydy, która jest kontynentem pozbawionym stałej populacji, Daleka Północ podzielona jest formalnie między osiem krajów: Kanadę, Finlandię, Islandię, Norwegię, Rosję, Szwecję, Stany Zjednoczone (z Alaską) i Danię (z Grenlandią). Od 1996 r. te osiem państw tworzy Radę Arktyczną, ale tylko sześć z nich ma dostęp do Oceanu Arktycznego, bo Szwecję i Finlandię oddziela od niego terytorium Rosji i Norwegii. Rada, uważana często za instytucję pozbawioną faktycznej władzy decyzyjnej, zdołała mimo to wynegocjować wiele umów szanowanych przez jej członków i kraje sąsiadujące z regionem, które mają status obserwatorów.

Czy Arktyka, jak Antarktyda, jest więc oazą pokoju i domeną dyplomacji? Jednak nie. W 2007 r. Rosjanie w symbolicznym geście umieścili swoją flagę na dnie morskim pod biegunem północnym, w 2018 r. chiński rząd opublikował proklamację opisującą ze szczegółami jego ambicje dotyczące nowego szlaku handlowego wiodącego przez lodowate wody Północy, w 2019 r. Donald Trump ogłosił, że chce kupić Grenlandię, a Norwegia ogłosiła niedawno, że pragnie kontrolować gigantyczny obszar morski, by zapewnić sobie dostęp do podwodnych złóż minerałów, na które według Oslo mają apetyt inni.

„Gdyby wroga armia najechała północną Kanadę, moją pierwszą decyzją byłoby ruszyć jej na pomoc” – ironizował kiedyś wysoki rangą kanadyjski oficer

– Nie rozumiem, jak ktoś mógłby „ukraść” cokolwiek z Arktyki – dziwi się Exner-Pirot. Poza atakami na statki towarowe, co jednak byłoby aktem wojny, budowa kopalni wydobywającej surowce trwa średnio 16 lat. Nie jest to coś, co można zagarnąć ot tak, z dnia na dzień. Innym problemem są koszty eksploatacji arktycznych zasobów. Pomyślmy o zdolnościach inżynieryjnych i nakładach finansowych potrzebnych do budowy i utrzymania kompleksu Jamal LNG, wysuniętej najdalej na północ i skutej lodem przez ponad osiem miesięcy w roku fabryki skroplonego gazu ziemnego. Plany tego iście faraońskiego przedsięwzięcia powstawały od 2000 r., budowa zaczęła się dopiero w 2013 r., a pierwsze partie gazu wyekspediowano w 2017. Koszt to ponad 24 miliardy dolarów. Inwestycja nie byłaby możliwa bez infrastruktury pomocniczej, m.in. miasta i portu Sabetta na Półwyspie Jamalskim.

W 2019 r. zespół francuskich badaczy zwrócił uwagę na rozziew między przedsiębiorczym entuzjazmem, jaki budzi Arktyka, a rzeczywistością. „Coraz częściej mowa o ekonomicznej szansie, jaką oferuje Arktyka, ale to na razie myślenie życzeniowe” – twierdzili naukowcy.

Dla firm inwestowanie w poszukiwanie i eksploatację bogactw Arktyki oznacza wysokie koszty – czyli ogromne potencjalne zyski, ale równie duże ryzyko. Pod koniec pierwszej dekady XXI w. Shell zainwestował ponad 7 miliardów dolarów w badania obszarów mórz Beauforta i Czukockiego u wybrzeży Alaski. Jednak w 2015 r. spółka zrezygnowała z inwestycji przez kolosalne ryzyko związane z działalnością na wodach, po których pływają monstrualne góry lodowe. Jeśli chodzi o zasoby rybne, w 2021 r. weszło w życie międzynarodowe porozumienie regulujące połowy na Oceanie Arktycznym – dokument ratyfikowany przez dziesięć stron, w tym UE i kraje członkowskie Rady Arktycznej, a także Japonię i Koreę Południową.

Co więc z ryzykiem, że region polarny stanie się w przyszłości nowym polem wielkiego globalnego konfliktu? Zamiast mówić o „nowej zimnej wojnie”, trafniej byłoby nazwać ją „odgrzewaną zimną wojną”. Daleka Północ jest miejscem kulminacji napięć między mocarstwami już od połowy XX w. Wtedy właśnie powstały główne bazy wojskowe rozsiane po całej Arktyce, podobnie jak sieci wczesnego ostrzegania.

Pomysł wojny arktycznej, w sensie faktycznej inwazji, eksperci traktują jak żart. „Gdyby wroga armia najechała północną Kanadę, moją pierwszą decyzją byłoby ruszyć jej na pomoc” – ironizował kiedyś wysoki rangą kanadyjski oficer.

Ostatnim konfliktem zbrojnym na wielką skalę na tak mroźnym obszarze była tragiczna inwazja Rosji na Finlandię w latach 1939-40. Dodajmy, że wojna w Ukrainie i jej skutek, jakim było przystąpienie do NATO Szwecji i Finlandii, zwiększyła napięcie także w regionie Arktyki, ale z drugiej strony Rosja boi się obecnie głównie o swój dostęp do Bałtyku, odcinany przez Sojusz Atlantycki.

– W Arktyce rosną napięcia – podsumowuje Heather Exner-Pirot – dlatego że USA z zasady chcą dominować wszędzie, a Rosją rządzi paranoik. Do tego dochodzą ambicje Chin, obecnie prawdziwego przeciwnika USA, którym folgowanie nie leży w doraźnym interesie Zachodu.

Obszar podbiegunowy jest dziś wielką szachownicą, na której grają duchy starych światowych konfliktów. Kilka wieków po przetarciu szlaków przez odkrywców takich jak Amundsen, Nansen i Peary, powinien pozostać Daleką Północą osłabioną przez globalne ocieplenie, którą wciąż można zdobywać. Ale przede wszystkim chronić. ● tłum. Sergiusz Kowalski

eprasa.pl 092e2a9ccb

CHŁOPAKI, WAS TEŻ PATR

FOT. AGATA GRZYBOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

W tym, co wyczynia z nami PiS, nie chodzi już o prawa kobiet, tylko o życie. Mamy do czynienia z kosmicznym regresem.

Z ZAŁOŻYCIELKAMI KONGRESU KOBIET **HENRYKĄ BOCHNIARZ*** I **MAGDALENĄ ŚRODĄ**** ROZMAWIA **ALEKSANDRA PAWLICKA**

Przygotowując książkę po pierwszym Kongresie Kobiet „Czas na kobiety", tryskałyście energią. Jak jest w przededniu XV edycji?
MAGDALENA ŚRODA: Wtedy był entuzjazm, wielkie przeżycie i wielka nadzieja, że skoro zjechało nas tyle i jesteśmy tak aktywne, zaangażowane, wszystko poleci do przodu. Pierwszy Kongres w 2009 roku robiłyśmy trochę z gniewu, ale też bez wielkich oczekiwań, tymczasem okazało się, że jest z nami cała Polska. Gdy dziś patrzymy z perspektywy 15 lat, to i w kwestii praw reprodukcyjnych i społecznej roli kobiet cofnęłyśmy się o jakieś pół wieku.
HENRYKA BOCHNIARZ: To można dokładnie policzyć. Według World Economic Forum, aby parytet stał się rzeczywistym gwarantem równości, 15 lat temu dla Polski potrzeba było 107 lat. Dziś są 132 lata. Regres nie dotyczy tylko naszego kraju, ale dla nas najboleśniejszy jest ten polski wskaźnik.

Czy jest to związane z obecną władzą w Polsce?
H.B.: Przyczyny są bardziej złożone. Z jednej strony to efekt pandemii, która zagoniła kobiety z powrotem do kuchni, do dzieci i na dalszy plan. Z drugiej MeToo. Wydawało się, że świat męskiej hegemonii zachwiał się w posadach, ale ja już wtedy byłam przekonana, że czeka nas bolesne rozczarowanie. Chodzi o zbyt duże pieniądze, wpływy i władzę, żeby mężczyźni powiedzieli: „No trudno, poddajemy się". Było więc tylko kwestią czasu, kiedy nastąpi kontrofensywa, i okazało się, że pandemia idealnie wpisała się w męski scenariusz, któremu poddały się kobiety. Uznały, że skoro sytuacja jest tak wyjątkowa, nie wiadomo, co nas czeka, trzeba zająć się lekcjami, gotowaniem obiadów, ogarnianiem rodziny, pomocą, a jeśli w domu są dwa komputery, to jeden, wiadomo, musi być dla męża, drugi dla dziecka, a ona z doskoku, jak się uda. Tak działo się na całym świecie.
M.Ś.: Choć u nas ze względu na sytuację polityczną to podwójnie mroczne zjawisko.
H.B.: To oczywiście prawda, jednak pytanie numer jeden brzmi dziś: jak odrobić postpandemiczną zapaść? Czy jesteśmy przygotowane, aby tę walkę toczyć dalej i, co ważniejsze, aby ją wygrać? Bo jest to ewidentnie walka o władzę i pieniądze. Wiele środowisk kobiecych zadaje sobie dziś pytanie, czy przeczekać ten moment, czy wprost przeciwnie, mądrzejsze o lekcje MeToo i pandemii, rozpocząć jak najszybciej bitwę. Obserwuję procesy dotyczące MeToo (z Harveya Weinsteina na czele) i widzę, jak zmienia się atmosfera. Na początku była mowa, że trzeba powyrzucać wszystkich ludzi z nim powiązanych, a dziś okazuje się, że pieniądze zwyciężają.

W walce o prawa kobiet coś się zmieniło po MeToo?
M.Ś.: Agnieszka Graff i Ela Korolczuk w książce „Kto się boi gender? Prawica, populizm i feministyczne strategie oporu" opisują to wielkie, światowe zamknięcie i feministyczny populizm jako kontrakcję. Ja jednak będę się upierać, że nasza polska sytuacja jest wyjątkowo paskudna. 34 lata po przewrocie demokratycznym Polki są pozbawione prawa decydowania o swoim życiu. Narzekałyśmy na wszystkie po kolei rządy, waliłyśmy w Tuska równo...
H.B.: ...bo mu się należało, gdy powołał Elżbietę Radziszewską na pełnomocniczkę ds. równego traktowania...
M.Ś.: ...najbardziej kościółkową, ale gorzej, powołał Jarosława Gowina, który blokował konwencję stambulską, na ministra sprawiedliwości. Tusk rzeczywiście dokonywał dziwacznych posunięć, ale przychodził na rozmowy z Kongresem Kobiet i przynajmniej słuchał.

Na XIV Kongresie Kobiet wręczyłyście mu główną nagrodę. Wiele uczestniczek i środowisk feministycznych to oburzyło.
M.Ś.: Poleciała fala krytyki, a przecież na sali był mikrofon i każda uczestniczka kongresu mogła zabrać głos. Donald też był uprzedzony, że mogą być gwizdy, a był pełen aplauz. Rozmawiałam wcześniej z Agnieszką Graff, bo ona zgłaszała pretensje, ale ostatecznie poparła tę decyzję, która, przyznaję, była naszym z Niką wyborem.
H.B.: Trzeba realnie oceniać sytuację. Jesteśmy przed decydującym rozdaniem i albo zmiany w polityce pchną sprawy kobiet do przodu, albo pogrążymy ją na dziesięciolecia. A prawdą jest, że Tusk jest jednym z nielicznych liderów politycznych rozumiejącym sprawy kobiet. Nie mówię Platforma, bo tam są różne spojrzenia na tę kwestię, ale decydujący głos należy do Tuska.

Krytyka dotycząca przyznania nagrody Tuskowi wynikała stąd, że kobiety, próbując załatwić swoje sprawy, szukają adwokata – faceta.
H.B.: A mamy innych? Mamy jakieś kobiety w tym rozdaniu politycznym, które mają decydujący wpływ na partię i mogłyby być naszymi adwokatkami? Ja wiem jedno: Tusk autentycznie myśli o roli i miejscu kobiet w życiu politycznym i społecznym. Trzeba więc go wspierać.
M.Ś.: Tusk nie jest pierwszym nagrodzonym przez Kongres mężczyzną. To samo można by powiedzieć o uhonorowaniu Jacka Jaśkowiaka czy Roberta Biedronia.

Doceniamy mężczyzn, którzy mają poglądy równościowe, feministyczne. Choć i zawodzimy się na nich. Biedroń okazał się narcyzem niezdolnym do dotrzymywania obietnic i wybrał karierę w Parlamencie Europejskim zamiast wzmocnienia własnej partii, w którą zaangażowanych było mnóstwo kobiet. Jaśkowiak – na dłuższą metę okazał się seksistą. Szydło wyszło z worka, gdy konkurował z Kidawą-Błońską. Faceci deklarują różne rzeczy („Tak! Jesteśmy za kobietami!"), ale gdy przyjdzie co do czego, nie posuną się ani o milimetr. A wracając do list wyborczych: najwięcej kobiet jest w KO, więc nagroda dla Tuska to był także ruch polityczny. Bo dziś w polityce najważniejszą sprawą jest odsunięcie PiS od władzy. Tusk i jego koalicja mają na to największe szanse.
H.B.: Mówmy o kobietach, które mają głos, są aktywne w walce o sprawę kobiet, a nie wypełniających kwoty na listach i wykonujących polecenia facetów.

Tusk, opuszczając w 2014 roku polską politykę, przekazał partię Ewie Kopacz, głównie dlatego, że nie postrzegał jej jako zagrożenie i liczył, że zachowa Platformę na powrót wodza.
H.B.: Pewnie tak było, ale parę lat w Brukseli zrobiło jednak swoje. On się zmienił, a polityka naprawdę potrzebuje dziś nowego otwarcia, odważnego przewietrzenia zatęchłej atmosfery, zastrzyku nowej, kobiecej krwi. Od lat powtarzamy: czas na zmianę, czas na zmianę. Otóż tego czasu już nie ma. To się po prostu musi stać.

*Henryka Bochniarz

• ekonomistka, polityczka, kandydatka na urząd prezydenta RP w wyborach 2005 r., ministra przemysłu i handlu w 1991 r., twórczyni i wieloletnia prezeska Konfederacji Pracodawców Prywatnych Lewiatan, była wiceprezeska zarządu Boeing International na Europę Środkowo-Wschodnią, twórczyni i fundatorka Nagrody Literackiej „Nike", twórczyni Kongresu Kobiet.

**Magdalena Środa

• filozofka, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 2004-05 pełnomocniczka rządu do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn, autorka licznych książek z zakresu etyki, twórczyni Kongresu Kobiet, jedna z matek polskiego feminizmu.

eprasa.pl 092e2a9ccb

IARCHALIZM ROBI W CH...

M.Ś.: Od lat powtarzam – wszystkie polityczne zmiany już były, pora na najważniejszą – zmianę płci. Tymczasem kobiety w partiach traktowane są dekoratywnie i gorzej – niektórym rola paprotek lub aktywistek patriarchatu wystarcza, ba! czują się ważne i spełnione, gdy służą interesom mężczyzn, dlatego hasło Kongresu „Głosujemy na kobiety!" szybko przekształciło się w „Głosujemy na feministki", czyli na kobiety świadome swoich praw. Po to też powstała Letnia Akademia Kongresu Kobiet, która wykształciła już dziesiątki kobiet dziś aktywnych w Sejmie, w samorządach, na ulicy (Marta Lempart jest z LAKK), w pewnym sensie po to Nika powołała swoją Akademię Liderek, o co mam trochę do niej żalu, bo angażuje się gdzie indziej, ale taka jest Nika, ciągle musi coś rodzić, a to Konfederację Pracodawców, a to Kongres, a to Akademię Liderek.
H.B.: To jest właśnie nauka, którą wyciągnęłam z Kongresu – możemy sobie gadać i demonstrować, ale jak nie będzie kobiet, które powiedzą: „Ja właśnie chcę być prezeską, premierką, liderką i nie ma żadnych powodów, żebym była traktowana jak ktoś gorszy", to nie ruszymy z miejsca. Kobiety są merytorycznie świetne, absolutnie do tego przygotowane, tylko z wielu względów nie chcą ponosić ryzyka i odpowiedzialności. Wolą ustawić się jako numer dwa i niech ten facet decyduje. Będę na niego pracować, a on mi da dobrą premię czy miejsce na liście i wszystko będzie fajnie. Jak jesteś numerem jeden, to owszem – musisz brać na klatę wszystko, ale ty decydujesz.

Ciągle powtarzamy, że kobiet jest więcej, że są lepiej wykształcone...
M.Ś.: ...są bardziej nastawione na współpracę, bardziej uważne, bardziej odpowiedzialne, mniej narcystyczne...

...ale gdy po studiach zaczynają pracę zawodową, to znikają.
H.B.: Dlatego właśnie robię Akademię Liderek. Uczę dziewczyny, że nie można się bać! Trzeba dokładnie wiedzieć, czego się chce, a następnie konsekwentnie do tego dążyć. Z Kongresu wiem, że możemy mieć 120 postulatów, jeśli jednak nie będzie kobiet, które powiedzą: „Idę to zrobić", nie będzie zmiany. Co stało się z naszą ulubioną Jacindą Ardern, premierką Nowej Zelandii? Powiedziała: nie daję rady, nie jestem w stanie wytrzymać tej odpowiedzialności, tego stresu, mam dziecko, rodzinę, wycofuję się. Kobiety wciąż nie nauczyły się radzić sobie z masą negatywnej energii w świecie, który jest wrogi i tylko patrzy, gdzie ci dowalić. Dopóki jednak nie odważymy się wskoczyć w ten nurt, nie wygramy, nie dokonamy zmiany.

Czy to oznacza, że trzeba przyjąć męskie reguły gry?
H.B.: Właśnie z tego punktu widzenia dymisja nowozelandzkiej premierki mnie zmartwiła. Skoro ona nie daje rady, to kto da? U nas jest dodatkowo Kościół, opresyjny, mizoginistyczny, wpływowy. Dlatego postanowiłam uczyć dziewczyny: nie bójcie się! Możecie przegrać, faceci też przegrywają. Kaczyński przegrał osiem razy, teraz rządzi nami wszystkimi i nikt już nie mówi o tym, jak przerżnął, tylko o tym, jakim jest geniuszem strategicznym, co z pewnością nie jest prawdą. Kobiety nie są w stanie pokonać tej bariery, a muszą, bo nie ma żadnych powodów, żeby polityka była w ten sposób poukładana, żeby biznes był w ten sposób poukładany. Nasze zadanie na dziś to wejść do polityki, do zarządów i powiedzieć: „Nie musi tak być. Nie musimy się wszyscy zabijać, powielać tych wzorców, które przez całe wieki faceci wprowadzali i narzucili wszystkim innym. Oni tym żyją: walką, rywalizacją. My mamy dzieci, kuchnię, szkołę, starych rodziców, nie skupiamy się na tym, co kto powiedział, i nie deliberujemy, kogo i jak wyeliminować, tylko jak załatwić problem. Działamy. Myślimy inaczej". Dlatego właśnie kobiety są potrzebne w polityce, w biznesie, na szczeblach zarządczych, żeby powiedzieć wreszcie: nie. Nie musi być jak zawsze. Wielu rzeczy możemy się od siebie nauczyć: my od mężczyzn, oni od nas.

A jednak kobiety są na biegu wstecznym.
H.B.: Na etapie wycofywania. Miałam nadzieję, że pandemia nam pomoże. Nabierzemy jako społeczeństwo trochę pokory, dystansu, tymczasem pandemia zdynamizowała to, co mieliśmy wcześniej: tę gonitwę za więcej, w tym więcej władzy. Agresja Rosji na Ukrainę to myślenie przypieczętowała. Męski punkt widzenia znów okazał się ważniejszy.
M.Ś.: Na XIV Kongresie były spotkania z Ukrainkami i mówiąc kolokwialnie, nasz główny postulat brzmiał: „Dziewczyny, nie dajcie się zrobić w konia. Nie czekajcie, aż Ukraina znowu będzie wolna, i jak powiedzą wam tak jak nam, że są ważniejsze sprawy, że najpierw niepodległość, a potem kobiety, że najpierw demokracja, a potem prawa kobiet, to nie wierzcie!". To „potem" staje się wiecznym nigdy. Robimy więc z Ukrainkami programy, żeby już teraz, gdy myśli się o kraju po wojnie, one brały aktywny udział w budowaniu nowego państwa. Bo my rzeczywiście dałyśmy się zrobić w konia i przy Okrągłym Stole, i przy całej transformacji.

Dekomunizacja okazała się deemancypacją – mówiłaś na pierwszym Kongresie.
M.Ś.: Tak, to moje określenie i wciąż aktualne, bo z jednej strony wzrasta świadomość konieczności zdefiniowania na nowo układu płci, a z drugiej w brutalny sposób PiS, Konfederacja i wszystkie mizoginiczne ruchy typu Ordo Iuris wyrzucają prawa kobiet ze sfery praw człowieka. I to jakimi sposobami?! Wulgarnie traktując kobiety jako „boskie" naczynia do prokreacji i służenia. Natomiast my jako feministki nie jesteśmy dość radykalne. A radykalizm bardzo by się przydał, by poszerzyć nieco horyzont naszych możliwości. My, w Kongresie, nie musimy być radykalne, ale ważne, żeby istniał jakiś feministyczny radykalizm konkurencyjny wobec radykalizmu PiS, Przyłębskiej czy panów z Ordo Iuris. To dobrze robi na wyobraźnię, bo ich wyobraźnia w zaszczuwaniu kobiet nie ma granic.

Potrzeba rewolucji?
M.Ś.: Na jednym z Kongresów, jeszcze w Pałacu Kultury, zaprosiłyśmy Chór Kobiet. To grupa, która śpiewa ostre kawałki: o ciele, aborcji, bardzo antykościelne. Pamiętam, że miałyśmy długą dyskusję, czy dziewczyny powinny wystąpić i czy nie zrażą kobiet ze wsi i małych miasteczek, których sporo było na sali.
H.B.: I okazało się, że największy entuzjazm był właśnie wśród nich.
M.Ś.: Potem podobny spektakl miałyśmy na kongresie w Poznaniu, gdzie występował Chór Czarownic, dziewczyn śpiewających o obrzydlistwie pracy domowej, ubranych w dość obleśne, PRL-owskie dessous. Lekcja z tego jest taka, że to, co my uważamy za zbyt radykalne i bardzo ostrożnie próbujemy wprowadzać, kobiety przyjmują z pełną gotowością. Żadne pomalutku i niezbyt ostro – demonstracje po wyroku Trybunału Konstytucyjnego najlepiej to potwierdziły.

Czy działania Strajku Kobiet są rywalizacyjne w stosunku do Kongresu?
M.Ś.: Nie. W Strajku są kobiety z Kongresu. Marta Lempart jest absolwentką Akademii Kongresu Kobiet. Tam zaczęła swoją działalność.
H.B.: Nigdy nie postrzegałyśmy Strajku Kobiet jako konkurencji. To zupełnie inna odsłona tej samej, wspólnej walki. Tego właśnie nauczył nas Kongres, że możemy mieć te różne wydania. I nawet jeśli w czymś konkurujemy, to na końcu chodzi o to, aby każda zrobiła to, w czym jest najlepsza. Choć mam takie poczucie, że w Kongresie kobiety z biznesu są postrzegane przez feministki jako piąta kolumna.

Uwłaszczyły się na sprawie kobiet?
H.B.: Dokładnie.

To przekaz tekstu Ewy Charkiewicz z pierwszego Kongresu Kobiet: „O neoliberalno-konserwatywnym zwrocie feminizmu w Polsce. Pewne panie wiedzą lepiej, co jest dobre dla wszystkich kobiet". Najkrócej mówiąc – Bochniarz ze Środą postanowiły zorganizować kobiecą imprezę, żeby lansować się na „sprawie kobiet" i polski feminizm miał neoliberalną twarz biznesu.
H.B.: Jestem pierwszą, która od początku walczy o kwoty i parytety w zarządach i radach nadzorczych, a mimo to do dziś źle postrzeganą przez feministki. Postrzegają mnie jako tę, która staje im na drodze. Osobiście nie potrzebuję kwot i parytetów do tego, co robię w biznesie, ale wiem, że jeśli chcemy realizować jakiekolwiek projekty społeczno-polityczne i nie mamy dostępu do decyzji i pieniędzy, możemy wychodzić na ulicę bez końca i krzyczeć, że prawa reprodukcyjne są najważniejsze, a i tak zostaniemy głosem wołającego na puszczy. W USA kobiety bardzo szybko to zrozumiały. Tak powstała Emily's List.

> Dałyśmy się zrobić w konia i przy Okrągłym Stole, i przy całej transformacji

To skrót od Early Money Is Like Yeast, co oznacza, że szybko zebrane pieniądze pączkują jak drożdże. W 1985 roku spotkało się 25 wpływowych kobiet w domu Ellen Malcolm i postanowiło zbierać fundusze na kampanię wyborczą demokratek walczących o prawo do aborcji. Pierwszą kandydatkę wprowadziły do Senatu rok później. Wspierały Hillary Clinton w wyborach prezydenckich.
H.B.: Uważam, że Kongres Kobiet przetrwał dzięki temu, że potrafiłyśmy organizować fundusze. Państwo przecież ich nie dawało.
M.Ś.: No nie. Nie tylko kobiety biznesu dawały. Miałyśmy wsparcie prezydentki Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz, dzięki czemu pierwsze Kongresy mogły się odbyć w Pałacu Kultury. Był zastrzyk z ministerstwa... Ty jesteś oczywiście wyjątkiem w świecie biznesu, ale mówiąc szczerze, twoje zaangażowanie bywa też szkodliwe, bo Kongres kojarzony jest z Niką Bochniarz, która ma mit bogaczki, więc zrzuca się cały ciężar na jej barki. Ludzie mówią: „A po co Kongresowi fundusze, skoro ma Nikę Bochniarz, a ona wydziela te pieniądze jak pszczoła miód? Pieniędzy w Kongresie jest mnóstwo!", co nie jest prawdą. Kongres tak naprawdę klepie biedę i wszystkie działamy społecznie. Ale chcę wrócić jeszcze do tego fatalnego moim zdaniem określenia, że organizatorki Kongresu uwłaszczyły się na feminizmie.

Cytowałam głos krytyki.
M.Ś.: Ja rozumiem, ale ten tekst jest niesprawiedliwy, bo fenomen Kongresu polega na tym, że od początku jest to niezwykłe spotkanie kobiet i środowisk, które normalnie się nie spotykają. Nikt nikogo nie próbuje wykorzystać. Może przemawiać niewiarygodnie przejęta Dominika Kulczyk, koleżanka Rozenek, która nie uczy już sprzątać, tylko zajmuje się promocją zapłodnienia in vitro, i Marta Lempart. Od początku są z nami Kazia Szczuka, Joaśka Piotrowska, Agnieszka Graff i przedsiębiorczynie z najwyższego szczebla biznesu. A to, co najważniejsze – program Kongresu jest robiony zupełnie oddolnie. Gdyby Ewa Charkiewicz opuściła swoją pozycję totalnej krytyczki i zaproponowała na Kongresie debatę na tematy, które krytykuje, przyjęłybyśmy ją z otwartymi rękami. Jeśli na Kongresie nie ma jakichś tematów, ważnych skądinąd, to znaczy, że nikt ich nie zgłosił. Ja niczego nie wymyślam... czasem tylko kłócę się z Niką o priorytety.
H.B.: Dzięki Kongresowi poznałam wiele osób, których w życiu bym nie spotkała. Ale nie ma co ukrywać, że podziałów jest masa i po 15 latach nie możemy powiedzieć, że teraz to już jakoś się dogadujemy i rozumiemy. Wchodzi nowe pokolenie. Gdy przeczytałam ostatnio naszą książkę o pierwszym Kongresie „Czas na kobiety", to natychmiast przyszła mi do głowy myśl, że jedna trzecia jej bohaterek już nie żyje. Patrzysz na to i zastanawiasz się, kto dalej będzie ciągnął tę robotę. Gdzie jest nowa elita feministek?
M.Ś.: Elity może nie ma lub jest wiele różnych, mniej widocznych, bo feminizm jest coraz bardziej oczywisty, poszedł w lud.

Co rozumiesz przez sformułowanie, że feminizm poszedł w lud? Jak zmienił się przez 15 edycji Kongresu Kobiet?
M.Ś.: Mam wrażenie, że zrozumienie praw kobiet i tego, że żyjemy w patriarchalnym społeczeństwie, bardzo się zwiększyło. W przeciwnym natomiast kierunku idzie polityka. Na dobrą sprawę 15 lat temu myślałyśmy, że wojna damsko-męska w przewidywalnej perspektywie czasu okaże się archaicznym przeżytkiem, tymczasem stała się bardziej intensywna. Rządzą faceci, którzy wymyślają coraz bardziej upiorny świat dla kobiet. A jednocześnie to, co Graff i Korolczuk nazywają populizmem feministycznym, zaczęło żyć własnym życiem. Dziewczyny w pipidówkach stanęły przed kościołami i protestowały przeciwko zaostrzeniu zakazu aborcji, choć wiele zapłaciło za to wysoką, osobistą cenę. Niektóre straciły pracę, były ciągane po prokuraturach, próbowano je zastraszyć. Ich trud nie idzie jednak w ogólnym rozrachunku na marne. To jest długi proces. Manuela Gretkowska poniosła porażkę ze swoją Partią Kobiet, ale bez niej nie byłoby Kongresu Kobiet. Bez Kongresu nie byłoby Strajku Kobiet, a bez Strajku upowszechnienia myślenia, że patriarchalny świat jest nie do obronienia. Kazia Szczuka powiedziała kiedyś na Campusie Polska w Olsztynie: „Chłopaki, was też patriarchalizm robi w chuja!".

Bo czyni z nich oprawców kobiet?
M.Ś.: Bo ustawia ich w defensywie cywilizacyjnej. Robi z nich starych, nierozumiejących świata dziadów lub – przeciwnie – wyciska ich jako „jedynych żywicieli rodzin", macho ukrywających emocje, samotnych liderów, którzy muszą ciągle podkreślać swo-

eprasa.pl 092e2a9ccb

ją męskość agresją. Słowo „feminizm" przestało być obelgą, łatką służącą ośmieszeniu i dyskredytacji. Jest neutralne jak słowo „demokracja" i należy do młodych ludzi.
H.B.: Zdecydowałam się robić Akademię Liderek, bo jedną z największych barier, oprócz wszystkich problemów, które mamy dokładnie wylistowane, są stereotypy. Pod tym względem w porównaniu z wieloma krajami zachodnimi jesteśmy wciąż totalnym zaściankiem.
M.Ś.: Jednym z haseł Kongresu było „Kobiety do władzy, głosujemy na kobiety". Byłyśmy przekonane, że im więcej będzie kobiet w parlamencie, im szybciej zmienią się proporcje, tym łatwiej będzie o zmianę w takich sprawach jak przemoc domowa czy nierówność płac, bo kobiety mimo różnic politycznych podobnie myślą w pewnych kwestiach. I okazało się to nieprawdą. Kobiety z PiS są totalnie antykobiece i głosują przeciwko ratyfikacji konwencji stambulskiej!
H.B.: Nominowane przez kacyków partyjnych wypełniają ich polecenia. To nie są kobiety, które mają swoje środowisko, pozycję i w związku z tym mogą na coś wpływać i podejmować decyzje. Na czele z Beatą Szydło, bo co to za liderka, której rano wręczają kwiaty i jest fantastyczną szefową rządu, a po południu ten sam Kaczyński odwołuje ją i ona nie ma nic do powiedzenia?! W tym, co wyczynia z nami PiS, nie chodzi już o prawa kobiet, tylko o życie. Mamy do czynienia z kosmicznym regresem.

Obecna sytuacja polityczna zadziała stymulująco czy demobilizująco na kobiety?
M.Ś.: Stymulująco, co widać po Strajku Kobiet. Będą momenty intensywnego gniewu.

On się nie wyczerpał?
M.Ś.: No właśnie że nie. Jak będzie trzeba, te dziewczyny znów będą na ulicach i pójdą w marszach, demonstrując swój bunt i wściekłość wobec władzy. Zwłaszcza że organizatorka, czyli Marta Lempart, jest kompletnie negatywnie nastawiona do wszystkich form instytucjonalizacji tego ruchu. Miałyśmy, wspólnie z Agnieszką Holland, długą rozmowę z Martą o tym, że ten ruch mógł się stać siłą polityczną, która odegra rolę języczka u wagi jakiejś koalicji.
H.B.: Próbowałyśmy się z nimi dogadać, szukać porozumienia, jeszcze w czasie pandemii, ale niestety. Marta nie przeszła do etapu, do którego musiałyśmy przejść z Kongresem, aby trwał. Chodzenie po ulicach jest fajne na początku, lecz jeśli chce się do czegoś dojść, co oczywiście będzie długą drogą i nie gwarantuje sukcesu w kwartał czy pół roku, to trzeba zbudować strukturę, bo inaczej zostajesz z niczym. Wydaje się, że Marta nie jest póki co na to gotowa. Jest typową uliczną fighterką. Robi to, w czym jest dobra, i okej, ale różnica między nami polega między innymi na tym, że jeśli znowu przyjdzie moment, w którym trzeba będzie wyjść na barykady, to my mamy struktury w całym kraju.

Kiedy patrzycie wstecz, co było najtrudniejsze?
H.B.: Jeśli miałabym robić podsumowania, to z jednej strony, robiąc pierwszy Kongres Kobiet, nie miałam oczekiwań. Sukcesem było to, że on się w ogóle wydarzył i przez te 15 lat trwa. Przy tej niesamowitej różnorodności i ciągłym pytaniu, o co nam właściwie chodzi, to cud. Jeśli jednak nie przyśpieszymy tempa, możemy nie przetrwać. Mamy wreszcie unijną dyrektywę dotyczącą obecności kobiet w zarządach i radach nadzorczych. Mamy w polityce kwoty i suwak. Tusk obiecuje koniec z 35 proc. i parytet na listach. Trzeba tego przypilnować. Mądrzy faceci już wiedzą, że kościółkowy, patriarchalny świat zagraża również im, bo zabija wartości, którymi deklarują się kierować. Tusk przekonał się, że kierując się innymi standardami, można osiągnąć więcej, i dziś, w dusznym kraju, czuje się niekomfortowo.
M.Ś.: Gdy spotykałyśmy się Tuskiem jako premierem w ramach kongresowego gabinetu cieni, byłyśmy bardziej prounijne, bardziej za euro, za obroną klimatu, za zrównoważonym rozwojem, dla Tuska to były nowinki.
H.B.: On był wtedy na innej planecie, ale dziś na pewno jest mu bliżej do Kongresu Kobiet niż do myślenia z Nowogrodzkiej. Jestem o tym przekonana, że jest jednym z niewielu polityków w Polsce, którzy rozumieją wagę praw i spraw kobiet.

Powtarzacie, że ruch kobiet niezależnie od tego, pod jakim będzie rozwijał się szyldem, nie ma szans osiągać szybkości przelotowej bez pieniędzy. Trochę jak partia polityczna, która dopóki nie ma subwencji, nie ma szans na utrzymanie się na scenie politycznej.
H.B.: Magda mówi, że to moja obsesja, ale ja nauczyłam się tego w Stanach Zjednoczonych. Tam na każdym poziomie – w szkole, gminie – ludzie organizują się, tworzą struktury i zaczynają mieć wpływ. A my dopiero się uczymy tej umiejętności, to nasza wielka słabość. Nie wiem, czy to spuścizna po komunizmie, że ludzie nie chcą do niczego należeć?
M.Ś.: Nie tylko po komunizmie, ale też po faszyzmie, zaborach i całej naszej zniewolonej historii.

> Miałyśmy, wspólnie z Agnieszką Holland, długą rozmowę z Martą Lempart, że Strajk Kobiet mógłby odegrać rolę języczka u wagi jakiejś koalicji. Nie chciała

H.B.: Pozbawia nas możliwości wpływu, bo możesz zrobić kongres, demonstrację, ale jeśli nie masz struktury, instytucji, które pozwolą ci przetrwać, szukać finansowania projektów, to nie masz instrumentu nacisku. Fajnie jest wyjść na ulice i krzyczeć „wypierdalać", fajnie jest zrobić Kongres raz do roku, ale czym jest oprócz miłego spotkania i wymiany poglądów? Nie mówię, że to nie jest ważne, ale jest niewystarczające, aby dokonać jakościowej zmiany. Ja wiem, jaka to żmudna robota. Od Nagrody Nike, przez Klub 22, Konfederację Pracodawców Lewiatan po Kongres Kobiet, a teraz Akademię Liderek, naprawdę uważam, że tylko osadzenie instytucjonalne pozwala rozwijać skrzydła. Każda z wymienionych przeze mnie i założonych organizacji hula, bo zbudowaliśmy ramy. Porównanie z partią wydaje mi się o tyle na miejscu, że w demokracji wygrywasz, przegrywasz i znowu wygrywasz, ale w okresie, gdy jesteś na górze, musisz szykować się na czas przegranej. Struktury pozwalają przeżyć. Bo ludzie, żeby działać, muszą móc płacić rachunki. Stąd te wszystkie fundacje, think tanki, instytuty.

PiS opanował tę sztukę w stopniu doskonałym.
H.B.: Złodziejskim, na granicy przestępstwa. Z kolei Marta Lempart znajduje się na przeciwnym biegunie – polegnie dla idei.
M.Ś.: Marta dała ruchowi kobiet ważną rzecz. Pamiętam Czarny Poniedziałek, to był pierwszy dzień zajęć na uczelni, 3 października 2016 roku. Poszłam spotkać się ze studentami i powiedzieć, że zwalniam ich z zajęć, jeśli chcą iść na protest. Jednocześnie poproszono mnie, abym zabrała głos na placu Zamkowym. Pomyślałam, że z Wydziału Filozofii mam siedem minut drogi na Stare Miasto, po czym, gdy otworzyłam drzwi, nie mogłam wyjść na ulicę. Taki był tłum. Na pikietach w sprawie kobiet, w których dotychczas uczestniczyłam, było zwykle kilkanaście, góra kilkaset dziewczyn. Teraz było to morze kobiet. I pomyślałam: „To jest wielka sprawa. One mają już świadomość, której nie trzeba budować".
H.B.: Trzeba. Życie pokazało, że zawsze może być gorzej.

Zastanawiacie się czasem, czy Kongres Kobiet bez Środy i Bochniarz będzie dalej trwał?
H.B.: Dobre pytanie.
M.Ś.: Myślę, że nie. Ale nie musi. Pojawi się jakaś inna forma, inny ruch. To nigdy nie umrze. Kongres rzeczywiście nosi nasze piętno, a my mamy w swoim działaniu elementy autorytarne. Kłócimy się między sobą, ale jak już coś wykłócimy, to tak jest. Nagroda dla Tuska to też była nasza decyzja. Nika powiedziała: Tusk. Ja powiedziałam: Tusk, i zapytałyśmy dziewczyn, co one na to. Ale decyzja w zasadzie już zapadła. Bo my stare baby jesteśmy i wiemy, czego chcemy…

Młodsze „kongresmenki" się nie buntują?
M.Ś.: Nie, bo to nie jest męski autorytaryzm. W zarządzie Stowarzyszenia Kongres Kobiet (w którym nie ma Niki, bo robi swoje gdzie indziej) nie ma prezeski, Ania Karaszewska uważa to za słabość, brak poczucia odpowiedzialności, dla mnie jest to nowa, kobieca forma rozproszonego przywództwa, jest nas czwórka, mamy podzielone zadania, nie kłócimy się, pracujemy wspólnie, jest fajnie i skutecznie.
H.B.: Gdy rozmawiam z różnymi dziewczynami, to – może źle odczytuję – ale nie czuję, że rośnie nowa generacja gotowa rzucić nam wyzwanie i powiedzieć: „Co tam Środa z Bochniarz! My chcemy zrobić nowe porządki!". Myślę, że jest wręcz odwrotnie, i to mnie, szczerze mówiąc, martwi. One wydają się zadowolone z tego, że my ciągle nadajemy ton, bierzemy odpowiedzialność. Chętnie się angażują, ale drugoplanowo. Bo powiedz, Magda, uczciwie, widzisz takie dziewczyny, które powiedzą: „Basta, czas na zmianę"?
M.Ś.: Czy czuję czyjś oddech na plecach? *(śmiech)*
H.B.: Nie śmiej się. To jest niepokojące, że nie ma nacisku, parcia. Ale może stan zagrożenia w Polsce, polityczny, kulturowy, mentalny, jest dziś tak poważny, że młodsze pokolenia czują się bardziej komfortowo, gdy my wychodzimy i mówimy, co trzeba zrobić?

Czyli model wodzowski?
H.B.: To nie jest tak, że gdy walczysz, to możesz sobie wybierać z koszyka, co ci się podoba. My nie możemy niczego nakazać, nie oferujemy żadnych profitów czy premii. Zapraszamy do bycia razem i wspólnego działania, wspólnej walki.
M.Ś.: Nie chodzi o trzymanie się przy władzy, ale o zmianę sposobu jej sprawowania, osiągania celu. Nie jak falliczny przywódca, nie chcemy powtórki z męskiego świata.

A czy nie jest tak, że aby wygrać, nie można mieć skrupułów? Przyznajecie, że aby Kongres mógł przetrwać, przyjęłyście model zarządzania mający elementy autorytarne.
M.Ś.: To nie tak, że zwyciężać można, tylko będąc nieludzkim terminatorem. Kobiecej alternatywie wciąż jednak brakuje determinacji w uskutecznieniu projektu. Widać to zwłaszcza w polityce.
H.B.: Magda, dopóki reguły gry wyznaczają faceci, o tej alternatywie można tylko gadać. Może więc naprawdę jest tak, że najpierw musimy do władzy dojść, aby móc potem zmieniać jej reguły?
M.Ś.: Jacinda Ardern w Nowej Zelandii czy Sanna Marin w Finlandii nie zachowywały się jak Trump, nie mówiły, że trzeba pokonać wroga, zmiażdżyć go i wyeliminować. Innym językiem też można wygrać, tylko trzeba dać mu szansę i siłę.
H.B.: To zawsze był gorący kartofel między mną i Magdą. Jednak zgadzam się z nią, że jak się wchodzi w stare struktury, to korzyści wynikające ze znalezienia się w strefie wpływów wymagają tylu kompromisów, iż na końcu okazuje się, jak niewiele możesz zdziałać. Dlatego powstała Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan, nowa, niezależna, poza starymi układami. Mówiło się: „przyszła baba i założyła nową organizację", ale na własnych warunkach! Wszyscy byli przeciwko mnie, więc może dlatego jestem tak uodporniona. Do dziś uważam, że to był jedyny słuszny wybór. Stworzyłam nowe standardy, które funkcjonują do dziś.
M.Ś.: A widzisz, właśnie o tym mówię. Pora przestać powtarzać, że faceci mają się posunąć, zrobić nam miejsce, dopuścić do swojej strefy wpływów. Nam ta strefa się należy i chcemy ją urządzić po swojemu, „na własnych warunkach", ale mając od początku wpisane parytety jako fundament, więc to nie oznacza eliminacji facetów ze sfery publicznej, tylko realną, prawdziwą współpracę na rzecz całego społeczeństwa, a nie jak dotychczas jego połowy.

Czy to, że przez 15 edycji Kongresu Kobiet nie udało się wykreować następczyń, nie jest porażką? Podobnie jak wyrazistej politycznej liderki przez 35 lat transformacji?
H.B.: Jest.
M.Ś.: Eee tam! A Tusk, Kaczyński mają następców? A ty w Konfederacji Lewiatan? Następców się nie rodzi jak dzieci i wychować też ich nie sposób. W Kongresie był taki moment, i to ja go zainicjowałam, gdy rozważałyśmy, czy możemy przekształcić się w partię polityczną. Zrobiłyśmy wtedy demokratyczne głosowanie i 60 proc. było przeciw. Nika potem trochę żałowała, żeśmy się na to nie zdobyły.
H.B.: Gdybym miała 20 lat mniej, porwałabym się na budowanie partii politycznej, która stawiałaby na kobiety. Ale nie mam już po prostu na to siły i wiesz, Magdo – żałuję, że cię nie posłuchałam, gdy mówiłaś, że trzeba to zrobić. Tak samo jak wtedy, gdy mówiłaś, że trzeba iść na zwarcie z Kościołem, a ja uważałam, że przesadzasz. Dziś wiem, że Kościół jest jednym ze źródeł zła, drugim jest polityka w obecnym kształcie. Stałam na stanowisku, że Kongres jest fajny i po co psuć prężny ruch społeczny polityką. Dziś wiem, że partia założona dekadę temu długo dostawałaby po głowie, wszyscy wieszaliby na niej psy, ale mogłaby stworzyć nową jakość. Bez władzy i pieniędzy – powtórzę to do znudzenia – można tylko gadać. A my już na to nie mamy czasu.
M.Ś.: Czas więc na zmianę. ●

Rozmowa pochodzi z książki Aleksandry Pawlickiej **„Grzeczne już byłyśmy. XV lat Kongresu Kobiet"**

Tegoroczny jubileuszowy Kongres odbędzie się **2 i 3 września 2023** w Poznaniu pod hasłem **„Kobiety mają głos! Równość, edukacja, przyszłość"**.

eprasa.pl 092e2a9ccb

Nike
Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

PLEBISCYT
Nike Czytelników

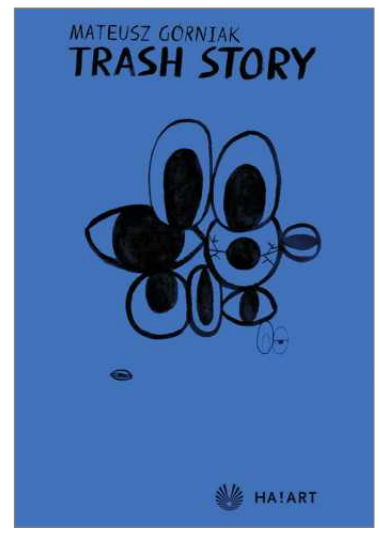

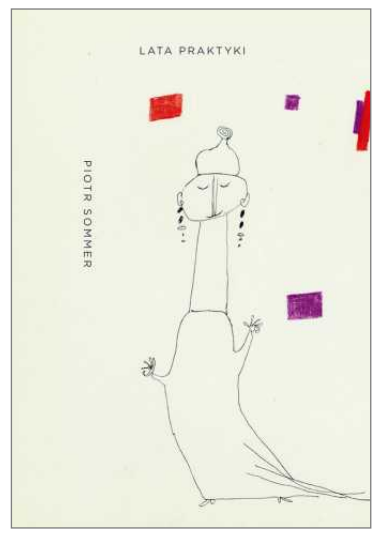

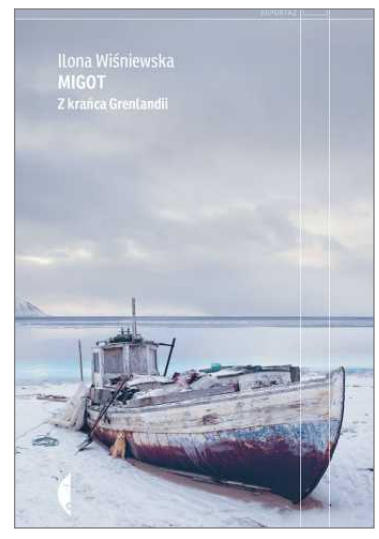

Zagłosuj ↓

www.wyborcza.pl/nike

Na Wasze głosy i recenzje czekamy do niedzieli, 24 września

Do zdobycia voucher
na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

eprasa.pl 092e2a9ccb

POLITYKA W CIĄŻY

Giertych chciał wpisania zakazu aborcji do konstytucji. Czy teraz, by wrócić do polityki, poprze aborcję na żądanie?

Katarzyna Wężyk

Najgorętszy transfer polityczny tego sezonu – start Romana Giertycha z list KO – zderzył się z postulatem aborcji na żądanie do 12. tygodnia ciąży. Jeszcze parę lat temu to zdanie byłoby absolutnie fantastyczne, i to na kilku poziomach.

Giertych, przypomnijmy, był wicepremierem w pierwszym rządzie PiS, politykiem dla liberałów nie do przełknięcia. A PO latami broniła tzw. aborcyjnego kompromisu, a jej konserwatywne skrzydło głosowało wręcz za zaostrzeniem ustawy, powołując się na naukę Kościoła.

Ale dziś w układaniu list wyborczych obowiązuje zasada „wszystkie ręce na pokład", a aborcyjnym mainstreamem jest postulat pozostawienia kobietom decyzji w pierwszym trymestrze. Kościół został zdetronizowany z pozycji głównego rozgrywającego tej debaty, a na silnych graczy wyrosły feministyczne organizacje. A wszystkie główne partie poważnie zweryfikowały swój stosunek do przerywania ciąży.

Aborcja jako temat polityczny pojawiła się w debacie publicznej symbolicznie, na pierwszej stronie pierwszego numeru „Gazety Wyborczej", w tekście „Prymas rozmawia z Wałęsą o wyborach". Kardynał Józef Glemp przypomniał liderowi „Solidarności" „wagę ochrony życia nienarodzonych", ale też podkreślił, że nie może być ona „przedmiotem gry politycznej ani oceny kandydatów na posłów i senatorów".

Z dzisiejszej perspektywy brzmi to egzotycznie: wszak przez następne trzy dekady Kościół będzie uznawał stosunek do aborcji za jedno z głównych kryteriów oceny kandydatów i kandydatek do funkcji publicznych i często wprost nakłaniał do głosowania wyłącznie na jej przeciwników, skąd więc ten dystans? Przerywanie ciąży było w PRL legalne od 1956 roku, traktowane jako metoda kontroli urodzeń, i „Solidarność" obawiała się, że poparcie dla forsowanego przez Kościół zakazu im zaszkodzi – zwłaszcza że PZPR wykorzystywała je do uderzenia w kandydatów demokratycznej opozycji. Jak widać, od początku w temacie aborcji ideologia zderzała się z pragmatyzmem.

Następne cztery lata będą dla wywodzących się z „Solidarności" polityków lawirowaniem między młotem nacisków Kościoła a kowadłem sondaży, które pokazywały uparty sprzeciw „przypadkowego społeczeństwa" wobec postulowanego przez biskupów zakazu aborcji, najlepiej całkowitego. Hierarchowie mieli za sobą autorytet papieża Polaka – Jan Paweł II przy każdej okazji apelował o „ochronę życia poczętego" – oraz przeprowadzoną błyskawicznie operację zmiany języka, dzięki której niemalże z dnia na dzień płód stał się „dzieckiem nienarodzonym", a aborcja „zabijaniem". Zawłaszczenie narracji było tak skuteczne, że nawet przeciwnicy zakazu swoje wypowiedzi obowiązkowo zaczynali od „wszyscy się zgadzamy, że aborcja jest złem". Tylko w nielicznych i kontrolowanych przypadkach, dodawali, bywa złem mniejszym, ale zawsze jest dla kobiety „dramatem" i „tragedią". Argument, że Polka powinna mieć możliwość podjąć autonomiczną decyzję o zachowaniu lub przerwaniu ciąży, w końcu to decyzja dotycząca najbardziej jej życia, w debacie się zasadniczo nie pojawiał – był, po prostu, nie do pomyślenia.

W styczniu 1993 roku Sejm uchwalił ustawę antyaborcyjną. Na tym samym posiedzeniu odrzucił, podpisany przez ponad półtora miliona osób, wniosek o przeprowadzenie referendum w tej sprawie. Jak to ujął 15 lat później Andrzej Wielowieyski, „w tamtych warunkach jednoznaczne odcięcie się od praktyk aborcyjnych mogło być bardziej racjonalne od częściowej liberalizacji i intensywnego dialogu z kobietami".

Zakaz aborcji z trzema wyjątkami – zagrożenia życia lub zdrowia ciężarnej, ciąży z gwałtu lub kazirodztwa oraz ciężkich uszkodzeń płodu – został nazwany kompromisem. „Trudnym, ale dobrym" (Małgorzata Kidawa-Błońska, 2010) „wynegocjowanym w trudnych okolicznościach, ale najlepszym" (Joanna Mucha, 2011), „wątłym i trudnym, ale służącym Polsce" (Bronisław Komorowski, 2012).

SLD w latach 90. dwukrotnie dodawał do ustawy czwarty wyjątek trudnej sytuacji ekonomicznej. Za pierwszym razem nowelizację zawetował prezydent Wałęsa, za drugim, w 1997 roku – Trybunał Konstytucyjny.

Kiedy w 2001 roku na scenie politycznej pojawiły się dwa ugrupowania do dziś na niej dominujące, czyli PiS i PO, tzw. kompromis aborcyjny był już w polskiej świadomości zabetonowany. Feministki co prawda zaczęły publicznie domagać się prawa do wyboru – pierwsza Manifa przeszła ulicami Warszawy w 2000 roku – ale były nieliczne i traktowano je protekcjonalnie: ot, niegolące nóg wariatki.

Autorytetami w sprawie aborcji w mediach wciąż byli mężczyźni, także ci w sutannach, a w centrum debaty były płód, męskie etyczne dylematy i stanowisko Kościoła.

Jak to ujął w 2004 roku na łamach „Wyborczej" filozof Jan Hartman: „Chciałbym powiedzieć jasno i po męsku. Moralnie dopuszczalne jest stawianie sprawy aborcji tylko w jeden sposób: co możemy zrobić, aby realnie aborcji było jak najmniej? (...) Spędzenie płodu jest nie tylko bardzo złym postępkiem, lecz także z reguły postępkiem po prostu głupim, a sumienie po dokonaniu aborcji gryzie normalnego człowieka przez całe życie". Odpowiadał mu redaktor „Więzi" Zbigniew Nosowski: „Skoro Hartman uważa aborcję za zło, to dlaczego bardziej troszczy się o (bardzo powierzchownie rozumianą!) psychiczną równowagę wahających się kobiet niż o realne zminimalizowanie przypadków przerwania ciąży?".

Aborcję zasadniczo jednak uważano za „temat zastępczy", odwracający uwagę od tych naprawdę ważnych, typu wzrost gospodarczy. Jak napisał Janusz Lewandowski w komentarzu do afery wokół statku „Langenort", czyli aborcyjnej kliniki na falach, która w 2003 roku przypłynęła do Władysławowa: „mamy trudny, ustawowy kompromis, a nie mamy żadnego rozwiązania innych, palących problemów. Dlatego aborcyjna kłótnia, tu i teraz, jest nie w porę".

Prawdziwy, choć niepisany kompromis, ten między kobietami a władzą, sprowadzający się do tego, że Polki robią zabiegi po cichu, a rząd ich za to nie ściga, wydawał się załatwiać problem niechcianych ciąż. Podziemie aborcyjne otwarcie reklamowało się w gazetach („aaa ginekolog dyskretnie"), a przed sąd trafiali nieliczni lekarze, i to głównie ci, których pacjentka podczas zabiegu ucierpiała. Ponad połowa Polek i Polaków (sondaż CBOS z 2003 roku) uważała, że aborcja ze względów społecznych powinna być dostępna, ale nie domagała się tego prawa na ulicach.

W pierwszych programach PO i PiS o aborcji nie ma ani słowa. Liberalizację ustawy w kampanii obiecał SLD, ale na rządy Leszka Millera w latach 2001-05 przypadła akurat finalizacja starań Polski o członkostwo w Unii Europejskiej, których ostatnim etapem było ogólnopolskie referendum. A ceną za poparcie Kościoła dla wejścia do UE było nieruszanie ustawy antyaborcyjnej. Jak to ujął, otwartym tekstem, abp Tadeusz Pieronek: „Nie musimy dopatrywać się w tym targu, lecz po prostu rozsądnej polityki". I SLD tę cenę zapłacił.

Aborcja wróciła do polityki, z rozmachem, za rządów koalicji PiS-LPR-Samoobrona w latach 2005-07. Ówczesna partia Giertycha, Liga Polskich Rodzin, pragnąc odebrać większemu koalicjantowi prawą flankę oraz poparcie ojca Rydzyka, wyskoczyła z pomysłem wpisania zakazu aborcji do konstytucji. Konkretnie dopisania do art. 38 – „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia" – trzech słów: „od momentu poczęcia". Wicepremier Giertych przekonywał, że byłby to „epokowy krok", dzięki któremu zrealizowany zostałby testament Jana Pawła II. Jego partyjny kolega Krzysztof Bosak postulował karanie kobiet za aborcję jak za zabójstwo: 25 lat więzienia.

Jarosław Kaczyński, który w kwestii przerywania ciąży zawsze był raczej pragmatykiem niż ideologiem, nie był tą inicjatywą zachwycony, bo stawiała go w niewygodnej sytuacji. Z jednej strony miał naciski Kościoła oraz prawego skrzydła własnej partii pod przywództwem etatowego „obrońcy nienarodzonych" Marka Jurka, z drugiej – sondaże, które pokazywały wyraźną niechęć do zaostrzenia ustawy. „Naruszaniu kompromisu" zdecydowanie sprzeciwił się też jego brat, prezydent, a prezydentowa nawet dała się namówić na podpisanie listu z protestem przeciw zmianie konstytucji. Lider opozycji Donald Tusk też uważał, że pomysł LPR idzie za daleko, bo „Konstytucja powinna chronić życie od momentu poczęcia, ale z tymi wyjątkami, o jakich mowa w dzisiejszej ustawie". Przewodniczący SLD Wojciech Olejniczak zapewniał, że nie zna ludzi chcących wprowadzenia aborcji na żądanie.

Do uchwalenia konstytucyjnego zakazu przerywania ciąży zabrakło raptem 27 głosów: przeciw głosowały SLD, część PSL i większość Platformy. A na następną dekadę z hakiem PO okopie się na pozycji głównej obrończyni status quo. – Ten kompro-

• **Konferencja Ligi Polskich Rodzin w Sejmie o wpisaniu zakazu aborcji do konstytucji. Warszawa, 8 września 2006 r.**
FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 092e2a9ccb

mis został wypracowany z wielkim trudem. A jego naruszenie może prowadzić do wojny ideologicznej – przekonywał w 2012 roku Rafał Grupiński.

Nie było zresztą politycznej potrzeby z tych okopów wychodzić: przez osiem lat rządów koalicji PO-PSL sondaże pokazywały rosnące poparcie Polek i Polaków do obowiązującej ustawy, a malejące dla pomysłów jej liberalizacji. Jeszcze w 2005 roku niemal 6 na 10 badanych uważało, że kobieta powinna móc przerwać ciążę w pierwszych tygodniach. Siedem lat później tylko 16 procent dopuszczało trudną sytuację ekonomiczną jako wystarczający powód do aborcji. „Aborcja to zło. Tu nie ma w Polsce zasadniczego sporu", pisał w 2011 roku Jacek Żakowski. „Nie ma przyzwolenia na aborcję na życzenie", dodawała rok później socjolożka Mirosława Grabowska.

Pokolenie JP2 co prawda się nie przyjęło, ale generację ówczesnych 20-latków opisywano jako nieszczególnie zainteresowanych polityką konserwatystów i konformistów.

„Zakaz aborcji polskim studentom zwisa, polityczna mowa nienawiści wobec mniejszości seksualnych czy religijnych wydaje im się śmieszna, legislacja oparta na stereotypach płciowych to dla nich abstrakcja, a wykluczenie ekonomiczne – brednia", wyliczała w 2008 „Wyborcza".

W prawo przesunęło się też środowisko lekarskie. Całe szpitale ogłaszały, że u nich ciąży się nie przerywa. Trzy tysiące lekarzy podpisało też tzw. deklarację wiary, w której zobowiązali się do wierności własnemu, chrześcijańskiemu sumieniu, także gdy kolidowało ono z prawami pacjentów (a zwłaszcza pacjentek). Jak takie podejście wygląda w praktyce, pokazała w 2014 roku sprawa tzw. dziecka Chazana: dyrektorowi warszawskiego szpitala sumienie nie pozwoliło przerwać ciąży z wadami letalnymi,

Stosunek do aborcji zmienili też Hołownia – dziesięć lat temu mówił, że należy jej zakazać – oraz PSL. Teraz Trzecia Droga chce w tej sprawie oddać głos Polkom i Polakom w referendum

więc pacjentka musiała urodzić dziecko bez połowy czaszki.

Ani moralny rygoryzm polskich lekarzy, ani deklarowane w sondażach opinie nie wpłynęły na praktyki Polek: organizacje kobiece liczbę aborcji poza systemem szacowały na nawet 200 tysięcy rocznie. Zmieniły się natomiast metody przerywania ciąży: podziemie ustępowało zagranicznym klinikom i tabletkom do aborcji farmakologicznej. W mediach zaczęły się pojawiać głosy, że polskie prawo nie jest żadnym kompromisem, tylko jedną z bardziej restrykcyjnych ustaw w Europie, do tego notorycznie łamaną. W 2011 roku po raz pierwszy sukces wyborczy odniosła też partia antyklerykalna: Ruch Palikota.

Podczas dwóch kadencji rządu PO-PSL Sejm sześciokrotnie rozpatrywał projekty zmiany ustawy antyaborcyjnej: cztery zakładały jej zaostrzenie, dwa – złagodzenie. Wszystkie zostały odrzucone, choć te drakońskie, bywało, dopiero w drugim czytaniu. Za zaostrzeniem nieodmiennie głosowały PiS – jak to ujął poseł Marcin Libicki, „dziecko poczęte wymaga ochrony, matka jest tu tylko depozytariuszką"– część PSL i konserwatywna frakcja w PO, za liberalizacją wyłącznie SLD i Ruch Palikota. Większość Platformy była przeciw jednym i drugim. – Zrobię wszystko, żeby nie przeszedł projekt ani czarny, ani tęczowy. Istnieje wielka przestrzeń Polski umiarkowanej i rozsądnej, która nie chce ani rewolucji, ani kontrrewolucji – deklarował w 2012 roku premier Tusk.

Wybory w 2015 roku wygrało PiS, a lewica tym razem nie weszła nawet do Sejmu. Dwie piąte Polaków i Polek (sondaż CBOS z kwietnia 2016) uważało, że życie powinno być chronione od poczęcia do naturalnej śmierci, trzy czwarte - że trudna sytuacja, materialna lub osobista, to nie jest dość dobry powód do przerwania ciąży. Ćwierć wieku „Niemego krzyku" na katechezie i kultu „kompromisu" odniosło skutek: aborcję się w Polsce, owszem, robiło, ale nie mówiło o niej głośno – chyba że po to, by ją potępić.

I żadna partia polityczna nie zrobiła tyle dla zliberalizowania stosunku społeczeństwa do przerywania ciąży, co Prawo i Sprawiedliwość. Rząd przegiął – i wahadło zaczęło się przesuwać w drugą stronę.

We wrześniu 2016 roku Sejm przyjął do dalszych prac obywatelski projekt całkowitego zakazu przerywania ciąży. I wtedy – nieoczekiwanie, bo aborcja była przecież etatowym tematem zastępczym, sztucznym problemem, ewentualnie zarzewiem niepotrzebnej wojny religijnej – wybuchł bunt. 3 października Polki masowo zastrajkowały. I PiS się z zakazu wycofało.

Prezes Kaczyński zapowiedział jednak, że jego partia będzie dążyć do tego, by nawet te ciąże, w których „dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone". W sprawie ciąż z gwałtu, dodał, „można zastosować perswazję, i to delikatną, bez presji".

Przez kolejne cztery lata zakaz aborcji będzie wracać do Sejmu jeszcze kilkakrotnie, by ostatecznie zostać przepchnięty tylnymi drzwiami, przy pomocy upolitycznionego Trybunału Konstytucyjnego. 22 października 2020 roku TK usunął z ustawy wyjątek wad płodu. Jeszcze tego samego wieczoru wielotysięczny tłum z transparentem „Wypierdalać" przespacerował się spod siedziby Trybunału pod dom prezesa PiS i tę trasę regularnie powtarzał przez następne trzy miesiące. Liczbę uczestników największej warszawskiej demonstracji szacowano na ponad 100 tysięcy.

W 2016 roku Polki broniły jeszcze tzw. kompromisu, ale przez kolejne cztery lata aborcyjny dyskurs przesunął się w lewo. Najpierw, tuż po „czarnym proteście", o swojej aborcji opowiedziała Natalia Przybysz. Dwa lata później na okładce „Wysokich Obcasów" pojawiła się uśmiechnięta ekipa Aborcyjnego Dream Teamu w koszulkach z hasłem „Aborcja jest OK". Obie publikacje wywołały falę oburzenia, ale też rozbiły balon rzekomego konsensusu: okazało się, że jednak nie wszyscy uważają, że aborcja jest złem, a dla kobiety zawsze tragedią. Dziewczyny z ADT mówiły wprost – i powtarzały potem często – że swoich aborcji nie żałują, że czuły po nich ulgę, a teraz pomagają innym potrzebującym.

Na protestach z 2020 roku po raz pierwszy w centrum sporu znalazła się kobieta, nie płód, a Kościół wystąpił nie w roli moralnego arbitra, tylko czarnego charakteru. A jego uczestniczki domagały się aborcji już nie tylko w ściśle określonych, wyjątkowych sytuacjach, ale wtedy, kiedy jej potrzebują.

Choć Strajk Kobiet nie zrealizował żadnego ze swoich postulatów – rząd się nie oddalił, a wyrok został opublikowany – masowy wybuch kobiecego gniewu miał polityczne implikacje. Podczas kolejnych sejmowych debat wokół prób zaostrzania i liberalizacji prawa wyraźnie widać zmianę proporcji płci i tematów: już nie tylko Lewica, ale i KO wysyłały na mównicę głównie posłanki, a te nie mówiły już o dramacie aborcji i zaletach kompromisu, tylko domagały się zakończania piekła kobiet i wprowadzenia europejskich standardów praw reprodukcyjnych. – Obiecujemy Polkom: nie będziecie się już bały. Nie będziecie się bały fanatyków, będziecie miały prawo decydować, z kim, kiedy i ile chcecie mieć dzieci – deklarowała w 2023 roku Barbara Nowacka.

PiS z kolei umieściło się w roli obrońcy nowego status quo – zakazu z dwoma wyjątkami – przed szaleństwami z lewej i prawej strony: odrzuciło projekty karania za przerwanie ciąży jak za morderstwo i więzienia za informowanie o aborcji. Poparła je za to Konfederacja, postępując zresztą wbrew sondażowym preferencjom swojego elektoratu, który w kwestii aborcji jest raczej liberalny. Najwyraźniej wyborcy i wyborczynie partii Bosaka i Mentzena uważają, że jak im Konfederacja obniży podatki, to w razie potrzeby aborcję sobie kupią.

W styczniu 2021 Platforma podjęła historyczną decyzję o odspawaniu się od kompromisu i poparła postulat aborcji do 12. tygodnia, ale dla kobiet w trudnej sytuacji i po konsultacji z psychologiem. Półtora roku później Tusk nie bawił się już w półśrodki: zadeklarował, że w programie partii jest aborcja do 12. tygodnia ciąży, a na listach wyborczych PO znajdą się wyłącznie osoby, które ten pomysł popierają. – Aborcja decyzją kobiety, a nie księdza, prokuratora, policjanta czy działacza partyjnego – obiecał.

Swój stosunek do tematu zmienili też Szymon Hołownia – dziesięć lat temu mówił, że należy aborcji zakazać – oraz PSL, które w kwestii przerywania ciąży głosowało zazwyczaj tak jak PiS. Teraz Trzecia Droga chce w tej sprawie oddać głos Polkom i Polakom w referendum.

Partie szeroko rozumianego centrum zareagowały pragmatycznie: sondaże pokazują, że poparcie dla liberalizacji prawa aborcyjnego systematycznie rośnie, zwłaszcza wśród ich wyborców: w sondażu OKO.press z września 2022 97 proc. elektoratu KO i 94 proc. elektoratu Polski 2050 opowiedziało się za aborcją na żądanie do 12. tygodnia. Z tematu ryzykownego politycznie aborcja stała się stałym punktem programu. Politycy, nawet ci centrowi, nie bronią już „życia nienarodzonego" przed złymi matkami, tylko kobiet przed złym prawem, które naraża je na śmierć na porodówkach.

Start Giertycha ze świętokrzyskiej listy KO zapowiedział w niedzielę Tusk, zaskakując nawet członków własnej partii. Ci postawili mecenasowi ultimatum: albo poprze postulat aborcji na żądanie do 12 tygodnia ciąży, albo nie ma dla niego miejsca na listach. Giertych najpierw oddelegował do odpowiedzi córkę Karolinę ("jeśli chodzi o prawa kobiet, to jest nas w domu cztery, moja mama i moje dwie siostry, więc raczej go przypilnujemy"), a gdy to nie wystarczyło, w środę po południu tweetnął, że poglądów na aborcję nie zmienia - dalej uważa ją "za coś złego, choć czasem dopuszczalnego" - a co do rozwiązań prawnych, to najbardziej mu odpowiada ustawa z 1993 roku, czyli "funkcjonujący kompromis". Do postulatu liberalizacji wprost się nie odniósł, ale zapewnił, że jeśli zostanie wybrany, będzie "lojalnym i przestrzegającym dyscypliny członkiem klubu. To jest oczywiste, gdyż polityka to gra zespołowa".

Najwyraźniej Kielce warte są aborcji.. ●

„Aborcja jest" Katarzyny Wężyk – esej i raport w jednym – dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka w Publio.pl

eprasa.pl 092e2a9ccb

Adam Michnik poleca

RATUJ NARÓD, BIJ POETĘ

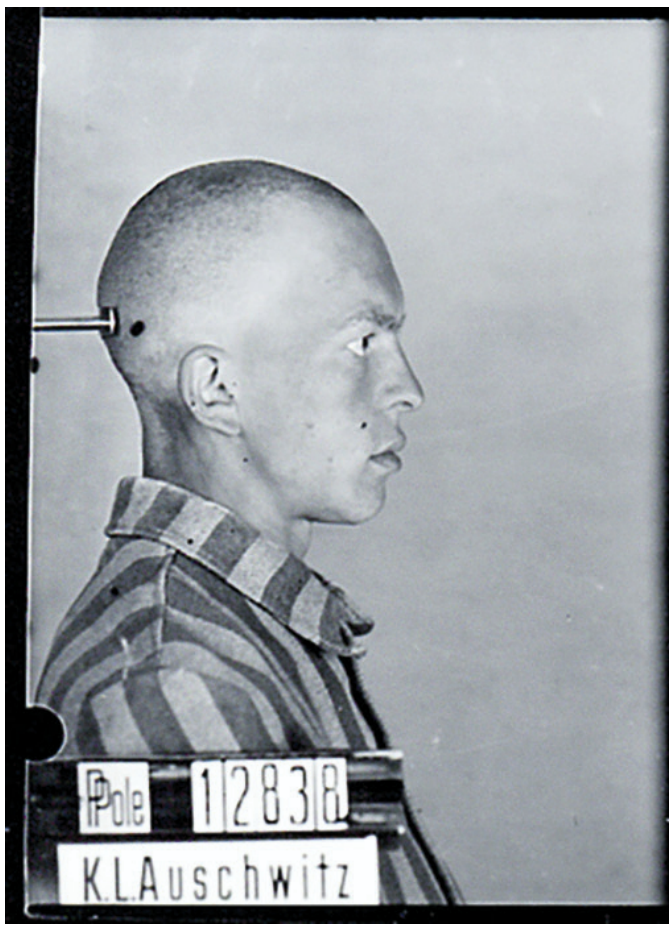

Czekał już. Wstaje na widok Słonimskiego, rusza w jego stronę. Po drodze przewraca jeden, dwa stoliki. Cios, policzek

Emil Marat*

Atakować fizycznie poetów, wygnać naukowców, historia ważniejsza niż prawda, naród jako usprawiedliwiająca wszystko świętość – tak nacjonaliści w imię jedności dzielili i dzielą Polskę. Przykładem opowieść o Zygmuncie Ipohorskim-Lenkiewiczu. I nie tylko.

1938

Podrywa się z krzesła na widok poety, który wszedłszy do kawiarni, stanął przy drzwiach, próbując rozeznać się w tytoniowej mgle. W dodatku okulary mu zaparowały. Młody człowiek rusza więc w jego stronę. Po drodze przewraca jeden, dwa stoliki. Takie niewielkie są to stoliki, okrągłe, góra 40 centymetrów średnicy, na nich szklanki do połowy napełnione kawą („pół czarnej").

Naprzeciw wejścia przeszklona lada z ciastkami, na wykończonych drewnem ścianach kryształowe kinkiety. Tłoczno. Goście Małej Ziemiańskiej siedzą w płaszczach i paltach, bo zima, styczeń.

Dobiega do poety, wymierza policzek: „Masz za »Dwie ojczyzny«!".

Poeta próbuje oddać cios, chwyta krzesło, gdy widzi zbliżających się paru kolegów młodzieńca. Kelnerzy starają się interweniować. Przypadek, zbieg okoliczności: do kawiarni wchodzi Kazimiera Iłłakowiczówna, za nią Wieniawa-Długoszowski. Napastnicy, wypłoszeni, wybiegają na ulicę.

„Dwie ojczyzny" to tytuł wiersza opublikowanego w „Wiadomościach Literackich" datowanych na 16 stycznia. Poeta to Antoni Słonimski. Policzkujący go 26-letni aktywista Obozu Narodowo-Radykalnego, dziennikarz z ambicjami literackimi, nazywa się Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz.

1912

Urodził się w Grabowie – majątku na wschód od Radomia, nieopodal Puław i Kazimierza nad Wisłą. Rodzina licznie rozgałęziona, stara. Zachowały się pisane zamaszystą cyrylicą urzędowe księgi. Na marginesie po lewej stronie aktu urodzenia – imiona i nazwisko po polsku, reszta – zgodnie z prawem guberni – po rosyjsku.

Zwyczajowe: „Działo się to w Zwoleniu (...). Niemowlęciu z ojca Wincentego Pawła Ipohorskiego-Lenkiewicza lat dwadzieścia siedem i jego prawowitej małżonki Marianny lat dwadzieścia jeden podczas Chrztu Świętego dokonanego przez księdza wikariusza parafii nadano imiona Zygmunt-Stanisław, a rodzicami chrzestnymi jego byli Czesław z Sierzykowa Sierzykowski, radca stanu, komandor maltański i Konstancja Warywocka..." itd.

Niewielkie dwory, rozlewiska, złote łachy na rzece i zakrzaczone wyspy, wiejskie chaty, pola kameleony – zmieniające się wraz z rytmem pór roku – najpewniej ten krajobraz, sielski pejzaż, wpisywał się w pierwsze wspomnienia Zygmunta Stanisława.

1920-1929

Nie był wyjątkowy, nie była wyjątkowa jego ziemiańska rodzina: legendy insurekcji, spotkania z ostatnimi powstańcami styczniowymi podczas uroczystych akademii, niedzielne msze w białym kościele, pierwsze lektury, niewiele starsi koledzy opowiadający o wojnie bolszewickiej, pewnie „Anhelli" i „Pan Tadeusz", szkoła i religia, potem Dmowski bardziej niż Piłsudski.

W dorosłość wchodzi Zygmunt na przełomie lat 20. i 30., wówczas, gdy antysemickie ataki endecji przybierają na sile.

1930-1937

Ksenofobia puchnie, a po śmierci Piłsudskiego (1935) następuje jawna już radykalizacja agresywnego nacjonalizmu (o ile „radykalny nacjonalizm" to nie pleonazm), z coraz mniejszym przekonaniem powstrzymywanego przez władze.

Ipohorski-Lenkiewicz jest wśród młodzieżowych działaczy Obozu Wielkiej Polski, którzy w 1934 r. zakładają ONR – Obóz Narodowo-Radykalny. Gdy organizacja ta (szybko zdelegalizowana i działająca „nieoficjalnie") rozpada się na Falangę i ONR-ABC, Zygmunt jest w tej drugiej frakcji. W piśmie codziennym „ABC" (antysemickim, antyniemieckim, antysowieckim, antyukraińskim, antyfrancuskim), od którego pochodzi nazwa grupy, ogłasza recenzje, teksty publicystyczne i wiersze.

Antyżydowska obsesja tej gazety robi wrażenie: „Żydowska bezczelność i tchórzostwo – makabista zgubił karabin w ucieczce"; „Osobne wagony dla Żydów – projekt »ABC« na drodze urzeczywistnienia!"; „Kolonie nudystów i orgie w żydowskich obozach letnich"; „Wielkie zwycięstwo młodzieży akademickiej – wprowadzenie ghetta dla żydów na uczelniach" itp., itd.

Zdolny, pracowity, wytrwały, ideowy, ambitny. W 1937 r. współprowadzi już „Kronikę Polski i Świata. Ilustrowane pismo tygodniowe", tygodnik bardzo prawicowy i antysemicki, podziwiający Mussoliniego i Japonię. Radykalni publicyści pisma potępiają to, co dzieje się w Niemczech – obozy koncentracyjne dla opozycji i Żydów, ale zarazem nie kryją podziwu dla porządku mającego w tych obozach panować. Pod koniec 1938 r. „Kronika" będzie prowadzić kampanię na rzecz niewpuszczania i pushbacków Żydów przewiezionych przez Niemców na polską granicę w Zbąszyniu.

W publikowanych w tygodniku analizach geopolitycznych „kwestia żydowska" zdaje się najważniejsza dla Europy (i świata): ważne państwa (Francja, Polska, Rumunia), osłabione obecnością Żydów – wyzyskiwaczy i komunistów (paradoksalnie to zbiory pokrewne, a nawet częściowo wspólne) – jak przewidują redaktorzy „Kroniki", nie będą w stanie obronić się przed Niemcami, a kraj ten – zgodnie z analizami – już wkrótce podpali Europę (i świat). Stąd postulat: Żydzi precz!

Ipohorski oczywiście podziela poglądy własnej gazety, ale bardziej niż dziennikarzem chce być poetą. Jego zdaniem poezja powinna zmieniać świat, poezja jest jak historia – ma wpływ na ludzi; poezja nie opisuje rzeczywistości – poezja ją kształtuje.

Skądinąd – to dygresja – nie były to odczucia w owym czasie szczególnie ekstrawaganckie. Przynajmniej do jakiegoś czasu podobnie uważali wychowywani na Słowackim, Norwidzie i Mickiewiczu niewiele młodsi przyszli poeci – powstańcy z pokolenia Kolumbów, ci z lewa – z „Płomieni" (Baczyński), jak i z prawa – ze Sztuki i Narodu (Gajcy, Stroiński) czy „Dźwigarów" (Bratny, Radzymińska, Stolarek).

Poezja to była wówczas poważna sprawa. I żadnej nie ma w tym zdaniu ironii.

1938

Dlatego w styczniu Zygmunt Ipohorski dzwoni do Antoniego Słonimskiego. Chce go ukarać. Za poezję. Podaje się za „młodego poetę", który chciałby porozmawiać, przedstawić się, pokazać. Słonimski się zgadza – trzeba pomagać.

W „Alfabecie wspomnień" napisze, że wybrał Ziemiańską, bo do domu aspirujących twórców wolał nie wpuszczać: nie wiadomo, ile ktoś taki będzie siedzieć, wyprosić przecież niegrzecznie, a młody zacznie jeszcze bez końca czytać swoje utwory... To już lepiej zaprosić chłopaka do matecznika skamandrytów przy ulicy Mazowieckiej. Niech przyjdzie i powie, co mu na sercu leży.

Przyszedł. Czekał już. Wstaje na widok wchodzącego Słonimskiego, rusza w jego stronę. Po drodze przewraca jeden, dwa stoliki. Cios, policzek.

2023

Podrywa się z krzesła, podbiega do mównicy, wyrywa ze statywu mikrofon, uderza nim parę razy o blat (jak werbel to brzmi), ciska na podłogę, rozbija. „Dość tego", mówi z wysilonym spokojem w stronę sali. Szarpie kable głośników i przewraca statywy kolumn. Odsuwa ramię, gdy ktoś próbuje go uspokoić. Podnosi dłoń w kierunku odepchniętego prelegenta, jakby wciąż jeszcze chciał go powstrzymywać.

Spogląda w stronę nagrywających na telefony komórkowe towarzyszy (pada kilka „brawo!", „brawo!"). Większość słuchaczy jest mu jednak niechętna. Mimo to patrzy z wyrazem triumfu, „proszę opuścić Polskę, natychmiast", odpowiada na wezwania do wyjścia. „Won! Won!", krzyczy. Gotowy na przemoc.

Żaden tam poeta. Poseł na Sejm Rzeczypospolitej, Grzegorz Braun.

Historia to poważna sprawa. Ważniejsza od prawdy nawet. I żadnej nie ma w tym zdaniu ironii.

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

Braun zrywa wykład prof. Jana Grabowskiego poświęcony „Polskiemu (narastającemu) problemowi z historią Holocaustu", czyli roli, jaką Polacy odegrali w Zagładzie. Wykład został gwałtownie zakończony po kilkunastu minutach. Miał trwać półtorej godziny. Być może prof. Grabowski miał mówić również o Zygmuncie Ipohorskim-Lenkiewiczu. Mógłby. Może nawet – pozwolę sobie na sugestię – powinien.

1941-1942

Łapanka albo aresztowanie przez gestapo „z listy": Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz 6 kwietnia 1941 r. trafia do Oświęcimia. Numer 12838. W archiwum Muzeum Auschwitz zachowało się zdjęcie przyjętego więźnia: przystojna twarz o ostrych rysach, oczy przenikliwe, błyszczące, jakby z gorączką, prosty nos, wydatne usta.

• **Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz w Auschwitz, kwiecień 1941 r. Spędził tu miesiąc.** FOT. ZE ZBIORÓW ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIMIU

W obozie spędza miesiąc. Zwolniony. Może pomogły przedwojenne artykuły, może pochodzenie, może partyjna przynależność, może znajomość francuskiego i niemieckiego. Może wszystko naraz. Zapewne również deklaracja współpracy.

Wraca do Warszawy. Zaczyna pracować dla niemieckiej propagandy. Pod pseudonimem pisze do gadzinówek. Jako „Ksiądz Józef Radliński" firmuje wydaną w wielkim nakładzie efektowną (kolorowa okładka) i niezwykle popularną broszurę „Księga losów Europy. Cudowne przepowiednie Nostradamusa".

Tłumaczony i interpretowany przez „Księdza Radlińskiego" mag, astrolog, doradca Katarzyny Medycejskiej (nieważne, że kabalista i Żyd) już w XVI wieku przewidział koniec Żydów („Jasnowidz francuski (...) nienawidził ich [Żydów] nie tylko jako morderców Chrystusa – wyjaśniał redaktor/tłumacz – ale przejrzał również, z przedziwną przenikliwością, złowrogą a zarazem żałosną rolę, którą Żydzi odegrali jako plaga Europy").

Nostradamus miał również wiedzieć o nadchodzącej „katastrofie bolszewizmu" i o tym, że powstrzyma ją „książę niemiecki", czyli Führer. Ten „młody lew" pokona nie tylko „spadkobiercę carów", czyli Stalina, ale i „starego lwa", czyli Anglię. Po tym zwycięstwie Hitlera i Niemiec zapanuje w Europie złoty wiek – 57 lat pokoju.

O tym, że Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz decyzją protektorów z gestapo zostanie dyrektorem literackim największego w Warszawie oficjalnie działającego podczas okupacji teatru, sceny Jar, Nostradamus nie wspominał.

1943

Często nazywany „teatrzykiem", Jar był olbrzymi. Na widowni w sali po przedwojennym kinie Splendid (później Sfinks) mogło się zmieścić 1300 widzów. Według historyków teatru działający od połowy 1943 r. Jar trzymał przyzwoity poziom artystyczny (w czasie okupacji często wystarczało do tego samo unikanie spektakli rewiowych i zatrudnienie zawodowych aktorów, tancerzy i muzyków). W ciągu roku istnienia pod kierownictwem literackim Ipohorskiego teatr dał 12 premier – głównie komedii muzycznych i operetek. Najsłynniejszy był spektakl „Sen nocy lipcowej" – czyli ocenzurowana wersja „Krakowiaków i Górali" Wojciecha Bogusławskiego.

Dyrektor Ipohorski próbuje spełniać się literacko – opracował jasełka, reżyserował, zaadaptował na scenę parę tekstów. Był również – można powiedzieć – konsekwentny w swej słabości do rękoczynów. Jak pisał „Nowy Kurier Warszawski", „dzięki staraniom Z. Ipohorskiego" na scenie w pasażu Luxenburga „udało się zorganizować pierwsze od czterech lat poważne zawody bokserskie" (wrzesień 1943). Przed parotysięczną publicznością (sprzedawano miejsca stojące) wystąpili wszyscy czołowi pięściarze (ci, którzy nie zostali zamordowani w Treblince lub nie byli akurat w Auschwitz). Komercyjny sukces przedsięwzięcia był olbrzymi.

Jednak jeśli chodzi o ambicje artystyczne, Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz już od paru lat zdawał się być człowiekiem głęboko poranionym.

1938

Po napaści na Słonimskiego koszmarny cios zadał działaczowi-poecie Julian Tuwim. Jeszcze jeden „polskojęzyczny Żyd", by użyć określenia z „ABC". W „Wiadomościach Literackich" opublikował tekst, wskazujący, że policzkujący Słonimskiego aspirujący poeta „z kretesem i doszczętnie skompromitował obóz, do którego należy (...), podkopał naczelny punkt programu swego stronnictwa tak gruntownie, tak głęboko i do samych korzeni, że najzaciętszy wróg idei przez ONR reprezentowanej nie zdobyłby się na celniejszy i boleśniejszy cios. Przyjaciele polityczni p. Ipohorskiego nigdy mu tego nie darują...".

Bynajmniej nie chodzi o atak w Ziemiańskiej – ten według Tuwima wspaniale wpisywał się w „modus operandi" faszystowskiej prawicy. Chodziło o... poezję. W „ABC" z listopada 1937 r. Ipohorski opublikował wiersz „Pierwszy śnieg":

„Powiał wiatr,/ powiał wiatr,/ o ziem prasnął liści złotem,/ bagno przeskoczył z chichotem,/ stuknął w szyby wiejskich chat./ Chłodny wiatr/ jesienny wiatr/ na drzemiące pola wpadł".

Tuwim pisze, że jakoś nieswojo mu się zrobiło po przeczytaniu tych strof, jakby skądś je znał, ich rytm i melodię. I atmosferę wiersza... Oznajmia: „Przecież to mleczny brat, może nawet rodzony mojego wiersza »Dwa wiatry«!".

„Jeden wiatr – pędziwiatr!/ Fiknął kozła, plackiem spadł,/ Skoczył, zawiał, zaszybował,/ Świdrem w górę zakołował/ I przewrócił się, i wpadł/ Na szumiący senny sad,/ Gdzie cichutko i leciutko/ Liście pieścił i szeleścił/ Drugi wiatr...".

Tuwim okrutnie ironizował, wpędzając autora „Pierwszego śniegu" w narożnik bez dobrego wyjścia: załóżmy, że to nie plagiat. Zatem co? Może narodowo-radykalny poeta rzeczywiście nie naśladuje umyślnie utworów „poczętych z mściwego ducha Talmudu" (tak „ABC" pisało o poezji Tuwima). Może zachodzi coś „znacznie dla pana Ipohorskiego i jego kompanów niebezpieczniejszego: to wpływ, nieświadome przejęcie się wierszem. Będę o tyle nieskromny, że powiem: poezją. Jeśli żydowską – straszna jest klęska biednego Ipohoracjusza. Jeśli polską – nie mniejsza".

2023

Atak posła Konfederacji podczas wykładu prof. Grabowskiego krytykują nawet ludzie utożsamiający się z prawą stroną sceny politycznej. Historyk Piotr Gontarczyk (autor ciekawej książki „PPR. Droga do władzy 1941-44"; miał po wykładzie merytorycznie polemizować z Grabowskim – przygotował źródła i notatki) mówi o Braunie: „Tego rodzaju karygodne występy (...), zamykanie możliwości dyskusji i rozmowy jest sprzeczne z elementarnymi zasadami nauki i cywilizowanego życia. (...) To jest po prostu barbarzyństwo". Nazywa występ Brauna „pokazem kompletnego zdziczenia".

1938

Sprawa jest głośna. Ipohorskiego za napaść w Ziemiańskiej potępiają nie tylko bliscy Słonimskiemu autorzy „Wiadomości Literackich", ale i duża część narodowców, publicystów prawicy i konserwatystów. Jedynie Polska Akademia Literatury przyjmuje dziwne, strusie stanowisko, ogłaszając, że... nie będzie publicznie zabierać głosu w sprawie „wypadku Słonimskiego w cukierni Ziemiańskiej". Pod uchwałą prezydium PAL podpisali się Wacław Sieroszewski i Juliusz Kaden-Bandrowski.

Ale inni głos zabierają i redaktor „Kroniki Polski i Świata" pod naciskiem własnego środowiska rezygnuje z funkcji (choć będzie dalej pisał w tygodniku, tyle że pod pseudonimem).

Komentując w felietonie wydarzenia w Ziemiańskiej, Antoni Słonimski zdaje się nie mieć do napastnika, który go policzkował, jakiegoś szczególnie intensywnego i nienawistnego żalu: „Przeczytałem w prasie endeckiej o tym, że zostałem skarcony za znieważenie narodu (...). Człowiek podlegający psychozie, fałszywie, a właściwie wcale nie rozumiejący mojego wiersza, wydał mi się tylko jakąś cegłą, czy kamieniem rzuconym w mroku". Również ponad 30 lat później w „Alfabecie wspomnień" Słonimski będzie dość wyrozumiały.

1943

Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz jest w delegacji na miejsce sowieckiej zbrodni w Katyniu. Niemcy intensywnie wykorzystują propagandowo mord tysięcy polskich oficerów. W delegacjach do odkrytych masowych grobów wiosną 1943 r. są oprócz przedstawicieli PCK i Rady Głównej Opiekuńczej publicyści, artyści, pisarze, naukowcy, są „delegaci robotników" i jeńcy specjalnie zwolnieni z niemieckich oflagów. Łącznie od ponad 50 do 60 osób. Prasę (nie tylko koncesjonowaną, ale i podziemną) obiegają sprawozdania z tych wyjazdów.

Ipohorski jest (prawdopodobnie) autorem pierwszych (anonimowych) tekstów o odkryciu grobów w Katyniu publikowanych przez gadzinowy „Nowy Kurier Warszawski". W wyjeździe towarzyszył m.in. Ferdynandowi Goetlowi, Józefowi Mackiewiczowi i Janowi Emilowi Skiwskiemu.

Niemcy liczą, że ujawnienie zbrodni i nadanie jej odpowiedniego kontekstu skłoni Polaków do współpracy, mówiąc w skrócie – do przyjęcia „opcji proniemieckiej" w obliczu walki z bolszewikami. Część publicystów (w tym Ipohorski, ale również np. bardzo znany przed wojną krytyk – antysemita Alfred Łaszowski) z przekonaniem przyjmuje ten punkt widzenia.

Dla dużej grupy polskich nacjonalistów ujawnienie Katynia było punktem granicznym, każącym zwrócić się ku Niemcom. Czasem z powodów doraźnie pragmatycznych („dzięki współpracy z jednym wrogiem pokonamy drugiego, którego można jeszcze pokonać"), czasem ideowych („zadaniem narodu jest szukać sobie dróg życia, a nie śmierci").

Obsesyjny antysemityzm i nacjonalistyczna, wykluczająca ideologia sprawiły, że współpraca z Niemcami stała się po szoku związanym z Katyniem wyobrażalna. Nie umniejszając wagi katyńskiej zbrodni (czy ludobójstwo da się stopniować lub porównywać?), w snuciu przez narodowców tych wyobrażeń nie przeszkadzało im „zniknięcie" jednej trzeciej mieszkańców polskich miast i miasteczek – obywateli RP.

Gdy gazety na pierwszych stronach publikują szerokie sprawozdania z ekshumacji w Katyniu, w Warszawie trwa powstanie kwietniowe – powstanie w getcie. Na rozlepianych wiosną propagandowych plakatach zbrodniarze z Katynia – bolszewicy

eprasa.pl 092e2a9ccb

mają twarze o karykaturalnie wyrazistych semickich rysach, jak twarz na afiszach filmu „Żyd Süss". I na okładce „Księgi losów Europy" Nostradamusa tłumaczonej i redagowanej przez „Księdza Radlińskiego".

1944

Wywiad ZWZ-AK interesował się Ipohorskim prawdopodobnie już w 1942 r. po wyjściu publicysty z Auschwitz. Gdy dziennikarz-literat zostaje dyrektorem Jaru, sypią się meldunki informatorów i żołnierzy podziemia. Część notatek zachowała się w zasobach IPN:

„Germanofil i materialista" – pisze źródło „Alfred"; „Właściciel »Jaru« został zmuszony [przez Niemców] do przyjęcia [Ipohorskiego] w charakterze dyrektora. Nie zauważono do tej pory, aby I.[pohorski] komukolwiek zaszkodził" – donosi „Hanna".

2 marca 1944 r. szerszy meldunek składa przełożonym z AK „Luty". Wywiadowca jest ostrożny w ocenach i sugestiach:

„Ipohorski na pewno pozostaje na usługach propagandy niemieckiej (...). Nie stwierdzono w świecie artystycznym aresztowań, które rzucałyby cień podejrzeń na Ipohorskiego. Istnieją głosy, że pozostaje on na usługach gestapo (...). Związek na pewno istnieje, jednak praca jego nastawiona jest nie na wywiad, lecz na sprawy innej natury, mającej związek z propagandą".

Dyrektor Jaru zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany przez podziemie, stale nosił przy sobie pistolet (nie robiąc z tego tajemnicy). Według wywiadowców mógł nawet mylić tropy, zostawiając na biurku w swoim gabinecie kartki, mające świadczyć o... współpracy z AK (zatem domyślał się, że w zespole teatru są ludzie podziemia).

1944

Wieczorem 25 maja Ipohorski wychodzi z teatru i razem z aktorką Barbarą Kostrzewską idzie pasażem w stronę placu Teatralnego. Dosięgają go kule. Dziewczyna, do której dyrektor smażył cholewki, prawdopodobnie wystawiła go żołnierzom oddziału dywersji bojowej z Żoliborza. Była wywiadowczynią i łączniczką AK (pseudonim „Maria"), narzeczoną jednego z żołnierzy, którzy trzy lata wcześniej zastrzelili aktora kolaboranta Igo Syma.

U wylotu pasażu Luxenburga do Ipohorskiego mógł strzelać członek żoliborskiego ODB – Zygmunt Zabierzowski, pierwowzór Zygmunta z powieści Romana Bratnego „Kolumbowie. Rocznik 20" (późniejszy trener słynnego kubańskiego biegacza Juantoreny).

Zygmunt Ipohorski umiera w szpitalu. Rodzina pochowa go na cmentarzu Bródnowskim.

Mimo dość łagodnych dla Ipohorskiego meldunków Wojskowy Sąd Specjalny prawdopodobnie uznał działalność propagandową za nie mniej szkodliwą niż wydawanie w ręce gestapo konkretnych osób. Zwłaszcza że publicystyka Ipohorskiego i jemu podobnych przyczyniała się do kainowych zbrodni: nacjonalistyczna frakcja w szeregach AK w połowie 1944 r. bez wyroków sądów dokonywała zabójstw pod pretekstem „narodowej jedności" i oczyszczania organizacji z „wpływów bolszewickich". W najsłynniejszym zamachu zginą szefowie akowskiego Biura Informacji i Propagandy – Ludwik Widerszal i Jerzy Makowiecki z żoną.

Cicha wojna domowa w szeregach podziemia, rozgrywająca się przed powstaniem sierpniowym, wciąż czeka na poważne historyczne opracowanie.

1947

Zygmunt Ipohorski, ambitny i agresywny działacz ONR-u, w końcu przejdzie do historii literatury. Niby zapomniany, znajdzie w niej jednak swoją małą półeczkę, wers, krzesełko. Zawdzięcza to Słonimskiemu, ale bezpośrednio – przede wszystkim Tuwimowi. Zostanie uwieczniony w arcydziele – w „Kwiatach polskich". We fragmentach poświęconych mizerii faszyzującej sanacyjnej II Rzeczypospolitej Tuwim napisze:

„Kiedy sztrabanclom z oenerii/ Miedziński składał ukłon dworski,/ A Słonimskiego bił w cukierni/ Plagiografoman Ipohorski".

(Bogusław Miedziński to przedwojenny marszałek Senatu).

1938

Atak na Słonimskiego Zygmunt Ipohorski tłumaczy tak (w „Kronice Polski i Świata"):

„»Dwie ojczyzny« to obelga rzucona w twarz Narodowi Polskiemu. Komentowanie tego wiersza jest całkowicie zbyteczne. Wystarczy go przeczytać.

Spoliczkowałem Antoniego Słonimskiego (...). Być może, że odruch ten nie był właściwą reakcją, uważałem jednak za niemożliwe, by obelga zawarta w wierszu przeszła A. Słonimskiemu bezkarnie".

„Po lewej stronie sali. Getto ławkowe w międzywojennym Wilnie". Natalia Judzińska bada antysemicki klimat międzywojennej Polski. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

Pod koniec 1938 r. oenerowska „Kronika" prowadzi kampanię na rzecz niewpuszczania i pushbacków Żydów przewiezionych przez Niemców na polską granicę w Zbąszyniu

***Emil Marat**

• autor m.in. nominowanego do Nike i nagrody „Juliusz" reportażu literackiego „Sen Kolumba" (2019). Razem z Michałem Wójcikiem napisał wywiad rzekę ze Stanisławem Likiernikiem „Made in Poland" (Nagroda Historyczna „Polityki" 2015). Ostatnio opublikował „Studnie Norymbergi" – dokumentalną powieść o żydowskich bojownikach z Wilna skupionych wokół Abby Kovnera. Na początku przyszłego roku w wydawnictwie Czarne ukaże się jego nowa książka – biografia Romana Bratnego. Tytuł tekstu – „Wyborcza".

2023

Poseł Konfederacji Braun uzasadnia zerwanie wykładu prof. Jana Grabowskiego:

„Wkroczyłem w stanie wyższej konieczności, bo za wyższą konieczność uważam kładzenie kresu tego typu prowokacjom wobec Narodu Polskiego. W momencie, kiedy znany notorycznie z antypolskiej, łajdackiej kontrfaktycznej, ahistorycznej propagandy osobnik zdecydował snuć narrację, w której jak zwykle w jego twórczości polscy patrioci zostali obsadzeni w roli czarnych charakterów. I ja temu przysłuchiwać się biernie nie zamierzam".

1938-2023

Antoni Słonimski, „Dwie ojczyzny"

„W twojej ojczyźnie karki się zgina/ Przed każdą władzą,/ Dla zwyciężonych – wzgarda i ślina,/ Gdy ich na rzeź prowadzą.

W twojej ojczyźnie, gdyś hołdy składał –/ Przed obce trony./ W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał,/ To krwią zbroczony.

W twojej ojczyźnie do obcych w wierze/ Bóg się nie zniża./ Moja ojczyzna świat cały bierze/ W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety –/ Tom w etażerce./ W mojej ojczyźnie słowa poety/ Oprawne w serce.

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty/ I noc bezgwiezdna,/ Jakże mnie wygnasz z ziemi ojczystej,/ Jeśli jej nie znasz?" ●

W odtwarzaniu życiorysu Zygmunta Ipohorskiego-Lenkiewicza pomogli mi pani Anna Jędrzejczyk z PAN, prof. Marek Zaleski z Instytutu Badań Literackich i pan Marek Teler, autor m.in. książki „Zagadka Iny Benity". Dziękuję – Emil Marat.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wasyl Stus*

Marek nieśmiertelny

W przededniu wszechzwiązkowego święta,
opuściwszy grób,
Marek wygrzebał się na świat,
wygładził ziemię,
żeby nikt nie dostrzegł ucieczki, wstąpił
do najbliższego komitetu partii,
założył strój służbowy
(wyfasował czerwone trzewiki z safianu,
niebieskie szarawary z czerwonym pasem
i koszulę z wyszywanym gorsem na całą pierś).
Musiał czymś przykryć
swoją łysą głowę,
ale nie znalazł nic stosownego,
tylko czapkę z młodego jelenia.
Nareszcie mógł świętować
dziesięciolecie własnej śmierci.
Machnął ręką,
postanowił przehulać
część zaoszczędzonych
składek członkowskich:
w delikatesach kupił butelkę moskiewskiej,
puszkę szprot w tomacie,
główkę cebuli
i pół bochenka żytniego chleba.
Napełniwszy siatkę,
wrócił na cmentarz,
wypił, zakąsił,
poleżał błogo na wznak
i udał się na uroczystość.

Świat obchodził setne
urodziny Włodzimierza Iljicza Lenina.

***Wasyl Stus** (1938-85) – ukraiński poeta, eseista, tłumacz. Rzecznik pojednania ukraińsko-polskiego. W czasach ZSRR działacz opozycyjny, członek ukraińskiego Komitetu Helsińskiego. W latach 1972-79 i od 1980 r. więzień łagrów. Zmarł w obozie pracy na Uralu.
Utwór za zbiorem: Stus, „Wesoły cmentarz. Wiersze wybrane z lat 1959-1971", przekład Marcin Gaczkowski, Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław-Wojnowice 2020.

eprasa.pl 092e2a9ccb

JAK GONIŁAM MAJĘ W SZWAJCARII

Będą widoki, pot i garść porad – maść na wymiona i co je Maja na śniadanie

Danuta Pawłowska

FOT. HANNA TOMASIEWICZ-ALEKSY

KTO, CO, GDZIE, KIEDY I PO CO

Umówiłyśmy się na babską rowerową wyrypę po szwajcarskich szutrach i asfaltach. Pod koniec sierpnia w siódemkę w trzy dni przejechałyśmy ponad 300 km, na gravelach i rowerach elektrycznych, od Vevey nad Jeziorem Genewskim do Lucerny nad Jeziorem Czterech Kantonów.

Peleton prowadziła Maja Włoszczowska – każdy wie, że to medalistka olimpijska i mistrzyni MTB, a ja jeszcze zdradzę, że obsługiwała dron i postprodukcję filmową na miarę Oscara (zajrzyjcie na jej Instagram). Za Mają jechała grupa pościgowa w składzie (kolejność alfabetyczna, bo dziewczyny zmieniały się na trasie): Dorota, znana w świecie rowerowym jako Mamba on bike, która kocha podjazdy; Ewa, czyli ministra kolarstwa i motywowania, która nauczyła mnie sekretnych znaków rowerzystów; Hanna, czyli lotna fotografka z magazynu „Szosa"; Joanna, polarniczka i specjalistka od wielu sportów, która wygrała ten wyjazd w konkursie „Gazety Wyborczej"; Marta, która wie wszystko o Szwajcarii dla aktywnych; oraz autorka niniejszej relacji, czyli grupetto – tak nazywani są kolarze, którzy nie wytrzymują tempa czołówki wyścigu. Maja powtarzała – jedziemy razem, zatrzymujemy się i czekamy na wszystkich. Dzięki, Maja!

PROLOG

Prolog to w słowniku kolarskim pierwsza część wieloetapowego wyścigu. Zacznijmy od tego, jak zorganizować sobie kilkudniowy rajd rowerowy po Szwajcarii. Nie trzeba targać sprzętu z Polski – na miejscu są wypożyczalnie (z każdym rodzajem i rozmiarem roweru), które jednocześnie zajmą się transportem naszych bagaży pomiędzy wyznaczonymi miejscami noclegowymi. Uwaga – w Szwajcarii nie można nocować na dziko.

Ten niewielki kraj ma 12 tys. km tras rowerowych – narodowych i regionalnych, dla porównania: słynne polskie Green Velo ma 2 tys. km. Można sobie wybraną trasę załadować np. do aplikacji w telefonie, ale nie jest to konieczne, bo szlaki są bezbłędnie oznakowane i nie sposób się zgubić. Zaleta apki – dostaniecie także garść informacji o mijanych po drodze atrakcjach, takich jak muzea i zabytki.

Masz opór przed rowerem elektrycznym? Niepotrzebnie, bo ten przyjazny i intuicyjny jednoślad jest bardzo popularny w górzystej Szwajcarii. Silnik nie wyręcza w pedałowaniu, ale ma kilka poziomów wspomagania – na najniższym energii wystarczy na jakieś 100 km – jest licznik i wszystko można na bieżąco obserwować, a przy najwyższym wsparciu przejedziesz połowę tego dystansu. Co zrobić, jak już świeci się rezerwa? Zatrzymać się na kawę i lody i podładować akumulator.

Trasa, którą testowałyśmy, to fragment narodowej Trasy Jezior – taką wersję wybrali w plebiscycie nasi czytelnicy. Szwajcaria ma dziewięć narodowych długodystansowych tras rowerowych. Pierwotnie zakładałyśmy, że w sumie będzie do przejechania 225 km, ale liczniki na koniec pokazały nam ponad 300 km. Kto nas tak urządził – czytaj dalej.

CO JE MAJA PRZED SETKĄ PO GÓRACH?

Pierwszego dnia chcę podejrzeć, jakie żele, wspomagacze i suple dla sportowców budują mistrzostwo. Maja na śniadania wybierała Bircher muesli, czyli owsiankę na soku jabłkowym z owocami, jajka i warzywa, a na trasę do sakwy zabrała bułkę z pomidorem i serem – i to nie byle jakim, bo z miasta, które dziś odwiedzimy. Wszystkie zrobiłyśmy sobie podobne drugie śniadanie. Przed startem jeszcze kontrola ciśnienia w oponach i sprawdzenie kasków – muszą leżeć równo i być ciasno zapięte.

Początek naszej trasy jest w Vevey – mieście, w którym Charlie Chaplin i Henryk Sienkiewicz spędzili swoje ostatnie lata. W dawnym domu Chaplina jest muzeum jego imienia. Region Vaud wybrał sobie do mieszkania także Freddie Mercury, w pobliskim Montreux jest jego pomnik. Nasz cel na przedpołudnie to Gruyères – miejsce powstawania aromatycznego sera, który robi się z mleka krów fryburskich.

Zaczynamy ostro w górę. Pierwszy podjazd z różnicą poziomów 500 m jest weryfikacją nas, sprzętu i szwajcarskiego asfaltu. Wszystko działa! W nagrodę z miasteczka Bulle mamy pocztówkowy widok na Lac Léman, czyli Jezioro Genewskie. Pali nas ostre słońce, więc popijamy wodę ze źródełka (gęsta sieć poideł dla bydła będzie nas ratować jeszcze wiele razy przed przegrzaniem i odwodnieniem) i puszczamy się w dół prosto do Gruyères. Żeby wjechać do miasta, kawałek jedziemy po ogólnodostępnej szosie. Ewa pokazuje mi gesty, które służą kolarzom do komunikacji, nie tylko ten powszechnie znany sygnalizujący skręty, ale także zamiar wyprzedzania, omijania i ostrzegania przed samochodami z naprzeciwka.

Na głównym placu pod zamkiem w Gruyères zjadamy nasze bułki i kupujemy lody. Co jeszcze miasto położone pomiędzy szczytami – Moléson i Dent du Chamois – oferuje turystom? Muzeum Hansa Rudolfa Gigera, malarza, twórcy m.in. postaci filmowego „Obcego".

Kolejne kilometry tego dnia wcale nie są łatwiejsze niż ten pierwszy podjazd. Pniemy się w stronę kurortu Gstaad, luksusowej wioski z drewnianymi chatami.

ZAPACH LUKSUSU

Czym pachnie Szwajcaria? Nie pieniędzmi. Zapach, który nam towarzyszył przez wszystkie dni pedałowania, to zapach suszącego się na słońcu siana, krów i sera, czyli esencja wiejskiej sielanki. Czy widziałyśmy luksus? Tak, ale inny, niż się spodziewałyśmy. Większość ludzi, których spotykamy, to albo rowerzyści, albo wędrowcy w górskich butach. Marta opowiada o parlamentarzystach z Berna, którzy podczas przerwy w obradach wychodzą wykąpać się w rzece Aare i schłodzić głowy – słusznie. W tym luksusie pierwszego dnia przejechałyśmy 90 km.

Drugiego dnia naszym celem jest miasto Spiez nad jeziorem Thun, sprawdzam w aplikacji – zapowiada się spokojne 60 km, z różnicą przewyższeń w górę tylko niespełna 700 m, ale w dół aż 1180 m. I tu właśnie nasze plany rozjechały się z rzeczywistością. Ale najpierw jedziemy po szutrach wzdłuż dzikiej rzeki Simme, którą przekraczamy kilkukrotnie przez drewniane mostki. Po drodze w źródełkach uzupełniamy bidony, a w kamiennych wannach z lodowatą wodą przygotowanych do pojenia krów chłodzimy głowy, nogi i karki. Gospodarze przy swoich domach wystawiają produkty dla rowerzystów, w pudełku po butach jest kasa, można się samemu obsługiwać – do wyboru są kawałki serów i czekolada, wszystko lokalne.

Kiedy już dojechałyśmy do turkusowego jeziora Thun, nie mogłyśmy się powstrzymać i wskoczyłyśmy do wody. Co za wspaniała nagroda po tych godzinach w pełnym słońcu. A jeziora wyglądają tu jak Malediwy, tylko lepsze – bo otoczone górami.

Jak się pływa w spodenkach kolarskich z wkładką piankową w kroku? Zupełnie normalnie. Techniczne koszulki wysychają błyskawicznie, ale „pieluchę" ze spodenek lepiej wycisnąć, zanim znów zaczniemy cisnąć na rowerach pod górę. Zaraz, pod jaką górę? Przecież już jesteśmy u celu. Po tej orzeźwiającej kąpieli Ewa i Marta zaordynowały, aby dokręcić jeszcze 60 km w stronę doliny Lauterbrunnen, Maja przytaknęła. Szkoda tu zostawić jakieś nieprzetestowane trasy. Drugi dzień zamykamy 120 km na liczniku.

FINISZ MASOWY

Pierwszym celem ostatniego dnia rowerowania jest Interlaken, miasto oddalone od Spiez o kilkanaście kilometrów – można ten dystans pokonać rowerem, statkiem lub pociągiem. Przetestowałyśmy te możliwości i każdą polecamy. Opcja z transportem publicznym jest prawie zawsze możliwa, a przydać się może na trudniejszych odcinkach z dużymi przewyższeniami. My wszystkie (no dobra, prawie wszystkie) przyznałyśmy, że taka alternatywa jest wspaniała – nie masz już energii, energii nie ma akumulator w rowerze, bolą kolano albo plecy – załaduj siebie i rower do pociągu, autobusu czy kolejki linowej.

Interlaken w Oberlandzie Berneńskim leży na równinie, między jeziorami Thun i Brienz, a kto tu dotarł, może cieszyć oczy widokiem na trzy potężne góry – Eiger, Mönch i Jungfrau. To mekka paralotniarzy, którzy startują z pobliskiej góry Niederhorn na prawie 2 tys. m n.p.m., a lądują na polanie w centrum miasta 1,5 tys. m niżej. My też zadzieramy głowy do góry – w ciągu kolejnych 5 km pokonamy różnicę wzniesień sięgającą 600 m, aby wspiąć się na przełęcz Brünigpass.

– To było mocne – powie na górze pierwsza z nas (nie muszę mówić, która to była). – Ale i moja mama by to pokonała.

Na wszelki wypadek nie drążyłam, czy na elektryku, czy na zwykłej kolarce. Potem było już tylko lepiej – wodospady, znów kąpiel w turkusowym jeziorze i wisienka na torcie – Lucerna, do której wpadłyśmy razem w finiszu masowym. Aby mieć równą setkę tego dnia, tylko Ewa dokręciła jeszcze kilka kilometrów wzdłuż jeziora.

Lucerna to Szwajcaria w pigułce, bombonierka z czekoladkami albo słynny scyzoryk, który ma wszystko, czego potrzebujesz. Są tu plaża, promenada, góry po 2 tys. m n.p.m., starówka z drewnianym mostem, który tonie w kwiatach, i muzeum transportu z dziesiątkami interaktywnych symulatorów.

DLACZEGO WRÓCIMY DO SZWAJCARII?

Ekipa odpowiadała mi tak: Po tych trzech intensywnych dniach pedałowania czuję, jakbym tu spędziła co najmniej tydzień – tyle było wrażeń i przygód, zmieniających się krajobrazów. Moja głowa odpoczęła w zielonym otoczeniu. Jest tu spójna architektura, brak chaosu i przekonanie, że nic z tego pejzażu nie trzeba wyrzucać. Fajnie, że spotkałyśmy rowerzystów i wędrowców, kajakarzy w różnym wieku. Dodajmy do tego jeszcze spontaniczne kąpiele w środku miasta w krystalicznie czystej wodzie – to rzecz nieznana nam wcześniej. Komu polecamy trasę, którą przejechałyśmy? Każdemu, bo w razie niedyspozycji jest opcja np. pociągu.

A ja się dowiedziałam od wytrawnych kolarek, że na otarcia podczas długiej jazdy pomaga weterynaryjna maść na krowie wymiona. Na wszelki wypadek nie drążyłam, czy one mnie wkręcają, czy to prawda jest. ●

Wyjazd zorganizowany przez Szwajcarską Organizację Turystyki MojaSzwajcaria.pl

eprasa.pl 092e2a9ccb

FOT. GETTY IMAGES

OPOWIEŚĆ O SPEŁNIONEJ KSIĘGOWEJ

Niech mi pani uwierzy, że te prace marzeń, w których wybrańcom płaci się za „pilnowanie" bezludnej wyspy, to przyjemność na nie więcej niż kilka tygodni.

Z BADACZEM SENSU PRACY **BARTŁOMIEJEM BRACHEM*** ROZMAWIA **ALICJA GARDULSKA**

Co to znaczy, że praca ma sens?
– Definicji jest tu niemal tyle, ilu badaczy. Według mojej praca ma sens, jeśli pomaga stać się kimś. I niekoniecznie musi mieć to związek z obowiązkami i zadaniami służbowymi. Chodzi o tożsamość, którą budujemy poprzez pracę. O osobę, którą chcemy się stać.

Opowiem pani o pewnej dozorczyni. Rozmowę z nią przywołuje dr Zach Mercurio, amerykański badacz sensu pracy. Kobieta po kilku miesiącach na emeryturze wróciła do pracy na uczelni. Nie chodziło ani o pieniądze, ani nawet o to, czym się zajmowała. Okazało się, że brakowało jej tego, kim w tej pracy była. Tam miała styczność z młodymi ludźmi, którzy przyjechali na studia z różnych, często odległych stanów. Niektórzy byli zagubieni, stęsknieni za domami, przestraszeni. Ale mieli ją – przyszywaną babcię, której mogli się poradzić, wypłakać, pożalić czy pochwalić. To z tej roli czerpała poczucie sensu swojej pracy. Czuła, że robi coś ważnego, że jest potrzebna.

Nie jest to odosobniony przypadek. Pamiętam z moich badań rozmowę z księgową, która zapytana o sens pracy opowiadała o relacjach ze współpracownicami. O tym, że czuje się pomocna, potrzebna, że potrafi, kiedy trzeba, rozładować sytuację, rozśmieszyć innych. Poczucie sensu przynosiło jej bycie ważnym członkiem zespołu. Ani słowa o rozliczeniach, PIT-ach, zestawieniach.

Wygląda na to, że poczucie sensu pracy jest bardzo subiektywne.
– I tak, i nie. Bo można wskazać wspólne tropy; co najmniej dwa są uniwersalne. Praca ma dla nas sens przede wszystkim wtedy, kiedy zaspokaja dwie potrzeby – kompetencji i pozytywnego wpływu. W tej pierwszej chodzi o to, żeby w tym, czym się zajmujemy, widzieć siebie, swoje talenty i umiejętności. Czuć, że ta praca jest jakaś, właśnie dlatego, że my ją wykonujemy. Zaprzeczeniem tego będzie sytuacja, gdy robimy coś, do czego się zupełnie nie nadajemy. W tej drugiej – potrzebie pozytywnego wpływu – ważne jest poczucie, że nasza praca wnosi coś pozytywnego. I to poczucie rzadko kiedy jest subiektywne, dowiadujemy się o tym najczęściej od innych, którzy to, co robimy, dostrzegają i doceniają.

Liczy się więc to, z kim pracujemy.
– Oczywiście. To dziś brzmi jak banał, ale przez długie lata badacze sensu pracy ignorowali kwestie relacji. Na przykład profesorowie Richard Hackman i Greg Oldham uważali, że na sens pracy składają się: znaczenie zadania (poczucie, że wykonywana praca jest istotna dla innych ludzi), tożsamość zadania (pracownik dostrzega wpływ swoich działań na końcowy produkt lub usługę) i różnorodność wykorzystywanych w pracy umiejętności.

Późniejsze badania pokazały, że ważne dla poczucia sensu nie jest to, co sami myślimy, ale co mówią o naszej pracy inni. Podam ekstremalny przykład. Z moich badań wynika, że poczucie sensu pracy, niezależnie od wykonywanych zadań, jest istotnie niższe, gdy tego, co robimy, nie cenią nasi rodzice i bliscy. Teksty w stylu: „synu, powinieneś robić coś innego, miałeś zadatki na więcej", naprawdę wpływają na to, jak postrzegamy swoją pracę.

A stąd już o krok od stwierdzenia, że w poczuciu sensu pracy chodzi tak naprawdę o role i tożsamości, które praca pozwala lub których nie pozwala nam odgrywać.

Co to właściwie znaczy?
– Przede wszystkim to, że podejmując pracę, tworzymy na własny użytek pewną wizję siebie – trochę tak, jakbyśmy odpowiadali na pytanie: kim dzięki tej pracy będę. Tak jak przywołana dozorczyni chciała być przyszywaną babcią, a księgowa ważnym ogniwem zespołu. Jeśli to, co robię, pozwala mi odgrywać tę rolę, pojawia się poczucie sensu.

Jak silna jest perspektywa roli i tożsamości, możemy się przekonać, kiedy rodzi nam się dziecko. Wówczas – częściej dla matek, ale też nierzadko dla ojców – kluczową rolą staje się bycie dobrym rodzicem. A praca ma sens tak długo, jak długo na to pozwala, czyli m.in. nie wysysa całej energii, nie zmusza do zostawania po godzinach, nie obciąża zbyt mocno emocjonalnie itd.

To pokazuje, jak poczucie sensu może być luźno powiązane z oceną samych zadań. Jednocześnie jak silnie wiąże się z tym, kim jesteśmy, również poza pracą.

A kiedy już mamy poczucie, że nasza praca ma sens, to jesteśmy szczęśliwi?
– Właśnie niekoniecznie. Psychologowie, na przykład prof. Shigehiro Oishi z Uniwersytetu Chicagowskiego, uważają, że dobrostan człowieka ma trzy wymiary: poczucie szczęścia, poczucie sensu i różnorodność doświadczeń. Ale nie muszą się dziać jednocześnie.

Szczęście, rozumiane jako zadowolenie czy odczuwanie pozytywnych emocji, dla poczucia sensu nie jest potrzebne. Ten paradoks świetnie ilustrują badania nad opiekunami zwierząt w zoo przeprowadzone przez Stuarta Bundersona i Jeffreya Thompsona. Obraz pracy, jaki się z nich wyłania, jest bardzo przykry. Opiekunowie zwierząt to osoby chronicznie przemęczone i sfrustrowane. Ich praca jest fizycznie wymagająca, bywa niebezpieczna i – co tu dużo mówić – śmierdząca. Odbywa się w niewdzięcznych godzinach – bo przed zamknięciem zoo lub po nim. Czy to ich unieszczęśliwiało? Tak. A mimo wszystko ci ludzie twierdzili, że ich praca ma głęboki sens. Kto inny, jeśli nie oni, zadba o dobro zwierząt zamkniętych w klatkach? Szczęście i sens to dwie zupełnie inne perspektywy patrzenia na pracę. Różnią się w wielu wymiarach, na przykład postrzegania czasu.

Szczęście czuje się tu i teraz.
– Tak. Natomiast poczucie sensu nas z tego „tu i teraz" wyciąga. Odpowiedź na pytanie, czy mogę dzięki pracy czuć się np. przyszywaną babcią albo dobrym rodzicem, wymusza przyjrzenie się i ocenę doświadczeń z ostatnich miesięcy, a nawet lat. A nie poddanie się emocji chwili.

Mam problem z tym, że ludzie tak wiele uwagi poświęcają poczuciu szczęścia. Uważają, że jeśli coś nie sprawia przyjemności, to jest niedobre i należy od tego uciekać. Byle szybko i byle daleko. Jako badacz sensu pracy zachęcam do czegoś odwrotnego – żeby nauczyć się doceniać te momenty, kiedy dalecy jesteśmy od poczucia szczęścia. Jak pokazują badania prof. Catherine Bailey, poczucie sensu pracy jest silniejsze, jeśli zmagamy się z czymś, co nie jest łatwe, również emocjonalnie. Badane przez nią pielęgniarki twierdziły, że największy sens swojej pracy czują wtedy, kiedy trwają u boku umierającego pacjenta i dzięki temu jego ostatnie chwile są bardziej znośne. Dążąc do tego, żeby zawsze było miło i przyjemnie, odbieramy sobie coś bardzo ważnego, także w pracy.

Porozmawiajmy o bezsensie pracy. Dziesięć lat temu prof. David Graeber wywołał burzę felietonem „O fenomenie gównianej pracy". Postawił w nim tezę, że znacząca grupa ludzi nie widzi żadnego sensu swojej pracy – są przekonani, że ich stanowiska można by zlikwidować.
– Rzeczywiście istnieje grupa ludzi, która wykonuje nikomu niepotrzebną, „gównianą" pracę. Te osoby uważają, że gdyby z dnia na dzień nie przyszły do pracy, nikt by tego nie zauważył i nikt by na tym nie ucierpiał. Potwierdzają to liczne świadectwa ludzi, którzy pisali do profesora po publikacji jego felietonu, przedrukowanego w kilkunastu państwach. W 2018 roku na ich podstawie Graeber wydał nawet książkę „Praca bez sensu".

Jest tam opowieść recepcjonisty, którego niemal jedynym zadaniem jest pilnowanie, by na talerzyku przy wejściu do firmy nie brakowało miętówek.
– To bardzo jaskrawy przykład braku użyteczności wykonywanej pracy. Mam problem z podejściem Graebera, bo według moich badań poczucie bezsensu wcale nie ogranicza się tylko do osób, które wykonują pracę społecznie bezużyteczną.

Jeden z moich badanych, dyrektor komunikacji, chciał się stać wewnętrznym ekspertem, który podniesie poziom PR firmy. Tymczasem jego przełożony był osobą tak silnie kontrolującą i oczekującą, że podwładni będą robić wszystko według jego wytycznych, że mężczyzna po kilku miesiącach zorientował się, że jest tylko przedłużeniem ręki szefa. Wówczas poczuł bezsens wykonywanej pracy. Nie trzeba wykonywać pracy, która jest totalnie bezużyteczna, żeby mieć poczucie, że jest bezsensowna. Wystarczy, że jest ona zaprzeczeniem roli, którą chcieliśmy odegrać. Jeśli podejdziemy do problemu w ten sposób, to okaże się, że pracę za bezsensowną uważa znacznie więcej osób. W Polsce to 27 proc.

Z pana badań wynikało też, że w porównaniu z pracownikami z Zachodu Polacy rzadziej skarżą się, że ich praca nie ma sensu. Ale przestrzega pan przed popadaniem w hurraoptymizm.
– Pytanie, dlaczego rzadziej uważamy, że nasza praca jest bezsensowna, choć według rzetelnych, europejskich badań warunki pracy w Polsce są zdecydowanie gorsze niż te w Europie Zachodniej. Nie jestem tego pewien, ale za tę rozbieżność może odpowiadać kwestia oczekiwań wobec pracy.

Mówiłem o tym, że praca, która ma sens, to taka, w której możemy stać się kimś. To bycie kimś może przybierać bardzo róż-

eprasa.pl 092e2a9ccb

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

ną formę. Może być relatywnie łatwe lub trudne do osiągnięcia. Jeśli moje bycie kimś oznacza bycie ważnym ogniwem zespołu, to nie potrzeba wiele, żeby tak się stało. Wystarczy, żeby koledzy i koleżanki doceniali mój wkład we wspólną pracę. Natomiast jeśli czuję, że moja praca ma sens, kiedy jestem change makerem – zmieniam firmę, a czasem świat – to jest nieskończenie trudno to oczekiwanie zaspokoić. Do tego trzeba rzadkiej konfiguracji: umiejętności, silnej władzy, sprzyjającej kultury organizacji i niekiedy presji z otoczenia firmy.

Tą różnicą w oczekiwaniach tłumaczyłbym częstsze poczucie bezsensu w Europie Zachodniej. Tam oczekiwania wobec pracy wydają mi się dużo bardziej rozbudzone.

Poczucie bezsensu bywa groźne. Graeber pisał, że nawet te osoby, które nic nie robiły i miały wysokie pensje, były skrajnie nieszczęśliwe.

– Żeby lepiej zrozumieć ten paradoks, przyjrzyjmy się dzieciom. Kiedy dziecko zrzuca coś ze stołu, to wcale nie cieszy się z tego, że coś wylało albo że zirytowało rodziców. Śmieje się, bo widzi, że swoimi działaniami oddziałuje na świat. Ruch jego rąk pozwala zmienić położenie talerza.

Ta potrzeba oddziaływania zostaje z nami na całe życie. Tak się składa, że praca jest jedną z niewielu aktywności, które pozwalają nam mieć zauważalny wpływ na rzeczywistość. Dlatego wykonywanie pracy, która nie ma żadnego przeznaczenia, niczego nie generuje, nie zmienia, jest niszczące psychicznie. Już Fiodor Dostojewski to zauważył: chcesz złamać człowieka, każ mu przez cały dzień kopać rowy i wieczorem je zasypywać. I tak codziennie. Człowiek poświęca swój czas, życie, a ma poczucie, że nie robi nic pożytecznego. Długotrwałe trwanie w przekonaniu, że jesteśmy społecznie bezużyteczni, jest rujnujące. Może prowadzić do obniżonej samooceny, depresji i innych zaburzeń psychicznych. Nie jesteśmy jako ludzie stworzeni do tego, żeby robić coś, co niczego nie wnosi. Niech mi pani uwierzy, że te „prace marzeń", w których wybrańcom płaci się za „pilnowanie" bezludnej wyspy, to przyjemność na nie więcej niż kilka tygodni.

W książce „Pomiędzy sensem a bezsensem pracy" opisuje pan, jak szef może doprowadzić człowieka, który widzi sens w swojej pracy, do poczucia bezsensu.

– Tą książką chciałem trochę przebić balon samozachwytu szefów. Wiemy z licznych badań, że sam fakt posiadania władzy, na przykład na stanowisku menedżerskim, podnosi samoocenę i pompuje ego. Jakby osoby obdarzane władzą musiały znaleźć uzasadnienie, dlaczego to właśnie one awansowały. Mówią więc sobie, że coś w nich musi być – są jakoś lepsze od innych, mają rzadkie kompetencje i cechy predestynujące je do zarządzania. Jednocześnie badania kompetencji menedżerów pokazują, że – przynajmniej w Polsce – to dobre mniemanie jest często bezpodstawne. Polscy menedżerowie uważają, że są dobrymi szefami, ale ich umiejętności i zachowania wskazują na coś innego.

Pracownicy odczuwają tego konsekwencje. Nie wiem, czy choć raz usłyszałem, by ktoś z badanych powiedział: „praca nie miałaby dla mnie sensu, gdyby nie mój szef". Jeśli na kogoś wskazujemy, to raczej na współpracowników, klientów czy pacjentów, ale nie na szefów! Szef pojawia się w opowieściach jako ten, który sens raczej odbiera, niż nadaje.

Dlaczego tak się dzieje?

– Najciekawsze jest to, że menedżerowie wcale nie robią tego celowo, raczej to kwestia tego, że tracą z oczu pracowników i ich potrzeby. Mamy więc menedżerów, których nazywam stoperami. Zachowują się tak, jakby w roli menedżera liczyło się tylko wypełnienie czasu podwładnych zadaniami i dbanie o ich sprawne wykonywanie. Przypominają dawnych ekonomów w majątkach ziemskich, którzy stali nad pracownikami i patrzyli, czy wystarczająco szybko sieją, uprawiają czy zbierają plony. Ważne jest tylko, żeby praca była dowieziona na czas. Nic więcej ich nie interesuje.

Inny typ to panowie. Ci patrzą na wszystko z perspektywy własnych korzyści. Cokolwiek by robili, ma to ich przybliżać do awansu albo poszerzać władzę. A ponieważ tą trudno się nasycić, to nieprzerwanie ją akumulują w swoim księstewku. Ich podwładni często, jak Graeberowy recepcjonista, nie mają wiele do roboty, bo potrzebni są przede wszystkim do tego, by ich szef mógł czuć, że zarządza licznym działem i dużymi budżetami.

Obie postawy menedżerów są uzasadnione – organizacje to byty polityczne, więc walka o władzę jest ich nieodłączną częścią. Trudno sobie wyobrazić, żeby menedżer miał jej nie podejmować. Problem zaczyna się jednak wówczas, kiedy przestaje widzieć cokolwiek poza władzą czy poza wykonywaniem zadań. To sytuacja, w której o utratę sensu pracy u podwładnego bardzo łatwo.

Więcej niż jedna czwarta Polaków uważa, że ich praca nie ma sensu

Opisuje pan, jak to się dzieje, w pięciu krokach.

– Ta utrata sensu pracy to dla pracowników niespodziewane doświadczenie, bo często nic tego nie zapowiada. Wręcz przeciwnie, w opowieściach moich badanych poczucie bezsensu zawsze było poprzedzone poczuciem sensu. Nawet jeśli złudnym. Na przykład jeden z moich badanych, młodszy analityk w banku, „był przekonany, że będzie mógł się wykazać, zrobić wszystko na tip-top", a inni pracownicy będą doceniać jakość wykonywanej przez niego pracy. To przekonanie, że mógł się stać poprzez pracę dobrym analitykiem, było w jego przypadku tak silne, że przez długi czas ignorował fakt, że jego przełożona specjalnie się nie interesuje jego projektami, a z organizacji nie dostaje żadnego feedbacku. Dopiero po jakimś czasie zaczęło do niego docierać, że w zasadzie nikt od niego niczego nie wymaga, a jego szefowa jest ową panią, którą interesuje powiększanie księstewka. Jego zadaniem jest po prostu coś robić i odgrywać rolę jej podwładnego.

Dla niego było to trudne do przyjęcia, wręcz niewiarygodne. Spodziewał się, że jego wysokiej klasy algorytmy zostaną dostrzeżone i docenione. Zanim jednak to sobie uświadomił, konsekwentnie usprawiedliwiał szefową. Wolał myśleć, że jest zajęta i że nie ma uwag do jego pracy, niż dopuścić do siebie myśl, że przełożona ma go za nic.

Po pewnym czasie coś w nim pękło. Zaczął zadawać sobie pytania: „Czy moja praca powinna tak wyglądać?"; „Czy w takiej roli chciałem się znaleźć?"; „Czy moje potrzeby są w ogóle brane pod uwagę?". Im dłużej je sobie zadawał, tym silniej docierało do niego, że staje się kimś, kim nigdy nie chciał się stać – osobą, która liczy się tylko jako pozycja w headcouncie szefowej.

Podobnych przypadków było więcej. Jedna z moich rozmówczyń zastanawiała się, co się działo z prezentacjami, które tworzyła. Szefowa co chwilę zlecała jej a to nową analizę tego, a to opracowanie rozwiązań tamtego. Podwładna dopytywała: „Ale co robimy z tą prezentacją?". Słyszała zawsze: „Przyda się". Po czasie dowiedziała się, że szefowa lubi być przygotowana na wypadek, gdyby ktoś wyżej zapytał ją o zdanie na dany temat. Zlecała analizy na zapas, żeby móc odpowiedzieć: „my już się nad tym zastanawialiśmy, widzimy to tak". Nic z tego nie zostało użyte czy wdrożone. Pracownica zajmowała się wyłącznie budowaniem wizerunku szefowej, choć nie została zatrudniona do takiej roli.

W obu tych przypadkach mamy do czynienia z przejściem przez te same pięć etapów: przekonanie o sensie pracy, zachowania przełożonego niezgodne z oczekiwaniami pracownika, pracownik zaczyna szukać dla nich interpretacji, a kiedy tej nie znajduje i zaczyna rozumieć swoje położenie, pojawia się poczucie bezsensu. Pracownik zamiast „być kimś", jest „kimś innym", czasem „nikim", a czasem „narzędziem" w rękach przełożonego.

I co wtedy?

– Są trzy drogi. Pierwsza to wycofanie się – taktyka użyteczna krótkoterminowo. Moi badani w odpowiedzi na poczucie bezsensu starali się zdystansować od pracy, odciąć. Niektórzy mówili, że stawiają ścianę między tym, kim są, i tym, co w pracy robią. Choć w pracy są fizycznie obecni, to mentalnie są daleko od niej. Angażują się w zadania tylko na tyle, by wykonać je poprawnie.

W końcu jednak musieli zadać sobie pytanie, czy na pewno chcą w tej sytuacji trwać. Część decydowała się odejść z pracy. Poszukać takiej, w której jednak będą kimś. Na szczęście rynek pracy jest chłonny, więc to nie był dla nich wybór między pozostawaniem w poczuciu bezsensu w pracy a bezrobociem. Jeśli jednak decydowali się zostać, to nie pozostawali w pracy bezczynnie. Starali się ją albo zmienić, albo zredefiniować.

Próbowali to zrobić na kilka sposobów. Z jednej strony zmienić myślenie o tym, co robią. Jeśli nie udało im się odegrać oczekiwanej roli, próbowali znaleźć inną, która na nowo nada pracy sens. Z drugiej strony próbowali zmienić zakres swoich obowiązków. Ale nie było to łatwe. W dużej mierze zależy to od tego, na ile firma pozwala i daje przestrzeń, żeby zredefiniować swoje obowiązki zawodowe. Im firma jest bardziej ustrukturyzowana i zbiurokratyzowana, tym trudniej o przestrzenie, w których można sobie wykroić coś interesującego.

Czy w badaniach nad sensem pracy ważna jest zmiana pokoleniowa? Młodzi bardziej chcą czuć, że ich praca ma sens?

– Poczucie, że to, co robię, ma sens, że staję się kimś poprzez pracę, to tak samo ważna potrzeba dla dwudziesto- i pięćdziesięciolatka.

Ale pokolenia mają znaczenie z innych względów. Zmieniają się oczekiwania wobec pracy, inne są definicje tego, co to znaczy stać się kimś poprzez pracę. Często mówi się, że młodzi z wielkich miast są „roszczeniowi". O tyle są, że uważają, że praca powinna dawać im możliwości bycia kimś w pracy i poza nią. Młodzi, szczególnie w dużych miastach, chcą, by praca miała też wartość dodaną, np. żeby pozwalała być częścią ekipy, która robi coś dobrego dla środowiska czy społeczności lokalnej. Jednocześnie chcą mieć jeszcze przestrzeń na życie poza pracą, bo uważają, że także te pozazawodowe role są wartościowe.

A czy na to, co myślą młodzi, mają wpływ kryzysy? Ostatnie czasy to pandemia, potem wojna w Ukrainie, szalejąca inflacja, niestabilność gospodarcza.

– Widać bardzo silną zmianę, którą wywołał COVID-19. W badaniach z 2018 roku, sprzed pandemii, dano młodym do oceny różne ogłoszenia o pracę. Jedne były tak zredagowane, żeby podkreślić, że praca daje poczucie sensu, drugie były tego elementu pozbawione. Sprawdzano, co wybiorą młodzi i ile taka praca pozbawiona sensu musi być warta, by się na nią zdecydowali.

W czasach stabilności i relatywnego dobrobytu młodzi byli w stanie zgodzić się na naprawdę niskie zarobki, by robić coś, co da im poczucie sensu. Podobne badania, wykonywane po wybuchu pandemii, pokazują, że preferencje młodych się zmieniają. Postawa, że ktoś byłby w stanie zrezygnować z pewnej części wynagrodzenia tylko po to, żeby jego praca służyła społeczeństwu, jest dużo rzadsza. Teraz młodzi mówią: „kasa jest ważna". Mamy niestabilną sytuację gospodarczą, inflację, drogie mieszkania. Chcą zarobków, które pozwolą godnie żyć. Dalej deklarują, że sens pracy jest ważny, ale nie jest to deklaracja bezwarunkowa. Dużo większy odsetek badanych stoi na stanowisku, że jest w stanie przez jakiś czas ścierpieć bezsensowną pracę, bo takie są czasy. Co ciekawe, ta postawa jest dużo silniejsza u osób, które dopiero wchodzą na rynek pracy – u studentów. To przesunięcie jest dużo mniej widoczne u osób, które już mają jakieś życie zawodowe.

Pomaga pan też w odnajdywaniu sensu pracy firmom. Menedżerowie już wiedzą, że to tematyka, którą warto się zajmować?

– Raczej nie wiedzą, że warto. Muszę ich dopiero przekonać. Na szczęście mogę to robić na podstawie trudnych do podważenia wyników badań. Jeśli powie się menedżerom, że poczucie sensu pracy jest powiązane z zaangażowaniem, z przywiązaniem do pracy i satysfakcją – to momentalnie ma się ich zainteresowanie.

Tylko że tu nie ma prostych recept. Nie ma wytrychu w stylu: skróć czas pracy, daj benefity, wymień krzesła na nowe, daj wszystkim 500 zł podwyżki itd. Trzeba podejść do każdego pracownika indywidualnie. Menedżerowie muszą się nauczyć rozmawiać o pracy i rozumieć role i tożsamości, które pracownicy poprzez pracę nazywają. Kiedy już się tego nauczą, okazuje się, że rozwiązanie problemu sensu i bezsensu bywa prostsze, niż mogło się wydawać. ●

* **Bartłomiej Brach** – badacz sensu pracy. Doktor nauk o zarządzaniu i wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim. Doradca biznesowy.

OGŁOSZENIA

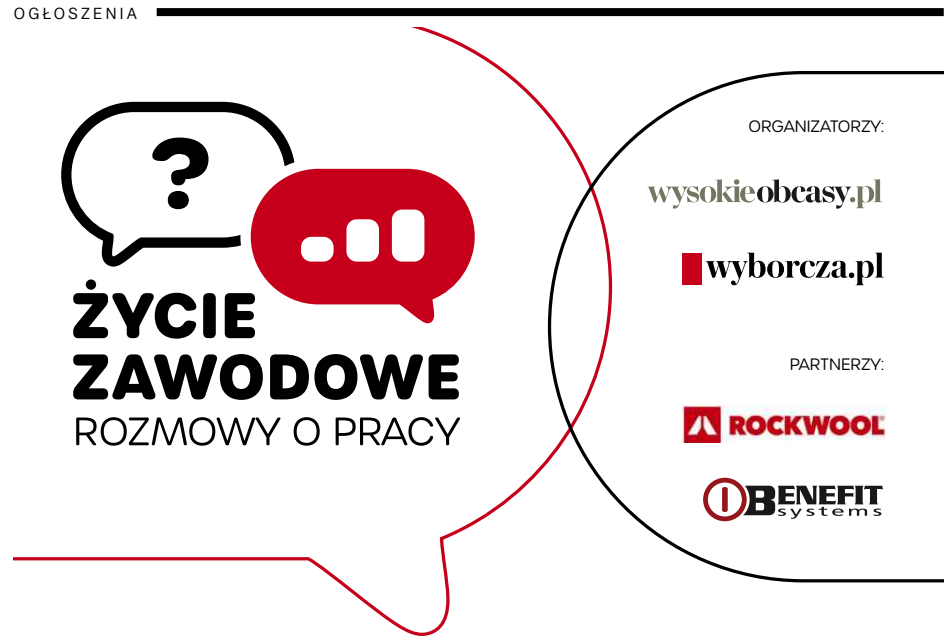

34262763

eprasa.pl 092e2a9ccb

ŚLAD PO ZĘBACH NA STOLE

MeToo miało wroga, ale bez twarzy, aż dostało moją. Skonsolidowałem ruch

Z PISARZEM **JANUSZEM RUDNICKIM*** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Więc to jest ten balkon, na którym piszesz?
– Ten. Tu zawsze pierwszy papieros, pierwsza kawa, i pod powiekami ten sam seans. Za każdym razem puszczam sobie film, takie klisze z pamięci, i widzę, co robi teraz każdy z moich bliskich. Znam ich mieszkania, patrzę, jak po nich chodzą. Widzę, co robić może brat, też pali na balkonie przy kawie, parę ulic dalej mama tłucze garami, już rano gotuje obiad.

Przecież mama nie żyje.
– Co z tego, na swoim balkonie to ja jestem panem życia i śmierci.

No to co jeszcze widzisz?
– Widzę synów w Hamburgu, jeden ubiera dziecko, drugi idzie do pracy, no i Ewę widzę, żonę byłą, ale co z tego, na balkonie, to wiesz, to ja jestem szefem czasu. Ubiera się, zaraz pojedzie do jej stareńkiego ojca, gotować będzie, sprzątać, życie za życie, on jej dał, to ona mu teraz to swoje oddaje. Widzę też inne kobiety... Ale to jest temat, który wymaga podania moich danych wrażliwych... Niektóre skrzywdziłem, odchodząc od nich. Wiem, jaki to ból, bo sam też go doświadczyłem, i nie wiem, kurwa, co gorsze, porzuconym być czy tym, który porzuca? Chyba jednak to pierwsze. Bo to drugie to jak operacja na otwartym sercu, bez znieczulenia. I żyje się z tym jak z kulą u nogi. Mam dwie takie, u dwóch nóg. A ciało w gipsie, tak się często czuję. Życiorys w gipsie.

Sądzę, że kobiety to temat drażliwy. Nie uszło ci płazem.
– Płazem... Napisałem niedawno, że życie mi płazem uszło. Ale jakoś dojechałem do wczesnej starości. Jeszcze trochę i będę w ostatnim przedziale wiekowym, wtedy sprzedam się na części, coś po mnie zostanie.

Ja nie o tym.
– O tamtym chcesz?

Udawanie, że tamtego nie ma, nie jest najlepszym pomysłem. Dotknął cię środowiskowy ostracyzm. Nie towarzyski, ale oficjalny.
– Dotknął, ale nie wiem, czy aż do żywego. Z jakichś tam szkół wycofano „Można żyć" jako lekturę, ale szybko o tym zapomniałem.

Festiwale literackie?
– Skrzętnie omijany. Byłem wcześniej persona, to teraz mi doszło non grata. Ale wiesz, naczytałem, nagadałem się tyle, że już wystarczy, już chętnie zszedłem do szatni w tej sztafecie pokoleń. Poza tym, nie wiem, ja bym już chyba nie umiał mówić do ludzi, to trzeba przepadać za sobą samym, a ja do siebie samego stosunek mam ostro przerywany. Ja się źle czuję w osobie własnej.

Doprawdy?
– Ten głos jak przez szmatę, ta powierzchowność moja, no weź, jak jakiś gacek z rodziny mroczków. I świadomość tego mnie krępuje, a jak jestem skrępowany, to nie umiem być elokwentny, i to mnie jeszcze bardziej krępuje, więc czułbym się jak w kaftanie bezpieczeństwa. I jeszcze coś, pamięć mi sobie siada, wylatują mi z głowy nazwiska na przykład, jak jakieś ptaki, frrr, i nie ma ich, więc jak? Cytuję na scenie kogoś i nagle zapominam kogo? Dziury w tej pamięci już jak leje po bombach. Chyba w spadku po mamie, brat ma podobnie.

Chcesz powiedzieć, że i teraz, mówiąc tak szybko i tak dużo, językiem literackim, jakim ludzie zwykle ze sobą na balkonie nie rozmawiają, zagadujesz skrępowanie?
– Skrępowanie? Powód raczej prozaiczny, kawa. Ja po niej unoszę się do góry jak helikopter, słowa robią za skrzydła. No i może to, że im więcej będę mówił, tym mniej będziesz pytać.

Przecież przyszłam tu nie po to, by pluć pestkami z czereśni.
– W dodruku „Człowieka na rondzie" dojdzie na końcu zdjęcie, ja, czereśnie i ta książka, na ulicy.

Dodruk? Bez recenzji w pismach literackich i społecznych?
– No tak, do tej pory tylko w „Wyborczej", Nowacki w „Książkach", a, i jeszcze coś wcześniej w „Odrze" było. Ale co tam taka recenzja jedna z drugą w porównaniu z, dobra, użyję tego słowa, z polecajką w sieci? Z impresją literacką Grzegorza Małeckiego, ze wzmianką chociażby i zdjęciem okładki Patrycji Markowskiej z ojcem, z zabawnym zdjęciem Maćka Stuhra i postami Hołdysa? Oni ze swymi zasięgami, dla mnie niebotycznymi, dmuchnęli mi w nakład tak, że recenzja prasowa to mały, ledwo widzialny pikuś. Tak, tak, Wodecka, tak to się porobiło.

Więc dzięki nim będę stał z workiem czereśni pod słupem ogłoszeniowym z plakatem zapowiadającym książkę Remigiusza Mroza. Pod tym, co widać z balkonu, jak się postarasz.

A ojca stąd widzisz?
– Pamiętam go z dwóch scen, po pierwszej komunii w kiosku z piwem kupił mi jakieś tam cukierki. Mordęga otwierania papierka, plucie nim, pamiętasz? A drugi raz? Przyszedł do nas, ale byłem chyba sam, i on, przedstaw sobie, ściągnął wszystko ze stołu, przykucnął, chwycił blat w zęby i ten stół podniósł. Chwaliłem się tym na podwórku, ale nikt mi nie chciał wierzyć.

Ja też nie bardzo ci teraz wierzę.
– Ja to chyba napisałem kiedyś, że jedyne, co mi po nim zostało, to ślad po jego zębach na stole. A na pogrzebie zapytałem mamę, czy mam płakać, a ona powiedziała, jak chcesz, wybrałem, że nie chcę.

Opowiadała ci o nim?
– Niewiele. Pisałem w którymś z „Życiorystów", że jestem dzieckiem węgla. Ojciec był żołnierzem, stał na warcie, mama mieszkała z rodzicami blisko koszar i z tych koszar kradła węgiel. I ojciec któregoś wieczoru zawołał ją przez płot, ona podeszła, powiedział, że ją często widuje, przedstawił się, jestem Tadeusz, i wyciągnął przez ten płot między tymi metalowymi prętami rękę, a mama nie. Mama miała ręce założone do tyłu, powiedziała, Wiesława jestem, ale ręce dalej z tyłu. Na pierwszej randce powiedziała mu dlaczego, czarne je miała i on by się domyślił, a on na drugą randkę wiesz, co jej przyniósł? Wiadro węgla.

Też byłeś ojcem nieobecnym?
– Och, znowu dane wrażliwe. Pierwszy syn, Michaś, kiedy miał trzy, cztery lata, to ojca widział z dwa, trzy razy w czasie prawie roku. Na widzeniach widział, w zakładzie karnym w Nysie. A drugi syn, Jan, Janik, ojca przestał widywać w Hamburgu codziennie, ponieważ ojciec tenże sobie poszedł w dal. Przy czym kontakt został bardzo intensywny, a potem zrobiło się tak, żeśmy się z Ewą, z żoną, zakumplowali, i tak jest do dziś. Synowie już w Niemczech zostaną, więc widzimy się tak jak wtedy w Nysie. Ale to dawno dorosłe już chłopy, Michaś ma syna, Vincent mu. Czekaj, czekaj, jeśli mój syn ma dziecko, to znaczy, że ja... Że jestem dziadkiem! Widzisz, dobrze, że ten wywiad robimy, bo sam bym na to nie wpadł.

Przestań, proszę.
– No dobra, te moje widzenia z tym trzylatkiem kłopotliwe są. W zasadzie nic do niego nie mówię, miny jakieś głupie stroję, a on się z nich śmieje. Nie mówię nic, bo nie chcę, nie umiem do niego mówić po niemiecku. Do synów też nie mówiłem, nigdy. Nie to, żeby mnie niemiecki mierził, przeciwnie, przez długie lata był moją drugą skórą, ale do nich nie, to krew z krwi, nie idzie. To tak jakbym się przebrał za kogoś obcego. On zresztą mówi też po francusku, bo mama Francuzka.

Sądzisz, że dałeś swoim synom jakąś cenną, życiową radę?
– Ach. Te rady ojcowskie. Nie wiem, roześmiałbym się w trakcie, oni też. Te rady rozumieją się same przez się, powiedziałbym: „żyj...", a oni sami by dokończyli: „...i daj żyć innym". Ale możliwe, że mają po mnie poczucie humoru, czarnego, takiego dość wyśrubowanego.

Jesteś dla nich kombatantem, co to za wolną Polskę w internacie siedział i może za darmo jeździć komunikacją?
– Nie, nie, to nie. Raczej starszym kumplem z Polski. Ty, ty, nie tylko komunikacja darmowa! Sanatoria też, ZUS i, to coraz bardziej ważne, domy opieki społecznej. No i co miesiąc parę stów finansowego wsparcia.

To ile odszkodowania za ten internat dostałeś?
– Nie pamiętam, dawno to było, chyba z kilkanaście tysięcy. I z paroma kumplami spod celi wspomogliśmy tych, którzy dostali bardzo mało.

A teraz wynajmujesz kawalerkę, gdzie tylko twój jest komputer, stół, garnek na rosół i kilka książek. Jak to możliwe, że nie nagromadziłeś pamiątek z życia?

***Janusz Rudnicki**

• ur. 1956 r. – pisarz, felietonista. Emigrant polityczny, od 1983 r. mieszkał w Hamburgu, gdzie studiował slawistykę i germanistykę. Od kilku lat w Warszawie, niedaleko ronda de Gaulle'a, do czego nawiązuje tytuł jego najnowszej książki „Człowiek na rondzie" (Biuro Literackie).

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb

FOT. BOGUMIŁ RUDNICKI

– Pamiątki z życia? One są w książkach. Ostatnio w Hamburgu wlazłem na strych, w skrzyni stare listy, dzieci, Ewy, mamy, przyjaciół, dużo tych do więzienia. Taki strych pamięci. No i porobiłem zdjęcia, i mam, w telefonie... Aaa! Wiesz, co mam?

Co?
– Zdjęcie listu Wieśki po tym, kiedy napisałem o węglu, poczekaj, przeczytam ci...

„Synku, pod płot przychodziły więcej niż dziwki, takie trochę psychiczne. Gdybym ja chodziła pod płot, to najprawdopodobniej nie wiedziałabym, z kim ciebie mam. A w ogóle byłby to ktoś inny, a nie ty. Więc przestań się już czepiać tego płota jak pijany, bo mnie to wkurwia". I podpisała tak: „Matka (porządna)".

Ale z węglem to była prawda, ten płot ją tylko wkurzył.

A te fotografie na ścianach?
– To domy, w których mieszkałem. W Warszawie, w Pradze, w Hamburgu, i, jakżeby inaczej, boisko w Kędzierzynie-Koźlu. On najdalej, on pierwszy, to miejsce startowe mojego maratonu. Moja piaskownica, szkoła podstawowa, średnia... A, piaskownica. Ta moja pod oknem mamy jeszcze jest, ale jako piaskogrób, takie słowo sobie wymyśliłem. Bo zarosła, krzewy w niej wyrosły, drzewka, i wygląda jak dziki grób. Bawiłem się w niej kiedyś, to i mogę w niej leżeć, od kołyski aż po grób, bardziej na skróty już nie można.

Dlaczego je powiesiłeś?
– A kawy chcesz?

Nie, dziękuję.
– No widzisz, zaczynam się wiercić.

Dlaczego po prostu nie chcesz powiedzieć?
– Co czują ludzie, patrząc na zdjęcia tego, co daleko w tyle? Zdjęcia stamtąd? No wiadomo co, dlatego się wiercę. W banał wpadnę, co mam ci powiedzieć, dawnych wspomnień czar? Wystarczy chyba jedno słowo, melancholia. Przy czym, w stronę nostalgii, nie depresji. Ja lubię ten stan, takiego powolnego kołowania w głąb samego siebie. Do czegoś, co było, a nie ma. Te zdjęcia więc to jak pinezki na mapie kolei mego losu. Pinezki lub dziury w stole bilardowym, człowiek jako kula, los jako kij.

Ale jest też inne opadanie, znasz je na pewno. Stoisz przy samym brzegu, nad morzem, i fale podmywają ci stopy, powoli, co jakiś czas. I piasku pod tobą jest coraz mniej, i powoli się zapadasz. Ja czuję się tak, jakbym był człowiekiem klepsydrą, nad ziemią tego życia coraz mniej, w ziemi coraz więcej.

Trochę mnie wzruszasz, wiesz? I nie wiem, który jest prawdziwy. Ten z twoich książek czy ten teraz na tym balkonie.
– Jakby jedno drugie wykluczało. Połącz, wyjdzie konglomerat. Co wy wszyscy z tą prawdziwą twarzą? Z tym prawdziwym ja? Nie ma jedynej prawdziwej twarzy, człowiek się mieni. Ja sam nie umiem czasami za sobą nadążyć.

Jest coś, czego nie umiesz z siebie wyrzucić?
– Coś? Niczego nie umiem wyrzucić. Mnie trudno się zwierzać. Jeśli, to bracikowi, ale to sporadycznie. Nie umiem. Zmieszany byłbym jak odpad. Ja w ogóle nie lubię poważnych rozmów. Pogłębionych. W cztery oczy lub sześć. Niecierpliwię się, krępuje mnie to. Może dlatego bankiety lubię, te po premierach w teatrze lub kinie. To jest moja rampa. Znajomi stoją w grupkach, podchodzę, krótka wymiana ognia... Ja to pierwszy użyłem, przed Zytą, ale nie że coś sugeruję, nie, nie. No więc wymiana zdań na temat filmu lub spektaklu, jakiś żart, dowcip, i do grupki następnej. Taki taniec towarzyski. Towarzyski rollercoaster. Ja wolę się ślizgać, niż zatapiać się w pogłębione rozmowy. Zamykać się, niż otwierać.

Dusisz w sobie ból, rozpacz, strach? No bo chyba ciebie też to dopada. I co wtedy?
– Ból, rozpacz, strach... Ja je mam w dniu powszednim. Chcesz przykład na ból? Prawdziwy? Gorszy o wiele od Weltschmerzu, o który ci zapewne chodziło?

No, chcę, ale prawdziwy.
– Przedwczoraj pogryzł mnie pies pod sklepem, uwiązany, za blisko podszedłem. Ugryzł to mało, rozorał mi kciuk, ból istnienia jest do zniesienia, ale ten nie.

E tam, nie wygląda dramatycznie.
– To teraz sobie wyobraź, kiedy trochę przeszło, poszedłem na ławkę na mój skwer, i gryzie mnie komar! Zaraz obok samej rany! I nie mogę się podrapać, bo jak? Chce mi się wyć, ten ból podwójny i ta moja niemoc, wpadam w rozpacz taką, że łzy mi do oczu napływają. I kiedy wreszcie to wszystko wytrzymuję, uprzytamniam sobie, że nie zapytałem właścicielki, czy pies na wściekliznę szczepiony! A tężec? Ja na pewno nie, i co teraz? I strach mnie ogarnia, i masz, ból, rozpacz i strach w jednym trójpaku. A, i to jeszcze, poszedłem do apteki, farmaceutka każe mi iść do lekarza, bo być może konieczny zastrzyk, i kiedy pytam, czy bolesny, ona tak: życie to jedna wielka seria bolących zastrzyków, proszę pana.

Janusz, proszę cię.
– Wiem, wiem, o co ci chodzi. Więc jest tak, że jeśli spadają na mnie ciosy, to ja ich nie przyjmuję do wiadomości. Ja w błyskawicznym tempie buduję mur wewnętrzny. Ja zamykam w sobie wszystkie okna i drzwi, szczelnie. I powiem ci, że mam wprawę, w tej taktyce, w tej strategii wypierania doszedłem do perfekcji. Moja własnoręcznie uszyta kamizelka kuloodporna leży na mnie jak ulał. W pisaniu daję sobie ujście, czasami. Otwierać się przed kimś? To już chyba wolę otworzyć flaszkę. Alkohol znieczula, skutecznie.

Wtedy też się znieczulałeś?
– A ty znowu o „tamtym"? Czasami myślę, po co ja wtedy tak usilnie przepraszałem?

Ja chciałam cię na tym balkonie z czyśćca wyciągać, a ty najwyraźniej zaraz się znów pogrążysz.

> Ja do siebie samego stosunek mam ostro przerywany. Ja się źle czuję w osobie własnej

– Przepraszałem, a nie wiedziałem zupełnie, o co chodzi. Ja tego zdania nie pamiętam w ogóle, nie tylko ja, zresztą, siedziała tam przecież inna dziennikarka, ona też nie, ona pamięta, że świetnie się bawiliśmy.

Nikt też tego nie słyszał, chociaż pełno było ludzi wokół. No dobrze, zawierzam dziennikarce, ale jeśli tak miałem krzyknąć do wchodzącego kumpla, to przecież na pewno nie mając na myśli jej i jej koleżanki, i mojej też. Ja już to wtedy wyjaśniałem, to musiało być takie zawołanie, takie pijackie orędzie, wycie Tarzana w dzikiej dżungli, no wszystko, ale nie to, że skierowane pod adresem koleżanek. Taki retoryczny szajs, nic więcej. Ktoś bierze do siebie coś, co nie o nim, i na łamach odsłania cię jako pomnik mizogina. I możesz wyjaśniać, przepraszać, ile chcesz, od tej pory jesteś tym, który „zelżył dziennikarki".

Co „po drugie"?
– Po drugie, nic to nie dało, to bicie się w piersi, zapadły mi się od tego, to wszystko. Karawana jechała sobie dalej, widać ją do dziś. Coraz rzadziej, ale jednak pod tekstami w sobotniej „Wyborczej" od czasu do czasu wyskakują takie zdanka jak: „A kurwy już są?" lub „Rudnicki? To ten mizogin?". I tak to stałem się seksistą, męskim szowinistą. Ja, urodzony i zaprzysięgły feminista.

Opowiedz o tym swoim feminizmie.
– To widać przecież, to wystaje z tekstów moich, od „Męki kartoflanej" począwszy.

Ja „Męki" już nie pamiętam. Też mam dziury w pamięci.
– Opowiadanie tytułowe kończy się dużym monologiem żony, Ewy. On jest stylizowany na monolog Molly, z „Ulissesa", wiadomo. I jest to po prostu hołd złożony kobiecie.

Czyli odsyłasz mnie i czytelników do literatury, zamiast powiedzieć mi po prostu?
– Powiedziałem „hołd", bardziej po prostu już nie umiem.

W tym monologu twoja żona jest Rachelą, Dalią, Mikal, „wartą sto napletków Filistynów skurwysynów", Batszebą ze Starego Testamentu. I Herodiadą, z Nowego, na którą się „Herod napalił". Napisane przed MeToo, ale potem czar feministy prysł – bo życie rozminęło się z literaturą.
– Nie „moja żona", kobieta w ogóle. Biblia to jest dopiero upodlenie kobiety. Zdrajczyni, kurwa lub towar sprzedajny. Po niej daleko nic i na drugim miejscu przysłowia polskiego ludu. Kobiecie bez fartucha jak krowie bez ogona, fajne? A to jedno z delikatniejszych. No dobra, jest w tym moim nieszczęsnym przypadku wypadku jeden plus, duży, wielki. MeToo miało wroga, ale bez twarzy, aż dostało moją. Skonsolidowałem ruch. Posłużyłem jako tarcza strzelecka. W tym sensie stałem się kamieniem węgielnym ruchu MeToo. Jego, no nie bójmy się słów, ikoną. Męczennikiem za sprawę. Ja w ogóle jestem... ja jestem... No przeczytaj słowo „ludzkość" od tyłu.

Kość? Kość ludzkości?
– No widzisz, to ty powiedziałaś, zgadza się, jest ludzkość i jest kość ludzkości, czyli ja.

Czy ty czasem tą ironią czy tam sarkazmem nie bagatelizujesz tego ruchu?
– Ach, proszę cię, na nosie sobie tylko gram. Dwa ruchy w całym moim życiu najważniejsze, „Solidarność" i MeToo. Ja bym się dał pokroić za te dziewczyny ze Strajku Kobiet. Chodziłem na każdy marsz, z napisem na tekturze „W cieniu wkurwionych dziewcząt". Ja się czuję tak, jakby to były moje młodsze o wiele siostry. Znowu będą komentarze, że się w ramach pokuty podlizuję, ale to naga prawda. Nie wiem, czy cokolwiek przejmuje mnie bardziej niż one. I za każdym razem ukrywam wzruszenie, na marszach LGBT również. Na tym potężnym, ostatnim, w czerwcu, stałem na platformie, pierwszy raz, trzy godziny. Oniemiały. Święto, karnawał radości, nie wiedziałem, że w powietrzu może być tyle tej wiesz, love is in the air...

O, i tęcza będzie, widzisz?!
– Znowu? Wczoraj była. Zawsze nad stadionem i mostem Świętokrzyskim, jak brama do raju.

Tu zaraz obok takie wiekowe małżeństwo, i zawsze kiedy tęcza, to jedno woła z balkonu drugie, szybko, szybko, chodź, chodź, tęcza! I to drugie człapie, i stoją, i patrzą się, nie widzę ich, ale na pewno urzeczeni. Wiesz, jaki jest efekt tęczy? Że wszyscy za każdym razem, widząc ją, reagujemy tak, jakbyśmy widzieli ją po raz pierwszy. Ty też prawie krzyknęłaś, o, tęcza będzie! Mnie ciekawi bardziej wyraz twarzy ludzi, którzy patrzą na tęczę, niż ona sama. Cholera wie, może to właśnie czyni człeka pisarzem. Tak że widzisz, jak tu mam, balkon jak widownia, a ja w samej loży. ●

eprasa.pl 092e2a9ccb

weekendówka 68

WITAJ, SZKOŁO!

Autorką wielu haseł jest **Aleksandra Rosińska**

Bleeeee! To znaczy ja już tak na początek września nie reaguję, bo koniec wakacji nie oznacza dla mnie końca wakacji wcale, ale wciąż pamiętam ostatnie dni sierpnia i ten ostatni dzwonek letniego wypoczynku zwiastujący pierwszy dzwonek czegoś zupełnie przeciwnego.

OK, powrót do szkoły nie był znowu takim kanałowym leczeniem zęba. Czemu? Bo, cytując Mikołajka, „trzeba przyznać, że oni, chłopaki z mojej klasy, są po prostu niesamowicie fajni". Perspektywa ponownego ich spotkania, robienia wspólnie kilku tuzinów absolutnie fajnych rzeczy, no i klasowe mecze piłki nożnej przeciwko klasie C (chodziłem do A, najlepszej rzecz jasna) nie jawiły się wcale jako kariera galernika. No ale jednak koniec laby był końcem laby i do szkoły wracać się nie chciało.

Tym bardziej że często-gęsto nauczyciele rozdrapywali bezlitośnie stare rany, zadając na lekcjach języka polskiego wypracowanie pt. „Jak spędziłeś wakacje?". Jak tak można?!

Ale wracając do pierwszego dnia w szkole, nie był on wcale taki najgorszy. No zgoda, zdarzyło się, że tuż po wakacjach ktoś przyniósł do klasy nową konsolę do gier – swoją drogą nikt ich wtedy tak nie nazywał, my mówiliśmy „gra elektroniczna" – radzieckiej firmy Elektronika Tajemnice Oceanu, nieco mniej znaną niż kultowe jajeczka, a ktoś inny tą grę upuścił i nieco ją sfatygował (OK, to byłem ja, sorry, Łosiu!), ale generalnie był to dzień wesoły. Orka na ugorze, w dużej mierze matematycznym, choć nauczycielkę mieliśmy absolutnie z ekstraklasy, zacząć się miała dnia następnego. A tymczasem można było się nacieszyć, że znów jest się w gronie związanej z tobą na dobre i na złe ekipy, snuć plany podboju świata albo przynajmniej zlania „ceciaków" na boisku, i generalnie cieszyć się życiem. Serio!

Dlatego dziś, 2 września, zapraszamy do wspólnego powspominania, jak to było, jak się szkołę zaczynało, tym z Was zaś, drodzy Weekendówkowicze, dla których początek września oznacza jednocześnie początek nauki, życzymy powodzenia i zapraszamy do rozwiązania naszej krzyżówki. Naturalnie poświęconej szkole!

A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Aleksandrę Rosińską, pedagożkę ze Szkoły Podstawowej nr 75 w Warszawie. Ola zacięcie ma szaradziarskie, uwielbia krzyżówki z przymrużeniem oka, dlatego bądźcie czujni! Zupełnie jak podczas dyktanda... Serdeczności!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl

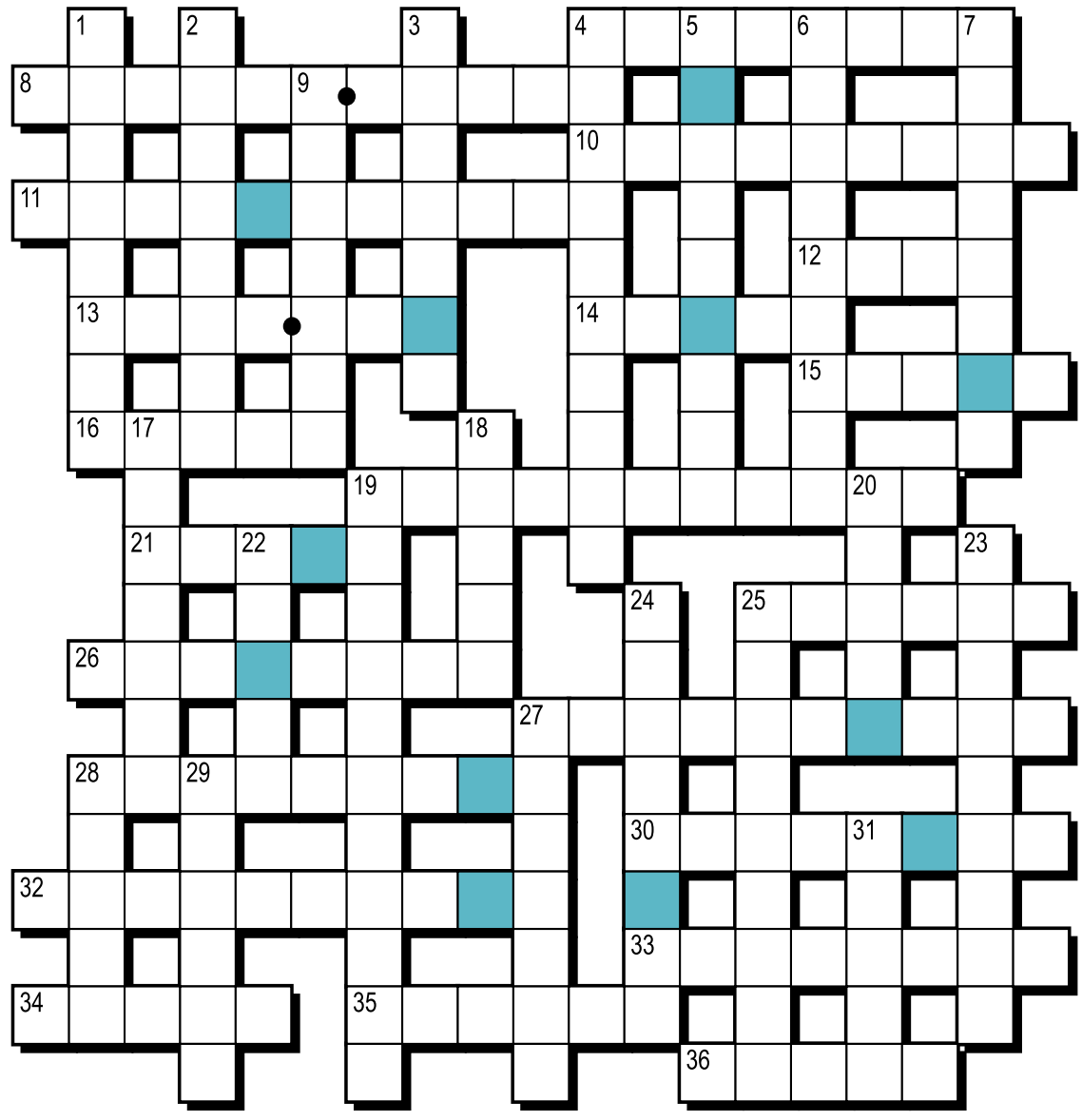

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 67 z 26.08:

Poziomo:
2) bigos 4) drób
9) schaboszczak
10) rogal 12) kopalnioki
15) okowita 17) rydz
18) barszczyk
20) farsz 22) gołąbek
25) wino 26) kaszanka
27) mazurek 29) rolada
31) dzik 32) jabłka
34) pyry 35) rosół
36) salceson
37) Magda Gessler

Pionowo:
1) kaczka 2) babka
3) gęsina 5) raki
6) burak 7) flaki
8) gzik 11) jarzynowa
13) pierogi z mięsem
14) oscypek 15) obiad
16) warzywa 19) cząber
21) pomidorowa
23) kapary
24) szpajza
28) kopytka
30) faworki 33) boczek
36) sosy-

HASŁO:
CZARNA POLEWKA

SZKOLNA

Hasła Aleksandry Rosińskiej oznaczono inicjałami (A.R.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) mama i tata w budzie
8) nieźle daje nam w kość!
10) ze starożytnego greckiego państwa połowa arabskiej kaszy (A.R.)
11) zwykle połączony z gabinetem dyrektora
12) pedagogiczna lub rodziców (A.R.)
13) ...szkolny, jak co roku od początku września
14) wielkie konserwy (A.R.)
15) prawie dobry lub starożytne miasto (w obecnej Turcji) z kreską (A.R.)
16) „ich" w piosence Kaczmarskiego (A.R.)
19) inne na matematyce, inne na chemii
21) napój z piosenki Majki Jeżowskiej „Najpiękniejsza w klasie"
25) ...Mole, nastolatek z książek Sue Townsend
26) gwiżdże na lekcji
27) polski, matematyka lub ekierka, cyrkiel (A.R.)
28) przestarzale o nauczycielach w szkole elementarnej
30) uczą, jak uczyć
32) spotkanie z rodzicami uczniów technikum szpiegowskiego
33) stresik przed sprawdzianem, egzaminem, odpytką
34) ...obecności lub wyborcza (A.R.)
35) „nauczeni" na blaszkę
36) Winona, zagrała w filmie „Przerwana lekcja muzyki"

Pionowo:
1) jego miniaturkę uczeń nosi w plecaku (A.R.)
2) druga próba zdania egzaminu
3) opracowanie, ściągaczka, gotowiec w drugiej osobie liczby mnogiej (A.R.)
4) będzie pani, gdy nie ma pani (A.R.)
5) w powieści „Ferdydurke" wpajał uczniom, że „Słowacki wielkim poetą był"
6) cieszy się nim dobry nauczyciel
7) jest i wczesnoszkolna
9) napisała podręcznik, opracowała pytania egzaminacyjne
17) medykament dla wymarłego żubra (A.R.)
18) potocznie o przedmiocie z mapami w tle
19) szkoła nie dla zaawansowanych
20) dla uczniów, dla piłkarzy, na drogach
22) Jonasz, pisał: „Tego cię uczy każdy dzień, że raz jest światło, a raz cień"
23) np. na buty, cukier, mięso w PRL-u (zdrobniale) (A.R.)
24) zdawane przez ósmoklasistów, maturzystów
25) przeprowadzają kontrole w szkołach
27) ...szkolny, wspiera uczniów i nauczycieli, pomaga rozwiązywać konflikty
28) są dla tych, którzy nie lubią lektur szkolnych (A.R.)
29) Czerwonym Gitarom potargał je (A.R.)
31) dopuszczające

Leszek Rydz

OGŁOSZENIA

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store
POBIERZ Z Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34225722

1 RP

eprasa.pl 092e2a9ccb